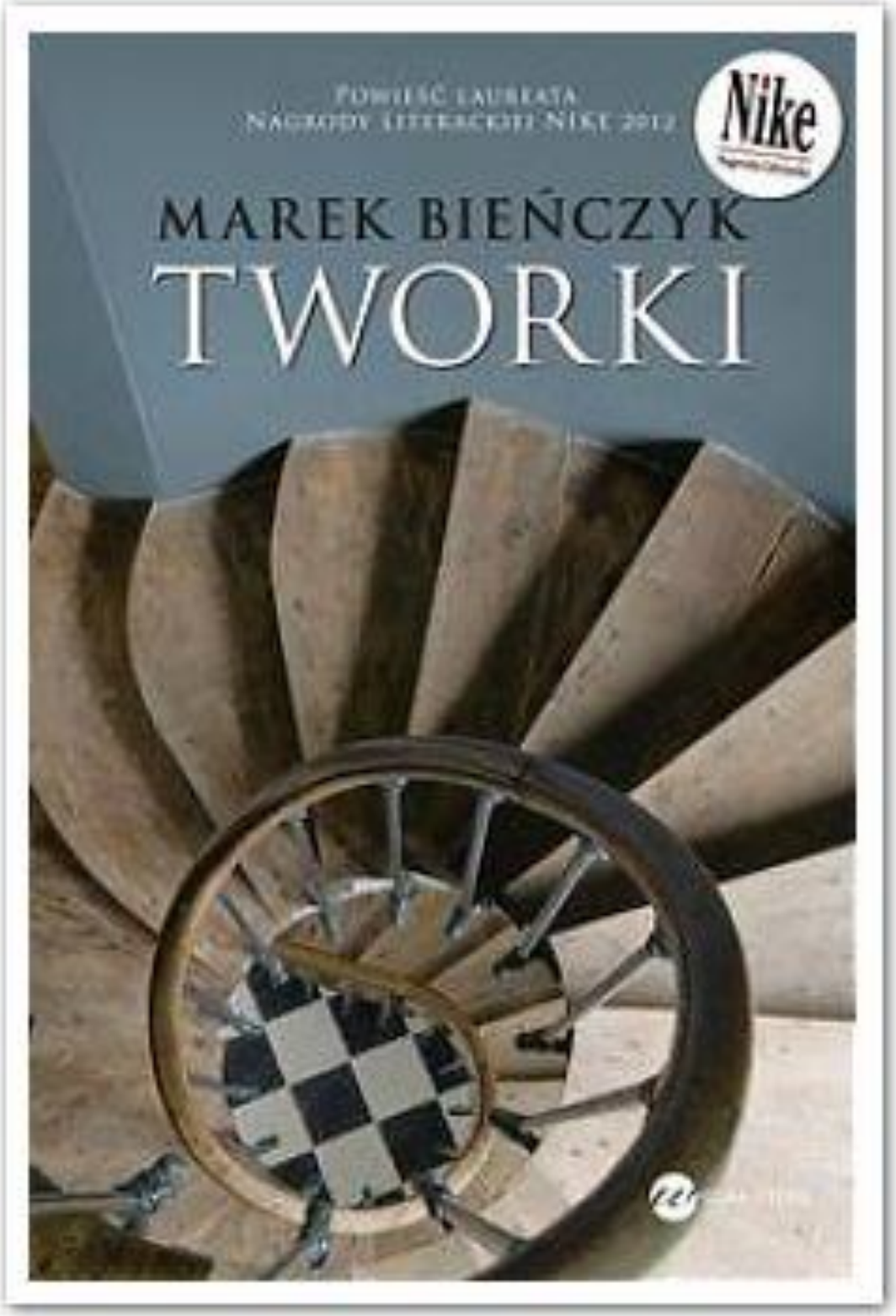
Powieść laureata
Nagrody Literackiej Nike 2012
Nike
MAREK BIEŃCZYK
TWORKI

MAREK BIEŃCZYK

TWORKI

Siostrze.

Rozdział 1.

Gdzieś spod mej powieki, z samych źródeł rzeki na świat przyszły te słowa. Tak, na początku było pismo, niezbyt ładne, literki wysokie, ściśnięte, odmawiające sobie miejsca, a zdaniom żagli. Ktoś by powiedział: nie śpieszą się słowa do kropki, ktoś inny: coś je powstrzymuje, ale wszyscy razem, a ja to na pewno: chciałyby się jeszcze cofnąć, zawrócić, lecz już nie mogą. Trzeba dać im wreszcie szansę wypełnienia całej linii, pełnego oddechu od marginesu do marginesu, teraz kiedy już po wszystkim, albo i wszystko jedno:

„Drogi Jurku!

Bądź dobry dla Janki i nie myśl źle o mnie. Polubiłam Cię bardzo. Jesteś arcyporządny chłopak. Los jest dziwny! Widocznie tak musiało być! Pozdrów wszystkich, których przez Ciebie poznałam i polubiłam, a przede wszystkim Twoją Matkę. Pocałuj i Ty jeszcze raz ode mnie Tego, który był dla mnie całym życiem. Tobie ściskam dłoń.

S.

PS Bądź szczęśliwy

S.”

Jurek przeczytał kartkę dwa razy, jak każdy krótkowidz mrużąc podejrzliwie oczy, włożył ją w męczoną od dawna powieść, za stronę o upragnionym dzwonku po lekcji polskiego, i wyleciał z pokoju niby oparzony. Przy drzwiach na dole spotkał Antyplatona, który oznajmił mu łagodnie: „w sieni też się pleni”, lecz nawet nie machnął pobłażliwie ręką i przeskakując kałuże pobiegł wprost do pierwszych słów listu w osobie Janki, już bolejącej, jeszcze nie płaczącej.

Gdyby Jurek ogórek kiełbasa i sznurek miał w tamtej chwili czas i sposobność rozważyć list równie dokładnie, jak cztery lata wcześniej rozbierał na pisemnej maturze dramat poety, ten, już wtedy, o ciemności i głuchości, zwróciłby może uwagę na cztery szczupłe słupki wykrzykników. Dlaczego S., zwana dalej, podobnie jak wówczas, Sonią, w chwili tak ostatecznej, gdy gardło wypełniała jej stalowa kula, gdy w przegubach dłoni zagnieździło się mrowisko i usta drżały niczym poruszona woda, nie zapomniała o swych dwóch podpisach, jeden pod drugim, tak równo na samym środku kartki? Dlaczego pamiętała o interpunkcji? Dlaczego dochowała wierności epistolarnej formie zwrotu tytułowego, a następnie akapitu od nowej linii, dlaczego wzmocniła znakiem graficznym życzenia szczęścia dla adresata oraz zdania o profilu ogólnokształcącym, a nawet humanistycznym z uwzględnieniem Grecji? Los jest dziwny! - wybiła mocno jak przodujący Sofokles, podwoiła wykrzyknikiem niczym chór

komentujący w tragedii zdarzenie. Widocznie tak musiało być! - zdublowała wykrzyknikiem wypowiedź, oddając Fatum, co królewskie, na odejście robiąc przed Fatum głębokie chapeau bas, bezwzględne do niego a propos.

Odpowiem po wielekroć na te i inne pytania, w końcu nie tak wiele mam alibi. Może posłużyła się wykrzyknikami, bo gdzieś już o tym przeznaczeniu czytała. Coś o nim wiedziała, cokolwiek słyszała, na przykład to, że dotyczy wszystkich ludzi tu nazwanych i ciągle żywych. Ale dawała do zrozumienia, że padło akurat na nią, ją właśnie chwyciło w sieć lub podbierakiem, do niej mrugnęło niejednym oczkiem. I, odchodząc, wskazywała tym graficznym sposobem, że ona się zgadza i że całą sobą, skupioną w okrzyku, pokornie i śmiało, ze zgrozą i spokojem staje, jak tylu przed nią, do drogi. I tradycyjnie, w dozwolonej ludzkości formie postscriptum, życzyła głośno, pełną piersią, lepszej przyszłości tym, co tu jeszcze zostaną. Toteż myślę, że właśnie po tych wykrzyknikach mogę podjechać niczym po szynach, po wąskich torach, magiczną kolejką, w tamte okolice; że gimnastycznym wysiłkiem zejść mogę po nich aż pod kwadratowy pokój Soni, aktualnie z wciąż zasapanym Jurkiem i płaczącą już Janką; opuścić się po nich na tamtą stronę, w pobliże jej roztykanego tik tak zegarka, obok jej czarnej krawatki w białe grochy i kwiecistej sukienki; że mogę przebiec nimi lunatycznie z wysokich dachów wieżowców na obwisłe okapy szpitalnych pawilonów i przybudówek, bo przecież ja również co nieco czytałem i słyszałem, i któregoś dnia, jeśli tylko starczy mi sił w opuszkach palców i wzroku, by trafić w klawisze, dostawię na pożegnanie kilka wysmukłych kresek z okrągłą jak Ziemia kulką u podstawy.

Rozdział 2.

Dla Jurka furka i burka cała ta historia także zaczęła się od wykrzyknika. - Wysokie pobory! - górnolotnie twierdziło ogłoszenie. - Darmowy wikt i kwaterunek na miejscu!! - dopowiadało w ostatniej linijce. A we wcześniejszych poszukiwało do pracy w administracji szpitala młodego mężczyzny z referencjami i z dobrą znajomością języka istotnego dla świata raz na jakiś czas, a dla Europy zawsze, zapytajcie Goethego.

- Wysokie pobory - powtórzyła z naciskiem matka, pochylając się nad gadzinówką. - Twój ojciec pierwszą robotę też znalazł z ogłoszenia. Niestety tej obecnej - westchnęła - nie szukał.

- Darmowy wikt i kwaterunek na miejscu! - zawtórował Jurek, zagryzając razowcem, który sam wystał w kolejce - a ja księgować umiem, cyfry cudownie rozmnażam i wiem, gdzie dojrzewa cytryna.

- Mógłbyś przyjeżdżać co niedzielę na obiad, przecież to blisko - dodała raźnie mama i dokroiła chleba.

Następnego dnia posłał więc Jurek bitte podanie z życiorysem krótkim jak dzieje Niepodległej, przepisanym na maszynie Continental Werke A.G. Chemnitz u mamy Olka, przyjaciela z klasy i boiska. Dołączył zaświadczenie z delegatury aprowizacyjnej, bowiem ze wszystkich powierzanych mu czynności

10 wywiązywał się sumiennie ku całkowitemu zadowoleniu kierownika Góreckiego, i, po chwili namysłu, przypiął spinaczem nieco już pogniecione podziękowanie z komitetu samopomocy społecznej, wysłane w swoim czasie tym, którzy za obywatelski honor sobie poczytując pracę nad łagodzeniem cierpień ludności stołecznej oraz tej, którą do miasta przywiodły wypadki wojenne, swoje siły bezinteresownie oddali akcji. W poniedziałek otrzymał wezwanie na rozmowę, już zaraz na wtorek.

- Jutro wtorek, więc do Tworek! - zachichotał Jurek. - Mama wyprasuje mi białą koszulę, tę, co ojciec dostał na Gwiazdkę.

Cały wieczór spędził przy podręczniku, odświeżając pamięć aż po odległe plusauamperfectum i gehen razem tylko z sein, a nazajutrz po drugim śniadaniu, połykając w pośpiechu ostatnią już kromkę razowca, wrzucił do teczki świadectwa, tomik poezji z dokumentem tożsamości, rozdzielającym stronice przeczytane od jeszcze nie przeczytanych, ucałował matkę w oba mokre policzki i gdy odwróciła się, aby ukryć łzy, oknem skrócił sobie drogę na przy-

stanek tramwajowy.

Jazda na dworzec trwała krótko i Jurek nie wyjmował tomiku; tramwaj minął szybko kościółek przy Sowińskiego, ksiądz Wojtek znowu siedział na ławeczce i czytał w oryginale ballady Schillera; dojrzałe jak na koniec marca słońce zahaczyło promień o złote literki okładki. Na pierwszym przystanku w śródmieściu wsiadło sporo ludzi i Jurek ustąpił miejsca starszej pani z rąbanką, przepchnął się do wyjścia i pierwszy, zanim jeszcze tramwaj zahamował, wyskoczył na placu Zawiszy.

Teraz szyny nieco szersze, obok pojedynczych siedzenia podwójne i więcej miejsc wolnych, nie wszyscy z tramwaju zdążyli, bo kolejka ruszyła z nieswojską punktualnością. Najpierw szare kamienice, a po chwili mijane już tylko drzewa, pola przecinane z szacunkiem dla siewów, miasto coraz bardziej odległe i wpychane wciąż w horyzont. Jeszcze kilka stacji, jeszcze kilka wersów, jeszcze po lewej długi zielony płot, a po prawej staw bez łódek, ale rybak jest, i będzie Jurek na miejscu. Te wersy na przykład bardzo mi się podobają, stwierdza Jurek, „w obliczu gwiazd milczących dusza moja klęka z pobladłymi usty, którym tchu nie starczy...", tylko blade usta mnie nie zachwycają, wolałbym dla duszy inny kolor, szczególnie na wargach. Tymczasem zapiszczały żałośnie hamulce, więc szybko kenkartę w książkę, już za wierszem o spowiedzi duszy, książkę buch w teczkę, teczkę pod ramię i w dół po stopniach jednak ostrożnie, żeby okulary nie spadły jak trzy kwadranse wcześniej przy skoku z pędzącego tramwaju.

Chciałeś, to jesteś, do Tworek we wtorek, tutaj peron, a tam wejście - myślał Jurek zastygły przed bramą, po drugiej stronie torów. Ponuro dosyć wokół, pod wiatą żebrak gra na skrzypcach smętną sonatę, wartownik strzeże bramy na groźnym spocznij, dobrze, że przynajmniej do kolejki blisko, do domu nie tak daleko, a topole wzdłuż muru rosną takie same jak pod oknem na Ulrychowie, choć nieco karniej ustawione. Może pójść tam, gdzie prowadzą - przeszło mu przez głowę - co trzy metry nowy pień i nowy krok aż po siną dal, po co coś zaczynać, kiedy jeszcze tyle czasu i serce bije nam.

- Ja w sprawie pracy - mruknął do zielonego rozziewanego z brązową kaburą przy pasie i karabinem w ręku. - Ogłoszenie było, w „Nowy Kurierze", a tu mam wezwanie.

Rozespane i znudzone rzuciło okiem na papier, coś sobie przypomniało, może czasy, gdy było bileterem w kinie Parsifal, skinęło głową i wręcz grzecznie przepuściło, i w ten sposób Jurek znalazł się w środku, Jurek bramę z piskiem odsuniętą przekroczył i uruchomił stoper swych nowych dziejów. Kiedy zapukał do wskazanego lufą gabinetu, upływała pięćdziesiąta sekunda od początku odliczania, kiedy wychodził z papierami w ręku i kluczykiem zawieszonym na serdecznym palcu, minuta dziewiętnasta, sekundy diabli wzięli.

Wyszedł na alejkę przed budynkiem administracji. Była porządnie wyżwirowana, z pobielonymi, półokrągłymi krawężnikami na brzegach. Wzdłuż niej rzucały cień wysokie drzewa, jakby już ciut zielone, a na czystym niebie żadnych dziś nie było widać pierzastych ozdóbek, żadnej łuny i dymów rozchodzących się w, powiedzmy, nicości. Pobory raczej z tych niskopiennych, przypomniał sobie, spoglądając na krzewy pod klonami, oszukali mnie wykrzyknikiem i najzacniejszą mamę nabrali graficznie, na buty, żeby tak skórzane, nieszybko starczy. Ta zupa, co ją czuć dookoła, też chyba nie z młodych porów ani ze świeżej karotki, jeśli mięso na drugie, to kto wie, czy naprawdę z uboju, ale w zamian miejsce jest dziwnie ciepłe, od środka bezpieczne niby dolina wśród gór, i wkrótce, wraz z kwietniem, ulubioną przez poetów wegetacją szczelnie zasłonięte, jeśli korzenie swoje pociągną, a gałązki dobrze wypuszczą. Ponadto papiery gwarantują tu pewne, utytłane w gut pieczątkach, no i wstaje się chyba późno, bo dwunasta już dawno wybiła, a na alejkach trwa leniwa promenada piżam, pionowo, jak każe najnowsza moda, prążkowanych, choć tradycyjnie rozchełstanych i pożółkłych w centralnych miejscach ciała.

Czując się trochę nieswojo w ciemnym garniturze ojca, elegancko przegryzionym kremem płaszcza rzuconego na ramię, ruszył na spacer wśród oddychających ciepłem skwerów, spostrzegł las za jednym murem, a za drugim tory kolejki, biedne domki i konika na uwięzi. Przyjrzał się wyścigowi trójki oszalałych marcem i pręgowanych jak piżamy kotów, a potem skarpetkom, majtkom i chustkom suszącym się na kratach okien, smutnym i wystawiającym na widok swe najczystsze strony, jakby chciały prosić o zmianę właściciela. Od baraku z dwoma dymiącymi na sino kominami człapał w stronę Jurka zgięty w pół dziad, mozolnie ciągnąc na rzemieniach ciężki i skrzypiący wózek. Nie zdążył Jurek spojrzeć w niebo, tam gdzie wzlatuje to, co najlepsze i w najlepszym stanie, a już przed oczyma stanęły mu cztery zardzewiałe i chlupoczące wiadra. Zebrało się w nich wszystko, co odrzucił człowiek godzien lepszej strawy i piękniejszych kolorów. W różowej nieprzejrzystej toni pływały ćwiartki ziemniaków i połamane gnaty, swe pleśnie wystawiały na wierzch coraz większe pajdy chleba, a w tłustych okach zbierał się złoty osad, ostatni ślad po smaku. Dziad ruszył dalej, zaduch zniknął i Jurek pomyślał, że może jednak przeżyje tę wojnę.

Kwaterę zapowiadano za godzinę, teraz zostało już pół; trzy wiersze, do tego chwila zadumy i jakoś przeleci, obliczył, i usiadłszy na brzegu ławki, nie dociskając pleców do wyrżniętego serca przebitego strzałą, wyjął z teczki tomik, lemoniadę oraz żółte jabłko, nie bardzo wiadomo skąd, pewnie od sąsiadki pani Zofii via mama niewidzialna rączka, mama kochana, mama biedna bez ojca, który już od roku siedzi u obcych na robotach.

Na tej samej bodaj ławce, w każdym razie czwartej na lewo od głównego budynku,

lecz już żelaznej, usiadłem wczoraj i ja z komputerem dwadzieścia pięć centymetrów na dwadzieścia i samo zasilaniem na trzy godziny, mówią nań Pentium Texas 2000, ja mówię Mazowsze for ever; i usiądę tam znowu za tydzień, to będzie wtorek, i w kolejny wtorek również. Ławka będzie pusta, dzień bez odwiedzin, śmietniki ziejące czernią, a za bramą stukot kolejki coraz bliższy, coraz dalszy, refren bez zwrotek, elektryczne memento o powracaniu, wkrótce już może elektroniczne, a za parę lat pewnie poduszkowe i jednoszynowe, ale wciąż z kontrolą biletów. I siedząc tak, noga na nogę w sandałkach i skarpetkach w prążki, i czekając jak spóźniony pasażer na koniec świata, opowiadać będę chętnym oraz przypadkowym, wybiegłym z kolejki lub czekającym na jej przyjazd, ciąg dalszy tej historii i jej rzeczywisty, nieprawdopodobny finał, ostateczne rozwiązanie, tak zwany szlus.

Na tej samej ławce, ponownie drewnianej, usiadła obok pochylonego nad książką Jurka piżama jak inne wokół, w prążkowanych dziurawych skarpetkach, i stwierdziła nieśmiało:

- Twarde będzie rozsiane, a proste rozbabrane.

Jurek pochylił się jeszcze głębiej i wtulił w tomik.

Usta twoje, dziewczyno, całować łakome

Śnią dziwy, co się własną trwożliwością płoszą.

- No a co pan czyta? - usłyszał nad głową szept, cichy, delikatny.

Jurek bez słowa pokazał okładkę.

- Wiersze takie - objaśnił. - Różne.

Piżama skrzywiła się lekko.

- Pan pozwoli, Antyplaton jestem. Piękna dzisiaj pogoda, jak na tę porę roku. Wkrótce wiosna w całej krasie. Koniec cytatu.

Jurek wybąkał swoich kilka liter, zapewnił, że mu miło, i zanurzył się w lekturę.

- *Usta twoje, dziewczyno, całowań łakome,*

Śnią dziwy, co się własną trwożliwością płoszą...

Obietnicy ust męskich jeszcze nieświadome, Czują, że jest im tajne coś, co rozkoszą...

- wyrecytował rytmicznie Antyplaton i skrzywił się jeszcze mocniej. - Tak już się nie pisze. W Tworkach tak się już nie pisze. Tak się pisało przed Tworkami. Czy wie pan, co to Tworki?

- No jak to co? Przecież tu jesteśmy - powiedział Jurek i podirytowany zatrzasnął książkę. Jednak wariat, pomyślał, wariatkowo, wariaci, kuku na muniu i w głowie niedobrze, lecz za to dęby odwieczne, pobory, wikt, mniejsza o tę zupę, no i kwatera. Zwariować można. Czy ta wesolutka panna przebrana za księgową to też wariatka? Tu niby zarękawki, a pod spodem najprawdziwsza piżama?

- Przepraszam panią - ponad ramieniem sąsiada zapytał przechodzącą i pogwizdującą - którędy do pawilonu C?

- Proszę za mną - odpowiedziała nieznajoma, uśmiechając się promiennie do Antyplatona, który nagle poczerwieniał - właśnie tam idę.

Właśnie tam szła, panna wysoka, panna kwiecista, prawym biodrem zagarniając przestrzeń natychmiast oddawaną lewym, do podkucia z tyłu wzrokiem podając na przemian to tę, to tamtą stopkę, więc Jurek podkuwał, półobcas był z korka, a nad butami czyżby naga skóra bez pończoszki i pierwsze bawełniane kwiatki, tam gdzie zapowiedź kolana, samolubnej rzepki i gilgi gilgi, gdyby tak z tyłu połaskotać, jeszcze wyżej zaś ukryte mini raje już na pełnym kobiercu kwiatów, wiosna w całej krasie, bo i róże, a anemony, i może też goździki naprzemiennie podnoszące się i opadające, tam gdzie karci się dzieci, więc teraz potknięcie Jurka, w arkadii też w końcu były kamienie, a może były również i te głupie zarękawki biurowe jak czarne przeczucia na skraju ogrodu, jak żałobne pokrowce na naturę i kulturę razem wzięte; na szczęście wyrosłe z ich czerni palce, smagłe i długie, zwinnie przekładające pogwizdywanie na język gestów, świergotliwym melodiom rachujące takty, każą zapomnieć o wszelkich przypuszczeniach i przy nagłym alegretto wzmocnionym przez molto vivace wyprowadzają wzrok Jurka w górę, tam gdzie wzniesione w tej sekundzie dyrygenckie ramię, polecające kotłom bić, a smyczkom przyśpieszać aż do finału, wpada w rozwiane i lśniące rudoblond fale, jeszcze tego wieczora ujęte przez Jurka w ostatniej kolejce jako „włosów Niagara" do rymu z „wiara", i zapisane w ten sposób na okładce tomiku, lecz na razie śledzone baranim wzrokiem aż po swe rozliczne dwubarwne źródła, rozdzielone po lewej stronie przedziałkiem i nieco tylko okiełznane nad uszami przepaską w kolorze fioletu, z tyłu głowy tracącą nad tą burzą jasnego jedwabiu panowanie, wszakże pasującą do twarzy, na pewno śniadej i chyba dość ładnej, która, na chwilę odwrócona, uśmiecha się promiennie i sprawdza, czy Jurek podąża do pawilonu C, bo właśnie tam panna szła, tam właśnie panna szła.

Czym by tu siebie oddać, co korzystnie powiedzieć, zastanawiał się Jurek, dochodząc do drzwi z masywnego drzewa, czy zacząć skromnie od imienia, czy od razu rozwinąć cały wachlarz, niestety bez - ski na niezbyt pięknym końcu, czy lepsza połowa, czy gorsza całość, oby szybko, jeszcze przed tym schodkiem. A co to tak słychać?

- Na imię panu Jerzy - słyszy Jurek. - Jest pan nowy w naszej administracji, zaczyna pan od jutra i będzie pan w tym wolnym pokoju mieszkać. On na drugim piętrze jest. Może pana zaprowadzić?

- Na imię ma pani Beatrycze. Ma pani piękne ciemne oczy i promienny uśmiech. Jest pani przewodnikiem po alejach i pawilonach i wszystkim pani dobrze życzy. Przeto wszyscy

przynoszą pani kwiaty i pisują do pani wiersze.

Krótki chichot, długie schody. Na drugim piętrze coś zaskrobało, metalicznie brzękło, cicho zajęczało, jakby zaklęło, poszurało, wreszcie dwukrotnie zgrzytnęło. To Jurek krótkowidz w półmroku otworzył drzwi. Spodziewał się czterech kremowych ścian i przeczucia go nie zawiodły, myślał o jednym szerokim łóżku z kocem w czerwono-niebieską kratę, łóżka były dwa, wąskie, z białym numerem ewidencyjnym na żelaznej ramie i kocem w kolorze niedojrzałych truskawek; marzył o biurku przed oknem, a za oknem o dębie wiecznym, i biurko takie miał, a dąb stał. Czego mógł więcej oczekiwać, przecież nie tego obrazka nad łóżkiem ze śniegiem i pingwinem w roli szwarccharakteru, i nie tej panny obok, w kwiecistej sukience i pantofelkach na półobcasie, która mówiła:

- Ja się nazywam Sonia, będziemy razem w buchalterii pracować. Ja mam podobny pokój, ale stąd nie widać, bo to pawilon B jest. A u mnie na obrazku są palmy i pusta łódka na plaży.

- Sonia - dwusylabicznie powtórzył Jurek i pierwszy rym, który przyszedł mu do głowy, był z uszami jak wachlarze i wielką trąbą. - Sonia. Co za ładne imię. Tylko trochę tak śmiesznie mówić do pani pani Soniu.

- Ja teraz muszę na parter do pralni zejść, znowu gdzieś prześcieradła poginęły. A potem mogę panu teren i biura pokazać... jeśli pan chce... No to za chwilkę w sieni.

- Chcę, mogę, muszę - wyliczył Jurek, zamykając cicho drzwi. - Jestem, mam, posiadam, stoję, myślę, pragnę, wiem. Nokaut.

Rozejrzał się uważniej po pokoju. Ściany już wymienione, biurko i łóżka zauważone, ciemna szafa po prawej stronie od drzwi jeszcze nie, za oknem wciąż dąb. Za oknem także, lecz dopiero teraz, sylwetki dwóch białych kitli, mijających się na alejce i ściskających sobie pospiesznie dłoń, i kot, na szczęście też biały, zdziwiony, że ptak fruwa, w sercu zaś Jurka obraz pustyni i oazy raju na skraju, w kraju ciągle wojna, a świat wbrew kotkowi pieski; pieski, czarny i zły.

Komu, gdzie, co i jak? - zadumał się Jurek siadając na biurku, tyłem do okna. Czy u Pana Boga za piecem, a piec z kremowymi kaflami też tu jest, w samym kącie obok szafy, można jeszcze mieć normalne pytania, kiedy wszystko wrze, kiedy jedni drugim i człowiek człowiekowi. Lepiej pytać wąsko, na przykład, czy już skończyła na dole w pralni liczyć prześcieradła, czy w sieni każe już falować kwiatom i lśnić zarękawkom.

Zalśniła też uśmiechem, gdy Jurek zaproponował bruderszaft lemoniadą, póki nie przywiezie czegoś lepszego.

- Pan Jurek... Jurek będzie tam często jeździł... często będziesz do Warszawy jeździł? -

spytała, gdy wyszli na alejkę za pralnią. - Ja tam się prawie nigdy nie wybieram. Nie lubię tego miasta; tutaj jest chociaż tyle drzew i na wiosnę zieleni, i nawet w nocy można na niebo i na gwiazdy popatrzeć wyjść. Trochę jak nad moim morzem.

Jej morze, jak się zaraz wyjaśniło, było kiedyś także naszym morzem, jej fale oblewały nasze plaże na odcinku dwustronnie wyznaczonym i międzynarodowo zatwierdzonym, jej bursztyny należały do naszego państwa potencjalnie w piasku i konkretnie w broszkach oraz koralach, lecz jej miasto rodzinne nasze całkiem nie było; jej miasto było - śmiał się Jurek - jak panna na wydaniu, jak taksówka albo riksza bez pasażera, jak ślimak niebożę, aż do pierwszych strzałów z pancernika.

- Ach, to dlatego oczy Soni szerokie jak prawdziwe morskie muszle i stąd urocza składnia Soni, to znaczy czasownik najlepiej na końcu, i akcent, nieduży.

- Nieduży? - Sonia się uśmiechnęła i pokazała, że skręcą w alejkę po prawej stronie. - Najgorzej chyba z tym r.

Rzeczywiście, zbyt może było chrapliwe, jak na piękną szyję, gdy Sonia pokazywała fermę z germańskimi już kurami i w ogóle drobiem na użytek szpitala, i z czarną krową w kropki niemal bordo; gdy oprowadzała Jurka po różnych zakamarkach, tam gdzie mur kręcił się niczym serpentyna i gdzie na skwerku będą wkrótce kwitły róże i rosen w konfliktowym, jak to one, towarzystwie. Dziwne było r i dziwna była chyba cała Sonia, skoro bardziej niż o wieczności zaczął Jurek myśleć o czasie przyszłym prostym, pewnie zbyt prostym, i skoro mówił jeszcze więcej niż myślał:

- Jak tu tak chodzimy z panią Sonią, no... z Sonią, odnoszę chwilami wrażenie, że to miejsce jest mi przeznaczone. Że mnie tu czeka wiele niezwykłych rzeczy. Bo już teraz tak tu się dobrze przy pani, przy Soni znaczy, czuję.

Obejrzeli jeszcze kuchnię z piekielnym, wymruczał Jurek, kotłem za pewne grzechy, potem świetlicę o tej porze zamkniętą niczym, wedle porównania Jurka, większość niewieścich serc i zawrócili na centralną aleję, mijając leniwie spacerujące w pełnym słońcu grupki piżam. Przeszli obok ławki na nowo pustej, lecz jakże już pamiętnej, obok kotłowni z pagórkiem węgla przy wejściu i dotarli do głównego budynku administracji, na prawo od bramy, gdy przez nią wchodzić, na lewo dla uciekających. Weszli do dużego pokoju na parterze i Sonia starannie zamknęła drzwi.

- Honnette, dyrektor, ma gabinet naprzeciw - powiedziała zniżając głos. - Ludzki człowiek, całymi dniami czyta. Przyjechał z Freiburga, w Schwarzwaldzie. Bardzo gruby i wciąż mu grdyka lata, to podobno oznaka dobrego charakteru. Czasami do niego przyjeżdżają. Ci na czarno, szczególnie dwóch takich, ale nic się nie dzieje. Z tym, co cię przyjmował, z

Kaltzem znaczy, też można wytrzymać, on jest z Weimaru, ani słowa nie mówi po polsku i się go omotać da... ty pewnie dobrze niemiecki znasz?

Jurek przytaknął opuszczeniem powiek, krągłych za grubymi szkłami jak muszelki, szkoda, że tylko słodkowodne, i podszedł za szerokim gestem Soni do najbliższego biurka.

- Tu nasza maszynistka Bronka siedzi. Świetna dziewczyna i pracownik, stuka obiema rękami, całą dziesiątką, nawet po pięć stron na godzinę. Bardzo miła, trochę nieśmiała i smutna. Ma dwa śliczne czarne warkocze.

- Lepiej chyba nie ciągnąć - mruknął Jurek i stanął przy drugim biurku.

- Tutaj siedzę ja, tutaj Jabłkowska Fela, sekretarka głównego, na nią trzeba uważać. Tutaj Quick, z Heidelbergu, zamknięty w sobie, dokładny, ale niezbyt mądry i całkiem niegroźny.

Trzem dalszym biurkom nie przydzielono jeszcze pracowników; przy pierwszym wolnym, niestety tuż za Jabłkowska, Sonia posadziła na próbę Jurka, dwa pozostałe rezerwując dla pary wciąż nieznanej, wkrótce pewnie zatrudnionej, bo w Tworkach coraz więcej chętnych, w miarę jak frontu przybywa, na zupę o stałej godzinie i obłędną porcję chleba rano, gdy kur zapieje. Tymczasem Jurek obejrzał teczki, klasery i ołówki równo ułożone w pudełku, liczydło z czarnymi i żółtymi krążkami i maszynę do pisania, tyle że z gotycką czcionką. Dotknął ostrożnie jej metalowej ściany, przesunął delikatnie wałek i znienacka wypalił kilka razy w klawisze, przerywając ciszę głośnym huk puk stuk oraz wpisując czarne na białe, rozstrzelonym, jak nakazywał Zeitgeist, drukiem: „W biurze Fela jest i Bronia, mnie króluje panna Sonia”. Sonia pochyliła się, Niagara wylała swe wody na ramię autora. Po wspólnej lekturze Jurek sam usłużnie zmiął kartkę i wrzucił ją zręcznie do kubła, choć ostatnio zwyczaj zalecał podpałkę, rumieńcem odpowiedział na rumieniec i wyrozumiałym uśmiechem na wskazany zegarek.

- Muszę już gonić - powiedziała Sonia - już prawie piąta.

Jurek usłużnie przepuścił Sonię w pierwszych i drugich drzwiach, krok w bok, korpus lekko w dół, serce raczej w gardle, na ustach półsłodkie „proszę uprzejmie”. A potem były już tylko szybkie kroki w przód, dla jednych brama wyjściowa, dla innych żwirowa alejka aż do zniknięcia śmigłej sylwetki, lecz gdzie - nie wiadomo, bo przez kratę kiepsko widać i metal boleśnie wrzyna się w policzki, i metal wrzyna się w policzki.

Za plecami Jurka zatrzymała się z piskiem kolejka w kierunku Warszawy, wypuściła z siebie garstkę ludzi, jeszcze mniej osób wchłonęła, wśród nich jednak żadnego mężczyzny w młodym wieku, w grubych okularach, z wyświechtaną teczką, w której leżał tomik, jabłko już nie. Jedyny ktoś taki w okolicy szedł właśnie, ostrożnie manipulując podeszwą pośród kałuż

po wczorajszej ulewie, ścieżką wzdłuż torów, jakby dla niego zostały położone te podkłady z bali pachnącego smołą drzewa i te lśniące szyny wiodące przez Komorów, Nową Wieś, Kanie Helenowskie, Podkowę i Milanówek donikąd, aż wreszcie pojawią się pierwsze czyste polany i kryształowe wody, i trawy bez zbędnych odgnieceń, no i niebo ciche, smagane tylko koronami drzew i najlepiej błękitne. Już nawet tu, nie tak daleko za szpitalnym ogrodzeniem, jest nieźle, łąka cicha niczym ziemia po potopie, mosteczek jak wiara nieugięty i jak nadzieja zielony, a pod nim rzeczka płynie, niewielka, przejrzysta, z rybkami znakami miłowania, mniejsza o jej nazwę Utrata, odejmującą cośkolwiek od ładnej całości. Gdyby tak jeszcze nad rzeką i na łące po gorącym podwieczorku lub przy rannej rosie ręce pociły się razem i opuszki wzajemnie się dociskały, gdyby oczy ciemne lśniły do niebieskich, wiatr zwiewał żeńskie włosy na męskie usta mówiące wierszem i koniecznie do rymu strofy o tym dziwnym, lecz jednak pięknym, choć czasem nazywamy je tylko długim snem, lub po prostu c'est la vie. Co jeszcze będzie, co się jeszcze zdarzy i co wyjdzie z tej młodości, dopytywał się znowu nad wodą czystą Jurek wpół nurek, ile czasu, którą drogą i z kim, i dla kogo, czy stanie się to, co zapisane, czy zostanie zapisane to, co przyjdzie? Lecz oto dudni od Komorowa kolejka ostatnia jak brawurowe zet w ariergardzie alfabetu, więc nie ma już co tak tu tkwić, Jureczku smuteczku, bo dalej się nie zajdzie, nic poza pytaniami nie wymyśli ani nie zapisze, bo litery są nam policzone, a kolejki poskąpione, przeto od rzeczki wróćmy biegiem na peron i widok zamieńmy na okno, i za pół godziny będzie już Warszawa, czasu akurat tyle, by Jurek napoczął poetycki opis Soni, wepchnął w pośpiechu tomik do teczki, ołówek do kieszeni i jeszcze w biegu wyskoczył w szarość dnia u kresu i egzystencji wieczornych zakazów. Tramwaj doprowadził Jurka do domu, portret Soni do połowy i wyprawę do szczęśliwego końca. Co prawda czekała jeszcze matka, otwarte okno na parterze oraz łzy, święta trójca zbyt późnych powrotów, odzyskiwania straconego i na nowo z popiołów zrodzonego krótkowidza, ale już za chwilę łza zostanie ukradkiem wytarta, kolacja podana, pomyślna wieść o zatrudnieniu skomentowana w słowach dziękujących niebu za ziemię, i zaraz, po dokładce piernika z marchewki i po dolewce pachnącej zbożowej, mógł Jurek zaszyć się w swój kąt, tam gdzie stało jego krzesło, małe biurko, książki, a na blacie leżało i czekało drugie dzisiaj jabłko jak skumulowana pokusa, i zaraz mógł wyciągnąć papier listowy, ten lepszy, sprzed wojny, i opisać w długim liście do Danki kompletny, choć pewnie nie całkiem, przebieg ostatnich wypadków.

Rozdział 3.

Z Danka to było tak. Pewnego dnia Jurek wyszedł z domu po obiedzie beztroski niczym młody hrabia i pojechał do cioci Ireny na Solec pomóc w noszeniu węgla, bo od kiedy wujcio przeniósł siebie sam jak worek na tamten świat, bidulka została bez nikogo, i choć dzielna, męskim pracom nie zawsze podoła. A taki węgiel to ho ho, ileż razy po schodach trzeba przelecieć, i piwnica tak głęboko. No więc wtaszczył Jurek węgiel, ręce po czarnej robocie umył, za wujcia z ciocią przed zdjęciem z czarną tasiemką się pomodlił, a tu Irena nalewkę z czarnej porzeczki stawia i żeby paluszkom nie dać odpocząć, prosi Jurka taki list napisać do siostrzenicy w Ozorkowie, bo starej głowie trudno przecież myśli ułożyć, a milczeć zbyt długo to znowu wstyd i hańba. Zebrał Jurek od cioci wszystkie ostatnie wieści od Isjasza po rwanie w boku, podziękowania za wierną pamięć i za porzeczki na kompot, życzenia sukcesów w pierwszej pracy zawodowej za biurkiem, ułożył wszystko wierszem, a gdy ciocia wpierw się roześmiała, a potem lekko skrzywiła i podrapała w siwą głowę, przepisał całość bez rymów, lecz w zamian wyżebrał zgodę na osobiste postscriptum.

„Droga markizo, dopisek mój krótki jak zaproszenie do tańca, mam dwadzieścia jeden lat, ciocię Irenę kocham i szanuję, interesuję się też poezją i książkami, lecz o Tobie, markizo, wiem wciąż niewiele. Czy zechcesz zatańczyć ze mną walca?” Dziewięć dni później drogi wicehrabia, dlaczego psiakrew wice, dowiedział się, że Danka z Ozorkowa również się interesuje, również kocha i szanuje, lecz lat ma dziewiętnaście, i wolałaby nigdy nie wymieniać zdjęć, aby pozostać za zasłoną tajemniczości; wiele też myśli o kwiatach i cichych ustroniach, również uważa, że życie jest piękne i dziwne, a jej kot nazywa się Amicis jak serce. Na co Jurek odpisał, że w tym pięknym i dziwnym najważniejsza jest miłość, a najgorsza samotność, zwłaszcza w czasach ciężkich jak teraz, i uzyskawszy potwierdzenie, że istotnie przyjaźń liczy się najbardziej, mógł ze spokojem długodystansowca otworzyć kronikę codziennych zdarzeń i myśli, frankowaną raz na tydzień, raz na tydzień wymienianą za kronikę prowincjonalną, świeżą i wdzięczną jak cichy domek w chabrach, jak Amicis na parapecie.

Zdjęcia zgodnie z prośbą Jurek nie wysłał, lecz niezwłocznie opisał, jak to mniej więcej wygląda. „Podaję kilka danych personalnych o sobie - zaanonsował bez ogródek w drugim liście. - A więc przede wszystkim urodziłem się (największy dotychczasowy błąd w życiu). Światło dzienne, a ściśle biorąc, nocne, gdyż właśnie w nocy wydałem pierwszy tryumfalny okrzyk, ujrzałem w Warszawie. Kalendarz w tej dziejowej chwili wskazywał datę 16

maja 1921 roku. W Warszawie wychowałem się i wyrosłem, i może dlatego mam dla Niej tyle ukochania i uwielbienia. Dzieciństwo spędziłem według słów poety sielsko, anielsko. Gdy miałem dwa lata, przybył mi do towarzystwa brat, któremu dano imię Witek. Potem przedszkole. Trzy lata beztroskiej zabawy. Jadłem kaszkę z mleczkiem i... byłem szczęśliwy. A czas mijał, lata biegły. Ukończyłem szkołę powszechną i zacząłem dobijać się do wrót dawno upragnionego gimnazjum. Świat wydawał mi się już teraz wielki, wspaniały, potężny. Zacząłem czytać, dużo, namiętnie. Cztery lata spędzone w gimnazjum zaliczam do bardzo miłych chwil w mym życiu. Po ukończeniu gimnazjum zdałem egzamin do liceum administracyjnego. I wreszcie po dwuletnie nauce – egzamin maturalny, nigdy nie zapomniany, nawet w tym bujnym i obfitym w przygody życiu uczniowskim. Wydawało mi się teraz, że świat cały jest moją własnością, że wszystko stoi przede mną otworem. W momencie gdy złożyłem papiery do Wyższej Szkoły Handlowej, przyszedł pamiętny wrzesień. Wojna! To słowo poderwało wszystkich nas młodych. Zapaliło w nas entuzjazm i uniesienie. Ojczyzna w niebezpieczeństwie! Jakżeż strasznym, przejmującym do dna duszy bólem było przebudzenie. Przebudzenie tym boleśniejsze - puentował Jurek ostro, potem już tylko pozdrowienia i moc głaskania dla Amicisa - że niespodziewane.”

Rozdział 4.

Kiedy Danka czytała o kolejce wywożącej Jurka w nowe za miastem, o rzeczce za płotem jak modry Dunaj w krainie szarych ludzi, o pokoju z pingwinem i wartowniku na spocznij przy topolach na baczność, Jurek już nie burek, lecz homo księgujący i człowiek do wszystkiego, od trzech dni kolejkę słyszał tylko z dala, w rzeczce się nie przejrzał, od trzech dni wciskał cyfry w rubryki i pisał po naszemu, co mu naszprechano. Obok biurka Broni i Jabłkowskiej sekretarki postawił Jurek w tym czasie, dla nas w tamtym, swe ciało, zawieszone jak wszystkie inne między zapłatą a zatratą, lecz jak na wojnę całkiem dobrze teraz ustawione, bliższe ulotnej marki i złotówki efemerydy niż zwycięskiej grawitacji trzy stopy pod ziemią. Bo oto Kaltz choćby, zwierzchnik bezpośredni, z uznaniem przyjął miłą obecność Jurka przy swej szwabskiej mordzie, gdy kupować trzeba było taniej, więcej i oby wreszcie do zjedzenia w pruszkowskiej serowni. Jurek zagadał z boku z kierownikiem Żwirkiem i z podestu nad dojrzewalnią przypomniał zebranym pracownikom bajkę o kruku i lisie, prosząc, by częściej i do czego mieli się uśmiechać nasi wariaci. Na razie było to sześć ekstra kilo tłustego na dobry start i odległą metę.

Jeszcze lepiej poszło Jurkowi w sąsiedniej rzeźni. Stanęli z bladym już Kaltzem za zwojami szlaucha i patrzyli, jak pan Staś wciąga przez otwarte wrota polską krowę. Uniesionym sztywno zadem wycinała z tła lasu swój ostatni kształt istnienia, odwrócone pudło skrzypiec, aż przystawała wreszcie pod jasnym sklepieniem hali. Mogło być to i jej niebo, gdyby w lśniących na nim hakach dojrzeć gwiezdne konstelacje. Pan Janek czekał, aż krowa na chwilę zastygnie, odda ciszy, co w niej z krzyku, i walił w łeb młotkiem, a pan Karol pierwszy skrzypek jednym pociągnięciem noża podrzynał, ze stojącego i ryczącego czyniąc bezwładnie leżące; niebo się zniżało i zarzucało pakiet na swą wysokość. Kaltz, wpatrzony w górę, wreszcie zemdlał. Niczym najdelikatniejsza panna madchen złożył głowę na ramieniu Jurka i oddał mu brzemię swego ciała, jeszcze tu nisko, jeszcze całego, lecz już domyślnego. Gdy otworzył oczy, zobaczył nad sobą dwie miękkie słowiańskie źrenice za grubymi szkłami i wychłeptał chciwie jak ze źródła podaną mu w musztardówce bieżącą wodę. Wreszcie las za wrotami się zatrzasnął, szlauch długimi strumieniami odbarwił całą scenę, ciężarówka wypełniła się górą wołowego nie tylko z kością i Kaltz cicho, tak by szofer nie dosłyszał, podziękował Jurkowi i poklepał go w ramię. Gdy wracali, spodobał mu się też sposób, w jaki Jurek ponownie nurek, a właściwie flądra, ochoczo rozpłaszczył się przy nim na podłodze cięża-

rówki i przyrzekł później zataić przed światem jego, Kaltzową, kwerendę pod ławką na pierwszy odgłos bandyckiego wystrzału czy, mówiąc między nami, herr Jerzy, pierdnięcia z tłumika dziurawego jak ser szwajcarski mimo całego Kruppa i Daimlera razem wziętych.

Również zwierzchnik główny, Honnette, pięknie dwuspółgłoskowy i dwój podbródkowy życzliwie przyjął Jurka w gabinecie na krótką rozmowę o pierwszej pracy buchaltera, gdy się ma lat dwadzieścia jeden, i o życiu, gdy się jest dużym, grubym dyrektorem. Opowiedział mu, jak ważne są w naszym istnieniu studia, zwłaszcza we Freiburgu, oraz jak wielką rolę odgrywa rodzina niemiecka od żony po wnuki, rosnące już na chwałę przyszłości nowej Europy, i spodobało mu się to polskie chucherko z akcentern podobnym do dziadkowego w Alzacji, gdzie dawno temu dla wygody spodnie na szelkach nosiło się krótkie i słońce grzało wprost w kolana, a dla basiorka lśniły się pyszne białe winogrona i jasna kapustka lżejsza od wszystkiego, co rośnie wszerz i wzdłuż. Jeśli przełożyć powyższe na ogólne i dodać ciche uśmiechy Broni po Jurka wierszykach oraz chichoty wielu czubków przyjaznych Jurkowej obecności na elizejskich alejkach interioru, sytuację wstępną Jerzego trudno byłoby określić inaczej niż jako

- to cytat z kolejnego listu Danki, słowo „pierdnięcie” zamienił na „pruknięcie” - niezłą, obiecującą, chwilami wręcz beztroską.

No a Sonia?

Po wtorku była środa, z nieba woda. Na ulrychowskim parterze budzik tylko cykał, lecz już paliło się światełko w drżącym reisefieber. Zbożowa kipiała, perfuma pachniała, najgorzej było z koszulą. Bo drugi raz ta sama to jak życie po życiu i cała wiadoma o człowieku od rana do wieczora.

- Albo ta beżowa, albo krawat - pieklił się Jurek nad kawą w miarę czarną pachnącą, w smaku przeciętną. - Nic do siebie, psiakrew, nie pasuje. Że ja też muszę mieć wszystko po ojcu. Koszula ojca, garnitur ojca, kiepski wzrok ojca, zakola nad czołem też ojca. A deszcz i tak mnie zmoczy.

Mama przetarła filcem okulary, włożyła je Jurkowi na nos i uśmiechnęła się do swej młodości w kawiarni Ratuszowej i w Ogrodzie Saskim, z pobliską mansardą, gdy poczynał się, także w jej łożu, Cud nad Wisłą. Rzeczywiście, przypominał ojca Jana i męża Janka, kiedy tak kładł rękę na wysokim czole i taił w oczach uśmiech, kiedy tak kręcił śmiesznie głową i bielił mu się puch na uszach. Więc jeszcze chwila, jeszcze zbożowa starannie dopita i Cud nad Wisłą był wreszcie gotów. Nad beżową koszulą błysnął fular w kolorze kawy, jasnobrązowa marynarka opięła wyprężone plecy, pasek załapał się na lepszą dziurkę, wszystko spowił jasny płaszcz, o butach lepiej nie wspominać, bo w domu się nie przelewa, bo w domu

piernik przecież jest z marchewki, a masło ze wspomnień, ale zelówki odstukały swoje, gdy Jurek przemknął przed oknem z przyklejoną do szyby twarzą mamy i gdy na przystanku podskakiwał aby do wiosny Matczyny czerwony parasol, bo ojciec niestety zgubił swój czarny jeszcze przed łapanką, zniżył szybko swe podloty, przytłoczony strugą deszczu, i uniósł się dopiero na widok spóźnionej siódemki. W tramwaju podsechł Jurkowi grzbiet, w kolejce wyschło najważniejsze - mankiety u spodni.

No a Sonia?

Była środa, z nieba woda. Deszcz stukał od piątej rano, Sonia wyskoczyła z łóżka o szóstej, no dobrze, zwlekła się o szóstej trzydzieści. W pokoju było jeszcze dość ciemno i stała w koszulce nocnej jak błyszcząca zjawa przed skromnym śniadaniem. Na biurku czekała już, zawinięta starannie w pergamin, wczorajsza bułeczka i na spodku czerwieniła się marmolada z brukwi, lecz nie, najpierw umyła się Sonia pod prysznicem na końcu korytarza, gdzie wzrok nie ma wstępu i tylko słychać stukające klapki i szelest zrzuconego szlafroczka. Coś tam się musiało jednak stać, jeśli wróciła z mokrą głową, choć do soboty było daleko i octu nie miała tak dużo. Teraz wycierała włosy zielonym ręcznikiem i tyle się od tego działo w powietrzu, że aż podskakiwała bułka i rozdzwoniła się szklanka z łyżeczką. Nieszczęście, że do puszystej fryzury tak niewiele pasuje, tak jak nie pasuje ziemia do Niagary, bo przecież w żadnym razie nie nadaje się ta wczorajsza sukienka w kwiatki, a już na pewno nie szara spódnica do kompletu z szarą marynarką niczym myszki bliźniaczki; lepsze byłyby może czarna spódniczka i biała bluzka, ale co to, akademia, i zresztą po co tę szafę wietrzyć, i tak od wczoraj przed zaśnięciem dobrze wiadomo, że dzień spędzi Sonia na niebiesko-żółto, jeśli tylko przestanie padać, szczupły mężczyzna będzie znowu ciepło patrzał i tak śmiesznie opowiadał, wymachując dużymi przyjaznymi dłońmi, a wszystko nie będzie za bardzo pogniecione.

Było. Sonia szybko wyciągnęła spod łóżka żelazko wyniesione z pralni, bułeczka miękkim lotem wylądowała na kołdrze między garsonką i bluzeczką, a marmoladę koci język Soni usunął ze spodeczka, zanim jeszcze pan Jan, wywołany z sąsiedniej stróżówki przez okno i posłany do kotłowni, przyleciał uradowany z rozpaloną duszą na dnie wiadra. Rozgrzała cały pokój, gdy Sonia prasowała swą ulubioną sukienkę, i rozjaśniła niebo, przeto można było już pogwizdywać i obejrzeć się w lustrze. Raz już to przeżyłaś, zapewne powiedział jej sobowtór, chichocząc się głupio, tyle że pan nie przyszedł na spotkanie i cały dzień utopił się w przedwcześnie zmrożonym szampanie, i nowe kolczyki runęły wściekle na dno akwarium, ale to zrozumiałe, bo był taki przystojny, wysoki i amerykański jak niestety nikt w tym parszywym kraju. Szminka zostawiła na szklance z herbatą czerwony ślad, zmieszała się z bułeczką, tak że Sonia aż się zakrztusiła i wróciła karnie pod lustro odmalować przejedzone, zabarwić

zmoczone, lecz może spragnione. Pan Jan czekał cierpliwie przy wyjściu i coś tam gmerał w popsutym zamku. Te pięć minut rozmowy o tworkowskich nowinkach, o tym, jak Goethe dał w buzię Bismarckowi, bo mu Bismarck kolejny raz podkosił cygaretkę, o Kleopatrze, która wczoraj wyszła z pawilonu znowu bez majtek, i o tym, gdzie spędził noc Kaltz, i co mówili wczoraj w Londynie, miała Sonia wliczone w rozgrywkę porannych wyjść, podobnie jak ukłony i krótkie wymiany komplementów za grzeczności na alejce głównej. Tym razem Rubens pochwalił kolory jej sukienki i dobrze stawiane stopy dzięki wspaniałej pracy kolan, a Diirer docenił jeszcze staranniejszy niż zwykle makijaż. Podziękowała im uśmiechem i życzeniem dobrego dnia, a zwłaszcza obiadu, i wśród szpaleru kolejnych powitań i serdecznych dzień dobry doszła do bramy wyjściowej.

Na tworkowskim peronie kałuże odbijały już pogodne prawie niebo i parasol niemo wpuścił ostatnie drobne krople w swe czerwone morze. Poza Jurkiem nikt nie wyskoczył, a nawet nie wysiadł z kolejki, i było cicho jak przed koncertem. Rzeczywiście, pod wiatą coś po chwili zaskomlało i zapiliło, to ten sam co wczoraj żebrak już grał na skrzypcach, zwłaszcza na strunach dolnych. Nieźle się zapowiada - pomyślał Jurek - czerwony parasol, sonata, koszula bez krawata. Żeby tylko czekała.

Czekała, trudno to sobie wyobrazić, ale Jurek przed zaśnięciem potrafił, czekała przy samej bramie wejściowej, gawędząc z wartownikiem wreszcie na baczność jak sosna przed ścięciem.

- Ale masz parasol - roześmiała się - dobrze, że już nie pada.

- Czerwony parasol, sonata... - zaczął dziarsko Jurek, ale umilkł nagle pod niebieskim wzrokiem wartownika.

- To jest Johann - powiedziała. - Wyobraź sobie, że przed wojną mieszkał w Baden-Baden.

Po pierwszym Baden Johann uśmiechnął się lekko i odszedł na parę przepisowych kroków.

Weszli. Jurek przyjaźnie poklepał kratę i poczekał, aż Sonia się odwróci.

- Los tak chciał... - powiedział cicho i spojrzał prosto w zdziwione oczy -...będę buchalterem.

- Mamy jeszcze kwadrans, chodź, coś ci pokażę.

Minęli budynek administracji i wbiegli na alejkę wzdłuż ogrodzenia. Za szóstą brzozą Sonia skręciła nagle w lewo i śmignęła między wysokimi krzewami jałowca. Jurek jeszcze biegł, gdy rozbujała się huśtawka. Tam wysoko przy koronach drzew podeszwy z jasnobeżowych stawały się ciemne, a niebiesko-żółta sukienka Soni raczej śmielsza i barwniejsza niż

dobrze uszyta. Opadając, rozszczepiała swe kolory w soczewkach krótkowidza, a beżowe na powrót podeszwy zjeżdżały pod nos Jurka jak niecierpliwe mikrofony na długich, szczupłych nóżkach. Toteż Jurek mówił:

- Znowu będzie dzisiaj ciepło, mimo porannego deszczu. Taka ładna pogoda w tym roku. Grzeje jak w lipcu. Dawno już nie było równie błękitnego nieba.

Huśtawka wystrzeliła pod błękitne i zawisła na ćwierć sekundy, tak aby Sonia mogła się wydać niedosiężna, nadto więc kobieca. Całowanie najlepiej byłoby zacząć od uszu i szyi, a potem zjeżdżać wraz z huśtawką w dół, gdzieś do pół metra nad ziemią. Na razie można by wspomnieć to i owo o wzlatującym łabędziu i pięknu, którego się nie da schwycić lub przyhamować, chyba że samo zechce.

- Nie chcę się chwalić, ale doprawdy piękny mamy koniec marca w tym roku - powiedział Jurek na samym dole i nieefektownie zmiął kapelusz. - Ze nie wspomnę o łabędziach.

Sonia wychyliła się mocno, wyciągnęła szyję, pokołysała głową niezależnie od huśtawki i nabrała kolejnego rozpędu, lewą ręką przytrzymując sukienkę nad tym, co Jurkowi nie przyszło na myśl, lecz wręcz przyleciało. No nie wiem, czyją złapię, bo nie jest na ziemi - tak to jakoś wszystko po raz pierwszy odczuł; huśta się za wysoko i może jest nazbyt smagła, jak na moją białą cerę. Z większym już spokojem włożył kapelusz i dopiął płaszcz przy brzozie orędowniczce bieli.

Nawet na jasno i na blado nieźle jednak wyglądał w łuku jej pnia, gdy spojrzeć na niego z góry, z dołu i znowu z góry. Ręce wcisnął w kieszenie i klamra paska znalazła się dokładnie na środku Jurka, dzieląc go na równorzędne połowy, jak cezura w dobrym wierszu. Po prawej, tam gdzie się Jurek kończył i rymował, płaszcz prostą linią schodził aż pod same mankiety spodni. Mankiety, o których trzeba by długo, tak szeroko rozlewały się nad nie bardzo skórzanymi i cienkimi w tej rozległej perspektywie butami. Lecz przede wszystkim się układały: ich fala była zawadiacka, wyliczona przez krawca co do centymetra przesady, która etapowała zapowiedzią wielkości ukrytej pod uszytą na miarę materią. Wyżej, cztery guziki nad klamrą, wpół uniesiony kołnierz rozbiegał się typowo na dwie odnogi, odsłaniając przed stojącym lasem i zawieszoną kobietą podbródek niezbyt stanowczy, ale świeżo spryskany wodą kolońską, usta lekko zaciśnięte, jak na amerykańskie nieco za wąskie, nos z tych większych i uszy z bardzo dużych, w sam raz dobrych pod kapelusz, on jeden zdecydowanie ciemniejszy od brzozy. Jako gangster zamordował już Jerzy tak na oko niejednego, jako Rudolf z tych Valentinów niewiele miał chyba na sumieniu, a jako on we własnej osobie tyle tylko teraz ważył i znaczył, co go widziano i kwitowano.

- Dobrze tak z góry wyglądasz - powiedziała Sonia, zeskakując lekko na ścieżkę i

przypatrując mu się uważnie. - Ten płaszcz świetnie ci się układa i kapelusz doprawdy prima sort. A moja altanka ci się podoba? Właściwie z altanki jest tu tylko huśtawka i ta ławeczka pod brzozami. Często tu przychodzę, jak wolną chwilę mam. Przed samą pracą też, bo ja bardzo wcześnie wstaję. Tylko się nie śmiej. Przyrzekniesz, że się nie będziesz śmiał?

Z kolan byłoby szczerzej i bardziej stosownie, ale ostatecznie przyrzekł z ławeczki.

- Bo wiesz, Jurku, ja bardzo huśtać się lubię. Od dziecka. Nad morzem ogródek z altanką mieliśmy. Huśtało się bardzo wysoko, tata założył specjalne, grube liny.

- Dlaczego tak bardzo lubisz się huśtać? - spytał Jurek małym palcem prawej dłoni złożonym na łokciu Soni.

- Lubię... trudno powiedzieć. Jestem tu i zaraz potem tam, wyżej. I z powrotem. I znowu tam. Nie trzeba chodzić. Bo ja wiem...

- Skąd się tu wzięła taka huśtawka? - palec się odgiął, ale tylko trochę.

- Jeden pacjent założył... ten, co wczoraj z tobą... on napisał taki wiersz o ludziach na huśtawce i mi go przeczytał, dziwny jakiś, ale mówi, że to na pewno wiersz. No i tak od słowa do słowa. Najtrudniej było z drabiną, na szczęście Rubens pomógł mu ją tutaj przynieść i bardzo pilnował, żeby nie spadł. Nie wiedziałam ja, czy się śmiać, czy płakać mam, jak tak trzymał on kurczowo drabinę i powtarzał: zaraz, głupku jeden, zlecisz, zaraz, ty głupku, zlecisz.

Jurek tymczasem spoważniał. - Czy nie zastanawiałaś się kiedyś, jak mało na tym świecie jest miejsca na dobroć? Jakże rzadkim zjawiskiem wśród ludzi jest człowiek. Człowiek, który miałby duszę. A dusza to głowa i serce. Zwłaszcza, Soniu, serce. Serce.

Sonia potaknęła głową i spojrzała uważniej na mankiety Jurka. Świetnie się układały, zupełnie po amerykańsku, nawet jak tak siedział z nogą na nogę i zbierał w grubych okularach pierwsze promienie słoneczne.

- Jakżeż niewielu posiada jedno i drugie. A przecież dopiero zespół tych dwóch czynników zgodnie ze sobą harmonizujących daje to, co nazywamy kulturą duchową, tworzy jednostkę naprawdę wspaniałą i wielką. Dewizą takiej jednostki jest zapomnieć o sobie, a nie zatracić siebie. Zapomnieć o sobie, to znaczy odnaleźć swoją, ponad sobą leżącą oś, wokół której porusza się i obraca życie nasze. A nie zatracić siebie, znaczy być wiernym sobie na zasadniczej linii życia, być wiernym tym ideałom, którym się... hu... hu... ho... no... hołduje.

Sonia raz jeszcze przytaknęła.

- Ale Jurek zatroskany w pierwszym dniu pracy - dodała po chwili i zmarszczyła w śmiesznej minie nosek, tak że dziurki w policzkach na chwilę się wypełniły i dopiero za chwilę mogły się na nowo podobać, i pasować do twarzy jak Jurka marzenie, jak Jurka dążenie i

aktualnie milczenie. Wreszcie i Jurek się uśmiechnął, i dołożył drugi palec do łokcia Soni.

- Pierwszy dzień pracy, drugi dzień uniesienia. Sonia wyzwala fale wzruszenia. Wiesz, tak bym chciał o wszystkim, o wszystkim od razu porozmawiać, tyle opowiedzieć.

Sonia roześmiała się i zupełnie jak wczoraj spojrzała na zegarek.

- Trzeba iść - Jurek wolał westchnąć pierwszy. - Na pewno trzeba już iść.

Kilka chwil później Sonia zaprowadziła Jurka wszędzie, gdzie wypadało, podstawiła pod baczne spojrzenia i powitalne dygnięcia promiennych od rana i od rana znużonych, jak to w klasie pracowniczej bywa, i posadziła za biurkiem z pierwszą ewidencją, co prawda niezbyt dla Jurka oczywistą. A gdy nagle niczym wyczekiwany monsun przyszła pora obiadowa, przynosząc spragnionym mokry krupnik i wilgotne w sosie kartofelki z połówką niby kotleta, ustawiła przed Jurkiem górę pracowniczych menażek, wyjaśniła system dna zwycięskiego nad wierzchem i sama nalała mu aż po brzegi danie pierwsze, podział drugiego pozostawiając zainteresowanemu, coraz bardziej wdzięcznemu, także zaskoczonemu, wciąż zadurzonemu i jakże jeszcze młodemu.

Kiedy po pierwszym fajrancie, obwieszczonym bimbaniem zegara i gwałtownym zatrzaśnięciem niemieckiej teczki Quicka, zaskoczony i zadurzony wyszedł niepewnie przed budynek prosto w plamę słońca, mrużąc oczy fizycznie i psychicznie, Sonia czekała już przy bramie, uchylonej niczym wnętrze metafory. Ja i ona jak dwa koła pędzące wspólnie w otwartą przestrzeń czasu, pomyślał, ona i ja niby wypuszczona z pracy wieczność, nieznana para bohaterów, szczęśliwie połączona w ostatniej linijce sonetu.

- Chcesz, to jeszcze okolicę ci pokażę, skoro taki ładny dzień jest - powiedziała Sonia i ruszyła pierwsza krokiem zbyt szybkim do nowych porównań. Szli w stronę Pruszkowa brukowaną drogą wśród niskich, podobnych do siebie domków i rozpięty płaszcz Jurka nadymał się wezbraną od wiatru odwagą.

- Słuszność miał poeta - rzucił w stronę sukienki falującej przed nim to na żółto, to na niebiesko - słuszność miał mówiąc, że kobiety umieją budzić w nas najwznioślejsze uczucia, że bywają niewidzialną sprężyną czynów, wymagających niezwykłego natężenia sił. W szczególności...

Sonia skręciła ostro w lewo, na Komorów i wbiegła na wąską ścieżkę wśród uśpionych sadów. Przez chwilę szli gęsiego, Sonia, słowa Jurka i na końcu sam Jurek, aż wreszcie otworzyła się przed nimi jeszcze rozsłoneczniona polana przy Koprach.

- Ale tu ładnie - wysapał Jurek, nabierając tchu, gdy Sonia już równo oddychała. - I ty na tym tle.

Sonia stała przed jałowcem i patrzyła w ciemniejący z wolna horyzont. Rudoblond

Niagara traciła w gasnącym świetle połysk, lecz nabierała niezbywalnej twardości kształtu wokół płynnych oczu wbitych w najdalszą dal.

- Chciałbym móc to opisać. Albo jeszcze lepiej namalować. Zrobić ci portret. Ciemnozielony jałowiec i twoja postać.

- Ja też malować lubię. Ale jeszcze bardziej rysować kredkami lubię.

- Ja, gdybym był malarzem, malowałbym tyko ludzi. Ich portrety. I jak tak stoją. Ale z rysunków zawsze miałem ledwo dostateczny. Nawet ze szlaczkami w zeszycie nie bardzo sobie radziłem. Szanowna mama musiała mi pomagać, bo nigdy nie trzymały się prostej linii i zjeżdżały w dół.

- Dlaczego tylko ludzi? - zapytała Sonia i od chrypki w jej głosie pytanie zdało się Jurkowi ważne, i poczuł, że w środku robi mu się tak prawdziwie.

- Nie wiem, coś się wtedy dzieje dobrego. Twarze są takie bogate... takie bez końca. Ze aż szkoda, by nie trwały. Dlatego jak czytam, nigdy nie przeskakuję opisów. A ciała w ubraniach są takie staranne i tak bardzo chciałyby wiecznie być. Jak ja teraz z tobą na tej łące.

Okrążyli powoli polanę i Sonia pokazała, że przez las dojdą do torów. Gwizd kolejki rozniósł się potrójnym echem i mignął wśród drzew jak półwidzialna, magiczna nitka. - A ja jeszcze do kinematografu bardzo chodzić lubię - powiedziała Sonia wprost do nachylonych oczu Jurka. - Najbardziej lubię, jak się dzieje w Ameryce.

- Kiedy skończy się wojna, będziemy chodzić co dnia na inny film, chcesz?

- Tak, pewnie. - Sonia znowu zmarszczyła śmiesznie nos i teraz wskazała, którą ścieżką wrócą na przełaj do Tworek. Jurek stanął w miejscu, że nie i mowy nie ma, i długo się zapierał, gdy Sonia ze śmiechem ciągnęła go za rękaw, aż wreszcie w płaszczu trzasnęło coś ostrzegawczo. Szli znowu szybko, Sonia jak zawsze pierwsza, i Jurek sadził długie kroki, żeby nadążyć i coś jeszcze dalej, jak już wyjdą z kinematografu, proponować. W pawilonach paliły się pierwsze światełka i Sonia wyjaśniła, w których drzwiach stołówki odbiera się kolację. Znowu nalała mu tej samej zupy do menażki i śmiała się, kiedy dmuchał z przejęciem (to, droga Soniu, wicher dziejów) w każdą nabieraną łyżkę, a gdy zjadł ze smakiem pierwszy talerz, pobiegła szybko wystarać się o dolewkę.

Taka jest Sonia, takim mógłby być świat, myślał Jurek za każdym kęsem, pochłanianym metodą wsysania i długiego przeżuwania, dla świata chwilami nieco za głośną, dla trzewi na ogół korzystną. Taka jest Sonia, powtarzał sobie przez następne, chudsze dni, bo zabrakło pół kotleta i zupa się rozwodniła, lecz niezmiennie karmił się różnicą między Soni wdzięcznym bytem, między Soni piękną formą a nieuzasadnionym splotem południków z równoleżnikami. Gdyby tak zbliżyć świat do Soni, wyłuskać z niego, co najlepsze, jak kaszę

w krupniku, jak tamtą grudkę w sosie, marzył, oglądając swe lico w menażce wypolerowanej chlebem (z francuska, droga Soniu, mimo tej ich zakichanej linii Maginota), gdyby skupić jego cztery strony wokół jej biurka i jak czeka przy bramie, oprowadza po budynkach i z uśmiechem nawołuje ludzi, to czy nie byłoby? Zaś póki co i skoro poszło tak dobrze i w gabinecie, i w zaopatrzeniu, wśród naszych miękko, życzliwie wśród obcych, chwycił po tygodniu Jurek za pióro i swym pięknie kaligrafowanym pismem zaprosił z dumą na niedzielę, na przedwiosenną majówkę w celu spotkania z lepszym imago mundi w sukience konkurencyjnej wobec powszechników, wszystkich wspaniałych: Olka pseudonim Lufa, Stefka pseudonim Fajfer, brata Witka pseudonim Kos i Heńka pseudonim Literka, który kiepsko strzelał, ale książki czytał zawsze do końca i podobnie jak Jurek pseudonim Zgłoska nie przeskakując opisów.

Rozdział 5.

„Pierwsza miłość, Danusiu - pisał w sobotę wieczór Jurek, po tym jak nie znalazł Soni ani w altance, ani nigdzie, więc tylko wybrał koszulę na jutro i wyciągnął pepegi na zmianę, i długo zastanawiał się nad krawatem - pierwsza miłość, ulubiony temat piosenkarzy, felietonistów i tych ludzi, którzy obdarowują ludzkość swymi nieśmiertelnymi, monumentalnymi tworami sztuki, kryje w sobie wiele sentymentu, czasami dziecinnej naiwności, której wspomnienia przechowuje się długo w sercu. Prawie każdy z nas przechodzi okres tak zwanej pierwszej miłości. Cały świat wydaje nam się wtedy piękny, kwiaty mocniej pachną, powietrze, którym się oddycha, ma inny smak. Cień dębu potrafi obudzić tęsknotę i gorące tkliwe myśli. W żyłach nie płynie już dawna krew, lecz burzy się w nich dniem i nocą wartki, rozśpiewany, spieniony potok. Dni mijają podobne do korowodu roześmianych dziewcząt, z których każda niesie kosz, napełniony po brzegi radością. Och, bądźcie pozdrowione, wy zaczarowane dnie pierwszej miłości.”

Rzeczywiście, potok spienił się Jurkowi nocą na oczach pingwina, lecz niedzielny ranek zastał go już ogolonego, wymytego i jednak w krawacie. Cień dębu pod oknem znowu potrafił obudzić, i Jurek, zebrawszy się na odwagę, poszedł zbyt chyba wolnym jak na nocne myśli krokiem do pawilonu B. Może tap, tap to było pukanie, a gardłowe Ja, Jurek” to było siebie oznajmianie, choć Sonia słyszała ledwo szuranie i szept. Jednak i tak otworzyła, szlafroczek byt błękitny z głębokim dekoltem i łabędź znowu wzleciał. Spojrzała na zegarek, gdy Jurek mówił coś o porannej mszy w dwójkę, a ze świętym duchem to nawet w trójkę w tworkowskiej kapliczce, lecz oczy podkrążone jak cień dębu mówiły, że lepiej dzisiaj modlić się samotnie.

Spotkali się dopiero przy wejściu. Wspaniali przyjechali kolejką o jedenastej, z tłumem wizytujących przemknęli przez bramę, wyjątkowo pozostawiając wartownikowi broń. Świeciło przecież neutralne słońce, rozjemcze dla wszystkich skór i odcieni, z wczorajszym kompotem czekał, obok kogoś w niebiesko-żółtej sukience, Jurek sprawiedliwie dzielący pestki do słoików po marmoladzie, a nad rzeczką przyrzeczoną w liście do chłopaków drżała łączka spragniona pierwszych kopnięć i udanych robinsonad, żeby piłka nie wpadła do wody, a najlepsze lata też nie uszły z prądem. - Albowiem, droga Soniu, chłopaki to gracze prima sort - wraz z kompotem tak mniej więcej dzielił Jurek przed chwilą wiedzę o wspaniałych - chłopaki strzelają i kopią jak mało kto, lepiej niż gestapo leżącego, a Olek twardy łeb główku-

je w dodatku jak rzadki ajnsztajn. Swego czasu, już także naszego, czołowy napastnik miasta Warszawa i klubu czarnych koszul, i nawet przyszły kandydat do reprezentacji Polski, gdyby Polsce nie zależało tak bardzo na korytarzu i, tu taki mały, Soniu, przytyk, dostępie do ciebie, czyli do morza. Poza tym Olek jest bardzo wysoki i bardzo szczupły. Rysy twarzy drobne, chód lekki, swobodny, niewymuszony. Zawsze starannie ubrany, zawsze uprzejmy, opanowany aż do granic. Zdaje się, że nic nie zdoła go wyprowadzić ze stanu równowagi. Życiowo zaradny, o dużym wrodzonym sprycie, w każdych warunkach daje sobie radę, z każdej sytuacji znajdzie wyjście. Cieszy się, jako mój przyjaciel, dużą sympatią wśród pań. A że w stosunku do nich nie wychodzi poza ramy zwykłej uprzejmości, zdobył sobie wśród niektórych miano zarozumialca. Zresztą, niech Sonia wierzy, niesłusznie; w końcu to ja go znam najlepiej. Łączą mnie z nim od wczesnego już dzieciństwa trwałe i nierozerwalne więzi prawdziwej przyjaźni.

Na widok Jurka wspaniali radośnie zamachali, w wyciągnięte wdzięcznie na powitanie Jurkowe ręce wrzucili piłkę nie szmacianą, ale prawdziwą skórzaną, a gdy już upadła, w nadstawione Jurkowe uszy, no to co z tego że czerwone, kilka dowcipów z pewnością stosownych do miejsca, sytuacji i dziurawych kończyn poety, gdyby nie Soni obok sylwetka, Soni obok postać, Soni obok kształty, i uśmiech, i uśmiech. Dokonano prezentacji, wymieniono imiona, pseudonimy zachowując incognito, obejrzano pokój Jurka, komplementując pingwina i dąb za oknem, i wreszcie, wolnym krokiem ludzi przy wszystkich zmysłach w pogodną niedzielę skierowano się, torując sobie przejście wśród kilku rozgadanych przy bramie Napoleonów, wprost nad rzekę.

I byli razem, i była ich szóstka, gdy wypatrywali z mostku słodkowodnych ryb i puszczali w nurt gałązki i drewienka, które pierwsze, i była ich szóstka, gdy machali jak opętani ramionami, by zachęcić młyn do pracy i wzlecieć jak ptaki przed przemiałem, i była ich szóstka do powrotu drugim na zmianę brzegiem, do dzielenia bułki, szkoda, że bez szynki, lecz za to pełnej ekstra sera tłustego, którego już nie posmakuje sobie dzisiaj żaden Napoleon ani Newton, i była ich wciąż szóstka do snucia opowieści o cudach gastronomii w czasach pokoju, począwszy od cudu jednogłośnie pierwszego, mianowicie smakowicie łososia w bukiecie nowalijek i w sosie lanckorońskim z odrobiną jerezu z Algarve, dzieła babci Soni, świeć Panie nad jej duszą, i dodaj kieliszek wina mozelskiego, aż po cud ostatni - jajecznicę z cebulką na bekonie w wykonaniu braci Jurka i Witka; lecz była ich tylko piątka, gdy na środek łąki wytoczyła się futbolówka, było pięciu jedynie, gdy trzeba było zakasać nogawki, poprawić okulary, to Jurek, bądź dziarsko splunąć, to pozostali, i pokazać siłę polskiego uderzenia oraz polskiej obrony.

Ta szósta wygodniej oparła się o drzewo, stuknęła kubkiem o kubek i rozpoczął się mecz do bramek z pieńków brzozy między Olkiem a wybraną resztą świata, najlepszego, naprawdę, z możliwych. A ile jest gwiazd na niebie, tyle razy sobie piłkę podano i odebrano, a ile jest ziaren na polu pszenicy, tyle razy kiwano i dryblowano, stopowano i uderzano z woleja, a ile jest plew, tylekroć faulowano. Oto piłkę przejął Olek, właśnie ją podbił lewą nogą, podrzucił w górę, przyjął na prężną pierś, a opadającą już na ziemię podniósł sprytnym ciosem kolana, przerzucił nad głową Witka w chmurach i teraz już pod piłką, siebie przeniósł bokiem, lecz nie zawadzając o odwrócony korpus Staszka, uderzająco podobny do żony Lota, przesyłkę zastopował lepiej niż sam Achilles, z piłką przy nodze podbiegł do Heńka, choć mógł w zasadzie podejść, zrobił zwód w lewo, pozostawił Henia odaliskę rozłożonego na boku, z łydką wdzięcznie obnażoną, i pognał dalej na złamanie karku, tyle że nie swego, no kto zgadnie czyjego, Sonia zgadła od razu, jasne, że świętego Jerzego walczącego od zarania niedzieli ze strasznym smokiem, niestety wbrew legendzie już powalonego smoczym bodiczkiem, już na tarczy i na ziemi, podczas gdy piłka toczyła się, jak każe zwyczaj bez względu na numer wojny, w samo światło bramki, tam gdzie uściśla się przewaga jednych i mizeria drugich.

Jeden do zera to jeszcze nie tak dużo, to dopiero pierwszy kamyk w ogródku, pierwszy robak w rajskim statucie remisu, bo o zwycięstwie nie ma już chyba co marzyć; jeden do zera to dopiero piorun przed ulewą, związmy więc panowie deszcz, oczyśćmy ogrody, przywróćmy statuty, i kolektywnie panowie, Heniek do Witka, Witek do Stefka, Stefek szybko do Jurka, Jurek no trudno do Olka, dajmy popalić lepszemu i ochłonąć pięknej. Robili więc panowie - dla pięknej raczej chłopcy - co mogli, mogli co robili, broniąc twardo bramki tradycyjną kupą, rozciągając grę na skrzydło i doły za polaną, stosując złośliwie dalekie przerzuty, wykopy i hurra inwazje, lecz wciąż za późno, gdyż wynik podnosił się uparcie jak Bug pod Brokiem, jak Utrata wiosną pod Tworkami, gdyż Olek twardy goleń, Olek sprytna główka, zdolna nóżka, a jeśli trzeba, to rączka i łokieć, Olek stołeczny kadrowicz i klub czarnych koszul szalał, a na szali położył cały swój talent, doświadczenie z pierwszej ligi i z psychologii kobiet oraz całą swoją przyszłość. Ślepy by zauważył, więc Jurek chyba też, że nie do jednej bramki toczyła się tu rozgrywka, że ktoś tu smaży dwie sroki naraz, aż na trybunie śmiech, podziw, oklaski i zbyt zdrowe rumieńce. I piękne jest, że Jurek walczył do końca na swej łące Termopile, zapomniawszy o czystych spodniach, że pędził, hamował, wyrywał się, wygibał i wykręcał, odskakiwał i blokował, rzucał w powietrze i na ziemię, podnosił wciąż okulary jak upadły kamień, choć wiedział, że jednak nie da rady, że nie odwróci już wyniku i modlić się może co najwyżej o przerwę.

Modlitwy ktoś wysłuchał, najpewniej kalosz sędzia czas, i Jurek rozciągnął się rozkosznie na płaszczu w pozycji wieczne teraz. Panowie obok popijają kompot i dyskretnie wpluwają pestki w kciuk na znak powodzenia, Sonia wystawia szyję do słońca i słońce się zgadza, i panowie opowiadają Soni o bramkach, które Olek strzelił Cracovii w pucharze, szczęście wiruje w rozgrzanym powietrzu.

Ale jak tu być szczęśliwym, jak być ze szczęściem za pan brat i użyczać mu siebie, gdy właśnie usta wypluły ostatnie pestki, w powietrzu umilkły ostatnie żarty i oznajmiono koniec przerwy. W klubie kibica z dyskrecją poprawiono włosy i przejaskrawiono usta, drużyny wybiegły na łąkę. Jurek spojrzał z rozpaczą na Olka, który już podbijał piłkę pasówką, na swoje nogi niezręczne jak wiersz, tym razem bez średniówki, na swoje pomysły Jurka rajfurka pechowe jak trzynastozgłoskowiec. Ale, co tu dużo gadać, napastnik ów zawodowy i prywatnie najserdeczniejszy przyjaciel ze szkolnej ławki wyglądał świetnie i nie przynosił wstydu ukochanemu miastu Warszawie, a zwłaszcza najlepszej dzielnicy Woli. Tyle miał szafiru w oczach, ile morza trzeba kobiecie, w tych rękach z nabrzmiałymi żyłami mógł unieść każde dziecko, którym by się chciało być, a tarmosząc te gęste blond włosy złamać by można niejeden czerwony paznokieć. Do tego szczęka mocna i usta, do których jeśli podejść, to już warto blisko, biała koszula spocona jeszcze niewinnie i próbnie rozchełstana, no i łydki tak zgrabne, choć mięsiste, że w ogóle po co spodnie. W ogóle po co wszystko, pomyślał Jurek, i wślizgnął się tak mocno pod nacierającego Olka, że ten sycząc chwycił się za kolano i bramkę strzelił bez przyjemności, czterech na jednego i zero do czterech, co za hańba. Cztery ubite lwy każdemu jednak starczą, więc kibic spojrzał po twarzach i ziewnął ukradkiem, na co Olek przepuścił futbolówkę w krzaki, a inni wspaniali rozsiedli się na pieńkach i ogłosili zasłużony rozejm z własnymi możliwościami. Jurek odszukał piłkę za jałowcem, złożył ją uroczyście u stóp Soni i wreszcie się uśmiechnął.

Na leżąco i na półsiedząco, z czołami ku słońcu znowu potoczyła się rozmowa. I mowa była o dziewczynach w oknach, kiedy żołnierze maszerują, o pąsowych ciżemkach, o Grecie i Rudolfie razem i osobno, ale lepiej razem, o czarodziejskich górach i białych szczytach, i o nadmorskim półwyspie od zatoki i od morza, znanym tylko Soni, i o piasku czystszym od łez, o kutrach wracających z połowu, o ich braciach żółtych słonecznikach, więc i o małym białym domku, o wakacjach nad Świdrem, o tym, jak dobrze nam i tylko westchnąć. A na koniec, gdy zamilkły już wszystkie usta, a płaszcze się dotuliły, Jurek na prośbę Olka zaimprowizował na byle jaki temat odchrząknięcie i przemówił, nie tylko dla Olka, aleksandrynem:

- *Rozproszcie czcze obawy, przyjaciele cenni*

Feralna ilość zgłosek bobu nam nie zada

Splećmy swe ramiona jak rymy przemienne

My mówimy wierszem, a śmierć tylko gada.

- Jeszcze - wykrzyknęli wszyscy wspaniali - teraz coś jeszcze, Jureczku, o Soni. - Sonia zaczerwieniła się, lecz zachęciła cichym głosem:

- Dobrze, Jerzy, ułóż coś o Soni.

Jerzy kiwnął z powagą głową, wtulił się w kołnierz płaszcza i zamyślił. Stefek akrobata w tym czasie stanął na głowie, najmocniejszą stroną Witka była imitacja, więc zagdakał i zaszczekał nie swoim głosem, Olek prestidigitator pokazał sztuczkę z zapałkami, jak to jedną się zapala, a cztery inne dymią, Heniek umiał tylko ruszać uszami. Sonia śmiała się z akrobaty, nawet gdy Olek przypalał mu pięty, Heńkowi zaszczekała w ucho jak Azorek pies Baskerville'ów i na Witka spojrzała po ludzku, za to na Jurka, gdy ponownie odchrząknął, całym w danej chwili sercem. Więc, chwilo, trwaj:

- Ze Pytia damą była, tak nas uczą Greki,

Jam widzem tylko krótkim, na domiar facetem,

Lecz jedno widzę dobrze, powiem to z tupetem:

Miłować będzie ona, kochać już na wieki.

W przyrodzie zapadło milczenie, zwane głuchą ciszą, życzliwą dla ptaków, dla subtelnego szumu rzeczki, dla drugich skrzypiec drzew i dla stukotu kolejki od Podkowy, coraz bliższego, coraz pełniejszego, aż zapulsowało wszystkim w skroniach i żyły w przegubie załaskotały z przejęcia. Słońce chyliło się już ku zachodowi, postanowiono wracać. Szli ścieżką parami, Olek coś szeptał Soni, równie cicho jak długo, Witek obok Jurka po bratersku nabrał wody w usta, i tylko łapał pikę, jeśli wypadała Jurkowi z ręki. Jak to dobrze, że godzina policyjna, myślał Jurek, podbijając dłonią futbolówkę jeszcze ciężką od kopnięć i z uwagą podnosząc wysoko stopy, żeby broń Boże nie człapać, tak cudownie dobry Boże mogło być nad tą rzeką, wzdłuż torów i wieczorem w pokoju, zresztą trudno, wicehrabia to też piękny tytuł, oby tylko przeżyć wojnę, oby nie spóźnić się na właściwą kolejkę.

Ciuchcia z Podkowy nadjechała właśnie w chwili, gdy wchodzili na peron. Wspaniali długo ściskali rękę Soni i poklepywali autora i piłkarza Jurka, a jeden go nawet ucałował w policzki i obiecał, że przyjedzie równo za trzy tygodnie, jak wróci wiadomo skąd. Do kolejki wskoczyli już w biegu i Olek wciągnął szybko Heńka, który sam nie mógł jakoś wgramolić się ze schodka. Ostatni wagon długo znikał z tworkowskiej perspektywy, aż ukazały się ponownie domki przy torach, topole na czatach, aż Sonia spuściła wzrok na ziemię i obejrzała ten sam co Jurek kamyk.

- Jakże było przyjemnie, ja myślę, że naprawdę wspaniałych przyjaciół masz - powiedziała i nieoczekiwanie wyciągnęła do Jurka rękę. Kamień ciągle leżał, ale człowiek ściskał już te smagłe palce, te długie zgrabne chrząstki, prowadzące wprost do przegubu, i te paznokcie karminowe, i wreszcie buch, wszystko to pocałował razem z pierścionkiem.

- Muszę już odpocząć iść - Sonia uśmiechnęła się jakby smutno i spojrzała na zegarek. - Dziękuję.

Zniknęła w alejce, zniknęła w alejce i Jurek mógł poczłapać sobie do woli wokół najbliższych skwerów, aż wreszcie, znużony i ciągle spocony, i w butach tak zakurzonych, że wstyd, usiadł na ławce. Chyba się zdrzemnął, bo nie od razu spostrzegł Antyplatona, który przycupnął tuż obok. Miał na sobie tę samą co zawsze piżamę, dziurawe skarpetki w zniszczonych sandałkach i, już wygodnie usadzony, z zaciekawieniem zaglądał Jurkowi w oczy.

- Coś pan księgowy zamyślony dzisiaj... No a gdzie reszta przemiłego towarzystwa?

- Aj tam - żachnął się Jurek, ale poczuł, że musi z kimś pogadać.

- Samotność, co?

- Samotność, cóż po ludziach - Jurek uśmiechnął się gorzko i przypomniał sobie gest Soni, ręka tak z zadumą przytknięta do policzka, kiedy Olek strzelał bramkę.

- Co za dzień, kazali mi to, cholera, ścierać - mruknął Antyplaton. - Widzi pan buchalter, tu na murze, za nami, tę głupotkę? Że to niby ja napisałem. Idioci! Banda kretynów! A samą wodą nie chce schodzić, trzeba jakiego mydła, albo co. Umorduję się wierutnie.

- Moja mowa będzie krótka, wypierdalaj mi z ogródka - wysylabizował Jurek, odwróciwszy niechętnie głowę. - To pewnie sprawka Woltera.

- Jasne. Sam widziałem, jak chowa farbę pod siennik. A oni, że to ja, bo w Tworkach tylko niby ja piszę. Cóż to za durnie, imaginuj pan sobie, po pierwsze i najważniejsze, ja nigdy nie piszę do rymu. A jak już piszę, to w ogóle nikogo się nie czepiali i się nie odnoszę, bo ja tak wprost o niczym nie opowiadam... Od braku powszechnego referenta wiruje oberwana oś ziemi. Oto popiersie świata bez piersi matki do kresu zarania, do kresu zarania / Antropos na osiadłej huśtawce wysnuje rozproszoną pieśń, rozproszoną pieśń... Tak się zaczyna mój najnowszy utwór. Też będzie o samotności i o miłości - Antyplaton zachichotał. - O samotności, miłości i porzuceniu. I o tym, że tu raz napisane jest zawsze już gdzieś oderwane i tylko odezwane. I że kropki są białymi wielorybami w fuzyjnym morzu arcyludzkiego i zdarzonego.

- Słucham?

- Utwór jest zatytułowany „Pisadło".

- Aha - westchnął Jurek z ulgą. - Powiem szczerze, że również tytuł osobliwie mi się

nie podoba.

- Może jeszcze zmienię - mruknął Antyplaton i spiekł raka. - A co w nim takiego znowu złego?

- Co to w ogóle za wyraz? Czytadło, to jeszcze rozumiem, kiepska powieść, bez głębszych myśli, bez żadnych ambicji albo do pobieżnej lektury w pociągu czy na letnisku, czy choćby w ubezpieczalni, ale pisadło? Dziwadło raczej, proszę pana - roześmiał się głośno Jurek. - Wyjadło. Nie zgadło. Spadło i zbladło. Drymadło, owadło. A zwłaszcza, ha, ha, ziewadło.

- Pisadło, panie księgowy, bo egzystencja stała się zdaniem odustalonym i nienatchnionym, zakręconym i wśródzapożyczonym. Odzewem bez zewu, echem echa, co wycieka, co wycieka. Kapujesz pan?

- Niezupełnie. W ogóle nie.

- Widzisz pan, panie liczący i dowożący, żebym ja tylko mógł tego więcej nie słyszeć, to bym wyzdrowiał.

- Czego znowu nie słyszał?

- To pan biurkowy nie słyszy?

- Nie - prychnął Jurek.

- Nie słyszysz pan strasznego głosu, krzyczącego dookoła całego horyzontu, głosu pospolicie zwanego echem?

- Nie. W ogóle nie. I w ogóle nic z tego nie pojmuję. I dlatego nikt takiego tytułu nie zrozumie, i nie ma co marzyć, książki nie kupi i nie przeczyta, jeśli ją w ogóle ktoś wyda, ha ha, przecież w wierszu o tym referencie na początku to w żaden sposób, szczerze mówiąc, nie wiadomo, o co chodzi i nic się kupy nie trzyma. I nie mówi się „od braku", ale „wobec faktu, że brakuje", albo: „zważywszy, że brakuje...", czy, ostatecznie, „z braku", „w braku", czy wreszcie, jak w dawnej polszczyźnie, „dla braku". Na przykład: W braku, z braku, dla braku przyjaciół zaczął pisać wiersze.

- Co mnie pan, panie szczenięcy i zaopatrzeniowy, będziesz uczył, ja pana ojcem mógłbym być! - warknął Antyplaton. - Nie pana, panie nakarmiony, buzia i nie pana buraczki. I w ogóle, panie Jerzy nieświeży, po co cień rzucać na ziemię? - mruknął raz jeszcze i wstał, dobrze już rozzłoszczony i cały czerwony na twarzy. - I co tak mało sera było dzisiaj na śniadanie? Wkrótce noc, życzę dobrej.

Odszedł szybkim krokiem, wbijając wzrok w sandałki i mrucząc coś gniewnie pod nosem. W pobliżu gwizdnęła i z ulgą sapnęła ostatnia kolejka, jakby niedzielę miała wreszcie z głowy, i rzeczywiście nic się już więcej tego dnia nie zdarzyło poza listem Jurka do Danusi,

Olkową lustracją sufitu nad łóżkiem do różowej zorzy, chrapaniem Witka i Stefka i chyba późnym spacerem Soni, i późnym spacerem znów nad rzekę Soni.

Co zobaczył za trójgłowym żyrandolem Olek, co pomyślała Sonia, gdy Utrata błysnęła wężową skórką, wie tylko pan księżyc, ale księżyc pochylił się akurat nad ramieniem ponurego Jurka:

„Tajemniczą rzeczą jest list. Koperta i biała karta papieru zasypana czarnymi znaczkami liter. Tak niewiele, a jednak... tak przeogromnie dużo. List może strącić duszę w otchłań rozpaczy lub podpalić ją jasnym, gorącym płomieniem radości, a serce uleczyć najcudowniejszym lekarstwem, nadzieją. Gdy otwieram kopertę i wyjmuję karty Twego listu, z oczów mych spływa czarność i wszystek smutek... Pytałaś mnie ostatnio, czy ja jestem „podbijaczem" serc niewieścich. Owszem, podbijałem ja już w swym życiu bardzo wiele i często, co prawda nie serca kobiece, lecz zwykłą piłkę (nie wiem, która z tych dwóch sztuk jest trudniejszą), i podobno w tym sporcie doszedłem do wcale niezłych wyników. Natomiast nie próbowałem właściwie podbijać serduszek dziewczęcych, gdyż uważam, że tę sztukę trzeba przeprowadzać z wielką dozą umiejętności, bo łatwo serduszko może upaść na ziemię, stłuc się mocno i pęknąć. Co prawda pewien mój przyjaciel twierdzi stanowczo, że serca kobiece są niejednokrotnie twardsze od najbardziej twardych piłek (nie próbuj zaprzeczać). Z drugiej jednak strony mądra natura zna prawdziwą sztukę sklejania mizernych szczątków pękniętych serc ludzkich, zwłaszcza gdy ktoś miłosierny, Danusiu, zechce jej w tym pomóc.

Ty piszesz mi, Danusiu, że idąc na przekór panującemu prądowi, nie kochasz się, a nawet nie wiesz, jak to się robi. Nie wiedziałem, że aby kogoś pokochać, potrzeba na to specjalnej umiejętności i szerokiej wiedzy. To jest ludzkie i przychodzi wtedy, kiedy się najmniej tego spodziewasz. Zdaje się tobie, że już nikt nie będzie cię mógł zainteresować, że do tego potrzeba silnej woli. A tymczasem nie. Nagle stanie ci przed oczyma... w tramwaju, w sklepie, na alejce... i koniec. Widzisz, że to twój człowiek. I wtedy wrasta ci w serce na życie, na śmierć. Wtedy dopiero wszystko nabiera sensu. Zyskałaś cel: żyć dla kogoś, żyć dla człowieka. Jeden człowiek może dać więcej niż wszyscy razem. Nigdy prawdziwie szczęśliwym nie będzie ten, kto nawet w pracy, którą przedsięwziął, osiągnął zamierzony cel, kto życie swe poświęcił dla pewnej idei, jeżeli obok siebie nie będzie miał kogoś jedynego, bliskiego, kto by w chwilach zwątpień i rozgoryczeń umiał, Danusiu droga, znaleźć dla niego dobre słowo, uspokoić skołatane nerwy i tchnąć nowe siły do dalszej pracy".

W Ozorkowie też zapadła noc; Danusia już spała, przy parapecie błyszczał dyskretnie bluszcz, para psów na drodze wyła do pana księżyca.

Rozdział 6.

Mijał czas, wreszcie księżyc, starszy o parę godzin, opuścił siny horyzont, w arbajt-komando natury błysnęły pierwsze promienie słońca i karnie zalśniła rosa, zaczął się nowy tydzień jak siedem lat chudych. Cienkie zupki mozolnie znaczyły kolejne popołudnia, kotleciki, potomstwo nieodżałowanych kotletów, tworzyły wciąż jeden układ z mizerią, przejrzysty się zrobił nawet kompot suchotnik. Soni też było jakoś mniej, znikała gdzieś Jurkowi nad liczydłem, przepadała po fajrancie jak diament w wodę, uśmiechała się rzadziej niż zwykle, a do Kaltza, gdy przynosił jej kolejne herbatniki, prawie w ogóle, i nawet alejkami przemykała tak szybko, że wariaci odwracali się za nią ze zdumieniem.

Na Jurka, wciąż zakochanego i nagle bezradnego, spadła nuda. Pojechał ze smutnym Kaltzem po kartofle i marchewkę do gospodarstw za Pruszkowem i nic się po drodze nie zdarzyło, do liczenia dano mu koszta pralni, list od Danki się spóźniał, a na dodatek akcja książki, którą przywiózł z Ulrychowa, rozgrywała się w szkole, na razie przed dzwonkiem na lekcję. I zapewne nic nie przerwałoby szarości dni tego tygodnia i żmudnego trudu lektury - do klasy właśnie wchodził profesor polskiego z marsową miną - gdyby nie pojawienie się przy sąsiednim, dotąd wolnym, biurku, przy pobliskiej menażce, przy tej samej szafie na drugim łóżku dwunożnego i myślącego, lecz częściej zamyślonego, nieco starszego, również w kremowym płaszczu, też w okularach i także niebieskookiego, Marcelego, dla przyjaciół Marcela, a nawet Marcelka, na liście płac i deputatów Brochwicza przez ce ha, jak chyba lub niechybnie.

Marcel Brochwicz! Weil, well, well! Księgowy jak z raju! Zatrudniony z kolejnego ogłoszenia i najlepszy spośród czterech konkurentów! Dwuręczny maszynista, czempion akapitu, artysta biżuterii ze spinaczy. Mistrz wykrywania fałszerstw i zaglądania cyfrom w twarz, wróg retuszy na bilansie i nadmiernych odchodów. Ledwo zdążył podać Jurkowi dłoń - w książce też było piątkowe popołudnie, flaki, olej i trwała ostatnia lekcja - ledwo wykonał uprzejme chapeau bas przed pingwinem, a już zajrzał pod materac, obstukał podłogę pod łóżkiem, ocenił odległość z okna do ziemi i wyrecytował wszystkie pseudonimy autora czytanej przez Jurka powieści. Ale w ostatecznym rozrachunku niewiele go od Jurka, jak to między księgowymi bywa, dzieliło, poza tym, że naiwnie poszukiwał w zupie drugiej marchewki i trzeciego kartofla, i regularniej podkarmiał kota Wirtuoza, zamieszkałego w pralni na parterze. Tak samo jak Jurek wybrał przed wojną Szkołę Handlową, tak samo kibicował Polonii,

tak samo wolał westerny od doktora Wilczura i lubił spędzać wieczory z książką, zwłaszcza z tajemnicami Paryża. Tak samo jak Jurek chodził spać po jedenastej, tak samo, jeśli nie zaspali, czyścił rano buty również nieskórzane, tak samo szukał towarzystwa Soni i identycznie pośpiesznym krokiem schodził z drogi Jabłkowskiej sekretarce. Podobnie jak Jurek z nowo przybyłym, rozmawiał Marcel przed snem z wcześniej zatrudnionym i w długich nocnych rozmowach obywateli polskich zestawiali przeszłość z teraźniejszością niczym kolor papugi z burym Wirtuozem, a gdy Jurek recytował, Marcel śpiewał to samo na melodie Bizeta. W zbliżony sposób, bo lekko w tył, zaczesywał Marcel włosy i klął jak ten sam szewc, gdy męczył się z kluczem w ciemnej sieni. Z taką samą wreszcie tęsknotą myślał o niedzieli, wspólnie prasując z Jurkiem koszule i spodnie z mankietami. Flanela z flanelą i mankiet w mankiet, w drugą niedzielę ujawniła się wszak jedna, istotna i piękna, różnica. Marcel Brochwicz miał żonę.

Był znowu ciepły niedzielny poranek. Daleko nad helenowskim lasem unosiły się leniwie różowe mgły jak fikuśne podniebne podwiązki. Pod okapem stróżówki przysiadły wróble, w powietrzu pachniało mokrymi od rosy sosnami i już zawczasu miejską perfumą. Drzwi kolejki rozsunęły się bezszelestnie i zastępy pasażerów w milczeniu spłynęły na peron. I wtedy w wyjściu stanęła Anna. Anna Brochwicz stanęła ostatnia w wyjściu jak madonna w kasztanowej ramie, jak cały renesans w symbolicznym skrócie. Wojna była brzydka, więc piękna szyja Anny, i przywołajmy wszystkie mosty świata, by doceniły jej przejście w dekolt obnażony niczym serce zbawiciela. Wojna była straszna, toteż piękna dłoń Anny z pierwszym kwiatem wiosny w niewinnym kolorze, dłoń piękna i Anny palce zwarte na kibici w pięciu wysmukłych synonimach. Woja była dzika, więc i zgrabna jasna suknia Anny z wesołą falbanką przy skraju, delikatna faktura materii i czujność srebrnych guzików na posterunku. Na ciężkie czasy wybrała Anna szminkę pastelową w odcieniu fioletu, włosy proste, grube, spięte z tyłu, i nieśmiałość na twarzy jak najlepszy makijaż. I tak godnie stała w muzeum porannej chwili, niewidzialnie podpisana w prawym dolnym rogu, i tak godnie trwała Anna żona Marcela, dama z żółtym kwiatkiem zastygła w pozie królowej mimo woli, poty wreszcie nie rozległy się ostrzegawcze dzwonki, ż e kapelusz, a na odjezdne kolejki za sekundę, już za pół, na peron naszej skromnej tworkowskiej stacyjki zstąpi, proszę odsunąć się od pokus, gwiezdnolicy anioł w zużytych cokolwiek trzewikach.

Pod drugą topolą przy bramie coś psyknęło i powstrzymało, niecierpliwość spotkała się z wyczuciem, mężczyzna jak zawsze z kobietą.

- Poczekaj, daj im się przywitać - szepnęła Sonia z ręką jeszcze, och, jeszcze, na rękawie Jurka. - Nie widzisz, co się dzieje?

Teraz już Jurek dojrzał. Spod pierwszej topoli wysunął spokojnie swą szczupłą postać Marcel i ustawił ją nieruchomo trzy metry przed peronem, rękę wbijając w kieszeń. Oczy dostrzegły horyzont, miętówka w ustach nagle się obróciła, skronie przyssały kapelusz. Ziemia przywarła do stóp, twarz pociemniała jak słońce na bulwarze sunset. Marcel Brochwicz był gotów na spotkanie żony.

Fala przyjezdnych i zdrowych rozwidliła swój spieszny bieg na skale Marcela ciała i złączywszy swe nurty przelała się przez bramę, niosąc robinsonom szaleństwa dużo kiełbasy i polskiego kompotu. Peron opustoszał, lecz nie był to już peron, ale prom szczęścia i nieważkości czasów. Niech doceni to kiedyś NASA, niechaj dojrzy każde planetarium owo cudowne vacuum wokół dwóch istnień niepodległych nagle prawu ciążenia, wolnych od przydrożnych gleb, od powszechnego stąpania i ciśnień atmosferycznych. Mogą też skorzystać scenarzyści, jeśli tylko nie boją się przystanków w akcji i nadmiernych zbliżeń, a oddech potrafią wstrzymać jak Jurek z Sonią. Nie ruszył się jeszcze Marcel, nie poruszyła żona Marcela. Stali, lecz jeszcze bardziej patrzyli, patrzyli, lecz jeszcze bardziej czekali. Dzieliło ich wciąż dziesięć dni samotności, dziesięć klepsydr ustawionych zawsze na opak, tona piasku rzuconego na twarze, który miłosny chamsin rozwiewał teraz pośpiesznie. I nagle stało się. W kieszeni nie było już miejsca na dłoń, w dłoni podpórki dla kwiatu. Anna wyciągnęła rękę, Marcel odrzucił kapelusz. Marcel zaszybował, Anna podbiegła, ramiona okrążyły i zdusiły utracony czas. Znowu byli razem losem w los, noskiem w nos, fałszywym dokumentem w podrobioną kenkartę. I upewniali się, że są na pewno, dotykając na przemian swych włosów, policzków, długo i wytrwale, aż za drugą topolą pani uroiła łzę, pan przełknął głośno ślinę, podczas gdy na betonowym dywanie peronu w Tworkach tuliły się do siebie, bardzo proszę o duży plan, brązowy kapelusz i żółty kwiat.

Marcel podprowadził Annę do szpaleru witających.

- To jest moja żona Ania. A to są Sonia i Jurek - przedstawił obecnych, wciąż obecnych, i uśmiechnął się szeroko po raz pierwszy od chwili, kiedy dostał pracę.

Uścisnęli sobie dłonie, Jurek nawet się ukłonił, i zanim poszli posączyć kompotu, pogawędzili przy drzewie o tym i owym, najpierw o akcji pod Arsenałem. Anna mówiła powoli i miała piękną dykcję, i słuchając innych otwierała szeroko oczy, a gdy przechodzili przez bramę, odwróciła się, dotknęła ręką policzka i spojrzała przeciągle w bezchmurne niebo. I taką ją Jurek najlepiej zapamiętał.

Obejrzeli miejsca pracy, biurko Marcela z ołówkami zatemperowanymi tak, że drzyjcie cyfry i zmierzajcie biegiem do zera, pingwina nad łóżkiem jak obrazek święty i powędrowali nad Utratę. Przy pierwszym mostku potwierdziło się, że Anna jest nauczycielką, przy

drugim, że uczy dzieci muzyki, a przy młynie przestała się opierać i wyjęła z torebki mały beżowy flet. Usiedli na przydrożnych głazach, ściśnieni na kremowym płaszczu Marcela, bo Jurek nie chciał zdjąć swego.

Anna odkręciła nasadę, dmuchnęła parę razy do środka i przyjrzała się niebu przez siedem dziurek od siedmiu dźwięków, od harmonii sfer, od nut zbierających to, co w nas cząstkowe, za ciche i rozerwane. Uroczyste milczenie wytarło do bieli całą okolicę i po chwili pierwsze nuty zapisały drżąco na białym, tremolo na niczym, swą nieśmiałą opowieść. Marcelowi przypominały o dziecięcych latach spędzonych w miasteczku przed wyjazdem do samej stolicy na kształcenie i mówiły, że może szkoda tych lat w Szkole Handlowej, tylu wysiłków i nawet opublikowanej z pożytkiem dla ministerstwa pracy dyplomowej, że może trzeba było wyjechać choćby bez dyplomu, tak jak chciała Anna, zaraz potem jak się poznali na imieninach Juliana przy ulicy Karolkowej i jej muślinowa sukienka świeciła niczym południowe słońce i smakowała w dotyku chropawą pomarańczą. Ale mówiły mu również, że było im tak tu dobrze, gdy śpiewali w chórze u Wizytek kantaty Bacha i szli później Nowym Światem, który mieli tu pod ręką, wprost na miejscu, i sączyli kawę po wiedeńsku w samej Ziemiańskiej, a raz to nawet popili sobie w Adrii i tańczyli z oficerami i paniami na parkiecie do białego rana, i potem długo siedzieli w wannie w tamtym mieszkaniu na Elektoralnej, bo małe mieszkanko mieli na Elektoralnej.

Soni mówiły coraz gęstsze dźwięki Anny o dziwnej tęsknocie w koniuszkach palców i o żółto-niebieskiej piłce, która wyleciała z ogrodu i przycupnęła na gałęzi w strumieniu; kołysała się i huśtała pod naporem prądu i spod cienistej kieszeni powietrza mrugała do Soni dziewczynki dwiema na przemian barwami; kołysała się i huśtała, była taka lekka i odległa, raz niebieska, raz żółta, i w wodzie malowała swój prawdziwy kształt, rozmazany, kolorowy, półokrągły, rozświetlony; kołysała się i huśtała, i Sonia tak rozkołysaną ją w strumieniu zostawiła, a w domu powiedziała mamie, bo ojciec znowu wyjechał gdzieś spiskować, że piłka wzięła i się zgubiła, ale wcale nie chce nowej. Jak re do mi i jak si do do, tak piłka do piłki, mówiły jeszcze Soni wciąż nowe nuty, i dalej opowiadały o tym, ile bramek można strzelić jedną futbolówką na tej łące, gdy jest się w formie, i tyle razy można spojrzeć, ile razy strzelić, i o tym, że dobry napastnik nie spotkałby się chyba z jej skuteczną obroną.

Jurkowi muzyka Ani przypomniała najpierw, że obok siedzi Sonia i że ma nieszczęście do ładnych kobiet, bo choć są, to są mało ostatecznie i niekoniecznie, a melodia jest taka, że tylko chwycić za rękę i iść ile wlezie aż do finału nut ostatnich, po którym dopiero prawdziwe życie, lecz w chwilę potem wysnuła mu opowieść o letnisku w Urlach, gdzie zjeżdżali w maju całą klasą gimnazjalną, on i Olek zawsze w jednym przedziale, pobierać nauki na

świeżym powietrzu i pić dodatkowe szklanki mleka prosto od podlaskiej krowy, a wieczorami, kiedy już odrobili z profesorem Dyrda i profesorem Kamińskim trzy przegrane robry, szedł nad strumień i wpatrywał się w wodę płynącą bystro atramentowym ściegiem, jak nadzieja, co przechodzi przez oczy, wypełnia gardło i unosi w przyszłość, która będzie i na pewno się zdarzy.

La si do nagle zamilkło, spłoszone głosem Marcela. Bo Marcel nabrał głęboko powietrza i wypuścił z samej przepony tenor śpiewny, mocny i barwny. Na razie był to zamaszysty dźwięk, modulowany i wzlatujący, lecz po chwili dołączył do niego prosto znad fletu sopran jak cicha fala i oba głosy ułożyły się w długie słowa. Śpiewały najpierw w obcych oktawach o męczeństwie synów ludzkich i łzach ich matek niczym nie pocieszonych, o pięknie i prawdzie, kiedy już wszyscy będą braćmi, a potem już po naszemu o piaszczystych drogach, o honorze żołnierzy i wreszcie o brunetkach, blondynkach i wszystkich was dziewczynkach.

Jurek poprosił jeszcze o kilka piosenek z modnego repertuaru, zwłaszcza o pewnym uczuciu, które wszystko wybacza. Wreszcie Anna i Marcel zmęczyli się i rozejrzeli niepewnie wokół siebie. - Naprawdę pięknie śpiewacie. Lepiej niż w radiu. Wyraźniej niż na patefonie - Jurek aż kiwał głową z przejęcia, a Sonia jako w zasadzie blondynka jeszcze klaskała. - I to, co szprechane, też tak dobrze brzmi. Muzyka łagodzi obyczaje. Macie głosy tak dobrze dobrane jak mąż i żona, codziennie powinniście nam coś śpiewać. Muzyka i poezja, to tylko się liczy.

- A Jurek pięknie deklamuje - powiedział Marcel do Anny, i Sonia przytaknęła. - Powiedz nam, kochany Jerzy, wierszyk, prosimy.

Jerzy zgodził się od razu. Chwycił wszystkich za ręce, aż unieśli się z kamieni, stanęli w kręgu i objęli się ramionami. I wtedy wyszepta! między dotykającymi się skroniami i zmieszanymi włosami:

- Coś z farsy lichej i coś z dramatu, Wyż - i pochyłość, Posmak piołunu i zapach kwiatów - To właśnie miłość...

Dwie dłonie poklepały Jurka po plecach, a jedna pogłaskała go po głowie. Krąg rozbił się na dwie pary i obie świetnie wyglądały, choć może ta Marcela z Anną lepiej, tak bardzo się do siebie tulili i tak bardzo szeptali sobie w policzki, gdy wracali na teren pingwina. Jurek z Sonią zwolnili kroku, przystanęli w cieniu dębu i uśmiechnęli się do siebie lekko zażenowani.

- Bardzo się kochają. Ze aż wszystkiego się chciałoby - powiedziała Sonia.

Teraz, pomyślał Jurek, teraz albo nigdy. Pierwsze liście na dębie wiedziały już, co to wiatr, żwir na alejce trwał z całych sił.

- Soniu, ja też...

Sonia rzuciła szybkie spojrzenie na zegarek. - Przepraszam, Jerzy, muszę już iść do siebie - powiedziała jakoś smutno. - Znowu spędziliśmy miłą niedzielę.

- Chodź, odprowadzę cię - wyszeptał za Jerzego posmak piołunu.

- Naprawdę chce ci się? No dobrze, kawałeczek - zgodził się zapach kwiatów.

Minęli grupkę piżam rozdyskutowanych na ławce przy skwerku i Sonia szła tak blisko Jurka, że ocierali się ramieniem o ramię.

- Dlaczego oni razem nie mieszkają? - spytała Sonia. - I dzieci nie mają?

- Pobrali się ledwo pół roku przed wojną. Mieli potem jakieś kłopoty z mieszkaniem. Anna mieszka u znajomych, zdaje się, że na dwie osoby nie było miejsca.

- Nie powinni tak się rozstawać.

- Powiedz to pingwinowi - Jurek odrzekł tak szybko i Sonia spojrzała na niego dziwnie. - Pamiętasz, że za tydzień przyjeżdża Olek? Oby tylko bez piłki.

Sonia patrzyła jeszcze dziwniej.

- Nie, nie pamiętam, tak, pamiętam. Mam jeszcze chwilkę, może wejdziesz na herbatę?

W świecie coś się zakołysało, trzasnęło nadmiernie i wygięło, jedno morze się rozstąpiło, lodowce dorobiły się nowych szczelin, owszem, Jurek zgodził się wejść na herbatę. Sonia jednym szybkim ruchem przekręciła klucz, naparła ciałem na drzwi, żeby się szerzej otworzyły, błyskawicznie wrzuciła nocną koszulę pod poduszkę i zaprosiła Jurka do środka.

Pusta łódka osiadła na obrazku w cieniu palmy i tak się miała do Soni jak pingwin do Jurka: była zgrabna, jeszcze rozkołysana, w środku nieco zacieniona. Na biurku stał również pusty wazon, a porozrzucane spinki do włosów rysowały na blacie drogę donikąd. Ładne były różowe drobne kamyczki zebrane w kącie biurka i zaraz przy nich rysunek domu z ogrodem, niedokończony, bo brakowało dolnych schodów przy ganku i jednej balustrady. Po morzu zaczętym cienką kreską gdzieś na horyzoncie Jurek domyślił się, że dom był nieprzypadkowy, a ogród też konkretny.

- Tęsknisz?

- Tak. Ale wiesz, nie mówiłam ci, jak byłam zupełnie malutka, w różnych miastach mieszkaliśmy. Tata zmieniał posady i nad morze w ostatnich latach się przeprowadziliśmy. A Gdańsk takie ładne miasto. Nie jak Pruszków.

- Dlaczego wyjechałaś?

- No właśnie, po co? W Pruszkowie jest tylko jeden kinematograf - Sonia się roześmiała i podeszła do zlewu, żeby nalać wody do garnuszka. Przez chwilę stanęła do Jurka

plecami i Jurek pomyślał o odwracaniu kart w pasjansie, gdy wróży się na wieczorową porę albo i na całe życie. Walet trefl ujawniony, zwrot długu zapewniony. Dziesiątka karo obrócona, podróż już wkrótce spełniona. Najgorszy byłby as pik, bo znaczy, że blondyn bierze wszystko. Ale czy w ogóle, kiedy wszystko takie jasne, można jeszcze, można jeszcze marzyć o damie kier? Oto okręci się na stopce, będzie cicha i będzie w pąsach, i dzielić nas będą tylko te grube szkła z dwoma cylindrami. Woda wypełniła garnuszek aż po brzegi, Jurek zdjął okulary i lekko dotknął pleców Soni. Odwróciła się nagle, garnuszek się zachybotał, lecz niczego nie uronił, i powiedziała: - Wiesz, nikomu jeszcze nie mówiłam o sobie. Dobrze, że jesteś. Nie mam tutaj żadnych przyjaciół, tylko ciebie, Jurku.

Co było robić, Jerzy jak należy, jak nie popijać tego, co ci podstawiono, co gorzkosłodkiego można było przełykać, jak nie tę herbatę w szklance z brzęczącą łyżeczką, aż wreszcie brzęk ucichnie, fusy pokażą, że były kiedyś liśćmi i że otchłań nie musi być taka straszna, skoro na brązowo zasłana i na ciepło siorbana. Co było robić, Jureczku w porządeczku, jak nie milczeć przez chwilę uroczyście, nie tak wiele z tego wszystkiego rozumieć, zazdrościć Olkowi i siebie trochę żałować, a gdy chwila już minie, uśmiechnąć się, wstać i powiedzieć: - Tak widocznie musi być, będę przyjacielem.

Na alejkach było już pusto, wszyscy wariaci pobiegli na kolację, z nadzieją na pełną porcję sera, i Jurek mógł spokojnie wybrać ulubioną ławkę na głównym skwerze. Poczuł nagłą chęć, by ująć wierszem swoje wobec Soni, albo i wszystkich kobiet położenie, ale za nic nie mógł znaleźć odpowiedniego rymu do „smętek" lub chociaż „smętku". Serce moje jest chore, próbował zacząć inaczej, boje zgryzł czerw; ale rymy męskie stawiły mu jeszcze większy opór, „czerw" - „nerw", tak, bardzo dobre, „czerw" - „wbrew", świetne, jeszcze lepsze. Wreszcie zdołał się jednak skupić, natchnąć słowa ku sobie, i zrymował starannie na karteczce „rozpaczy" i „żebraczy", „smutnie" z „okrutnie" i „przyjaciele" z „w niedzielę".

Gdy tak pisał pogryzając ołówek, dojrzał w oddali Marcela z Anną. Czule objęci, zdawali się tkwić, a potem lekko przesuwać, w samym centrum świata. Główna alejka, którą szli ku bramie, przecinała Tworki na dwie równe części, pozostawiając po jednej i drugiej stronie pawilony, domki, dróżki, rozdzielając na pół trawy, drzewa i chodniki. Gdyby zniknęli, Tworki może i by się rozpadły wzdłuż śladów ich kroków, lecz jeszcze byli i ich ciemniejące pod wieczór sylwetki utrzymywały budynki i alejki przy sobie. Horyzont nad stacją kreślił postępujące koło zmierzchu; stanęli już w bramie i wartownik, pewnie Johann, zasalutował im żartobliwie i może tak lekko uroczyście. Na chwilę zastygli, odwrócili się i rozbłysnęli twarzami jak najważniejsze punkty przestrzeni, obraz utrwalił się w oczach Jurka, i zniknęli za budką na peronie. Jurek wstał i poszedł niespiesznie do rozgrzanego jeszcze pokoju.

Rozdział 7.

Z mamą będzie miał więcej obrazków. Ten z następnej niedzieli, z przyjazdu kolejki pełnej jak dwunastnica w południe, nie byłby może w pamięci tak dotkliwy i ważny - ciuchcia spokojnie dojeżdża i hamuje z piskiem, mama wysiada pierwsza i nawet nie rozejrzawszy się ciekawie wokół siebie, podchodzi wprost do Jurka, z uśmiechem podaje Soni rękę, jakby znała ją od dawna, a jemu wręcza siatkę, zaś w siatce wiadomo, że na twardo i w skorupkach - gdyby nie tak strasznie, tak blado, czerwono i znów blado, a co do potu, to perliście na twarzy Soni, gdyby na Soni posmutniałej twarzy nie mieniło się i policzków nie ściągało w dół. Nie przyjechał, nie zjawił się z wizytą, choć się dokładnie zapowiedział, pomagał myśleć Soni Jurek, nie wysiadł z kolejki tej niedzieli, teraz kto wie, czy już nie ostatniej, drzwi sobą nie wypełnił, ziemi nie nadepnął ani skórzanej w powietrze nie podrzucił. Nie zagwiżdże jak kos na przylotne i nie spojrzy też tak z ukosa, nie wyprostuje swoich ibermensz metr dziewięćdziesiąt, a choćby i osiemdziesiąt pięć, ręki przy kładce nie poda. Gdzie blond czupryna jak białe reńskie wino, gdzie niebieskie oczy jak wody Szprewy, nos prosty jak kreska Diirera, gdzie inne membra disiecta, wszystko w najlepszym amerykańskim stylu? Niebo milczało, Jurek nie wiedział.

Mama wiedziała co nieco. Więcej wiedział Witek, który przybiegł do mamy z wieścią wczoraj po południu. Jeszcze lepiej orientował się Untersturmfuhrer Guteck, a najlepiej bauer Zweibel z bauerową. Gdyby rzeczy stały po stronie opowieści, mówiły wyraźniej i mniej bojaźliwie, można by się też czegoś dowiedzieć od plandeki w ciężarówce Sauer, od jednej kolby karabinu i zęba w kącie kolejowej poczekalni, od zakratowanego okienka w wagonie, od pryczy w stodole i od źdźbła słomy kłującego w serce.

Bo choć Olek miał szczęście do bramek, w tej łapance nie trafił celnie i nie z radości zwycięzcy uniósł wysoko ręce. Witek, z którym jechał razem tramwajem, miał lepszego nosa i wyskoczył na drugą stronę ulicy, gdzie brama lepiej wchłaniała i dalej przepuszczała. Z loży na klatce pierwszego piętra mógł następnie podziwiać uwerturę klapy ciężarówki, solo Olka wskakującego do środka pod naporem statystów i rozwój akcji aż do zakrętu. O próbie ucieczki Olka z dworcowej poczekalni, gdzie stłoczono złapanych, opowiedział wkrótce Stefek syn kolejarza, o smacznym nie tylko krowim, ale i kozim mleku i o słoninie w zupie sam Olek w liście, który nadszedł do mamy na Ulrychów dwa tygodnie później i który Jurek nie bez schadenfreude odczytał Soni zaraz po śniadaniu (niestety, Soniu, bez austriackiego mle-

ka) i drugi raz po obiedzie na deser do pustych menażek.

„Kochany Jurku! - zaczynał list na zbyt gwałtownie wyrwanej z zeszytu kartce Olek pseudonim Lufa, de facto parobek Al. - Jestem na wsi u państwa Zweibel, którzy mają dużą posiadłość w górach blisko miasta Innsbruck. W lesie nad polem leży tu jeszcze dużo śniegu. Wyżywienie jest dobre. A teraz opiszę Ci, jak wygląda mój dzień. Wstaję o świcie, pół szklanki mleka (krowiego lub koziego), dwie porządne pajdy chleba i już do roboty, bo jest bardzo dużo do obrobienia. O drugiej mam przerwę, dostaję tłustej zupy i kartofli ze słoniną do woli, i znowu do świń i krów, albo na pole, i tak do samego wieczora. Fajrant jest o godzinie siódmej wieczór. Ale dzisiaj jest niedziela i przed południem nawet futbolówkę kopałem z trzema parobkami. Żałowałem bardzo, że tu Ciebie nie ma, to byśmy im we dwójkę dopiero pokazali! Muszę Ci też powiedzieć, że mam dużo szczęścia. Mogłem trafić o wiele gorzej, bo z dworca transport szedł przede wszystkim do fabryk. Ale wśród konwojentów był konwojent nazwiskiem Guteck i on pomógł mi tu się dostać. Był kiedyś piłkarzem Fortuny Berlin. Bo buta zgubiłem jeszcze w Warszawie i mówię potem do sąsiada, że teraz będę grał boso jak sam Leonidas z Polską na mistrzostwach. A tamten Guteck na mnie spojrzał i mówi: 6:5, to był mecz!

Mam nadzieję, że Witek czuje się dobrze, bo go nie spotkałem po drodze nigdzie. Napisałem już do Mamusi, ale proszę Cię, Jurku, pójdź do niej na Wilczą i uspokój ją, żeby się nie denerwowała. Ty to tak dobrze potrafisz. I mam jeszcze jedną prośbę do Ciebie. Wtedy w niedzielę było w Tworkach tak miło i ciągle wspominam tamtą naszą wizytę. Czy mógłbyś, Jurku, przekazać pani Soni moje ukłony i pozdrowienia i powiedzieć, jak miło było mi ją w Tworkach poznać, Ty to dobrze potrafisz, a wiesz, jaki ja jestem ciężki za piórem. Bardzo mam sobie za złe, że tak się wszystko stało, ale nie martw się o mnie i czekam na listy. Bardzo tęsknię za naszą Warszawą. Pozdrów i ucałuj wszystkich.

Twój Olek”

Jurek pozdrowił wszystkich i ucałował tylko niektórych, za to dwukrotnie, nie licząc tego, co od siebie, i chętnie by przeczytał Soni list jeszcze raz, niestety nie chciała. Za to w kolejną niedzielę udało mu się nakłonić Sonię do wizyty u mamy na Ulrychowie, żeby posłuchać patefonu, pokazać dzielnicę, książki i kolekcję fotosów od roku 1930 i zdjęcia z klasy, zwłaszcza to z Olkiem w jednej ławce, jeszcze, Soniu, bez wyrżniętego serca, oraz ze wspólnych wakacji szkolnych w Broku, gdzie płynie rzeka pod wezwaniem Pana Ojca i na pohybel ortografii.

I koniecznie fotografię pamiątkową z rozdania uczniom gimnazjum Sowińskiego świadectw maturalnych, czyli dojrzałości, choć tak słabo odmieniają puellę, Konrada mają uparcie za Gustawa, a podszczypywanie za regularny czasownik.

Obejrzawszy pokój Jurka w kącie kuchni, werandę na parapecie i salon na kanapie, młodzi tworczanie ciekawie pochylili głowy nad albumami z czasów, gdy lody były smaczniejsze od całego obiadu, proca ważniejsza od opadających majtek, a dzwonek słodszy od ciszy. Olek był na zajęciach zupełnie niepodobny do wysokiego blondyna, piłkarza i bojownika, i nie miał jeszcze w sobie nic amerykańskiego, za to Jurek nosił te same chyba okrągłe okulary i uparcie marszczył czoło w zadumie nad cyframi, które znów się nie zgadzają. Jak na Flipa i Flapa mało się jednak różnili, jak na cześnika i rejenta dość miło w tej ławce i na boisku ku sobie zerkali.

A zdarzały się przecież, wspominał Jurek, i swary, i bitwy o większą przestrzeń w ławce i miejsce na trzepaku. Już na lekcji o „Zemście" Olek robił żyda na pół strony w Jurkowym kajecie, kalając na wieczność piękną, czystą kaligrafię Jurka i zamazując cokolwiek porządek lekcyjny. - Mówiąc o humorze w „Zemście" postawiliśmy sobie następujące pytanie - przeczytała na głos Sonia, chichocząc i wodząc palcem po czarnym, rozległym jak tęsknota kleksie w porządnym, wręcz pedantycznym zeszycie Jurka - czy humor Fredry jest niefrasobliwy, dobrotliwy, dobroduszny, a komizm tylko zewnętrzny? Na pytanie odpowiedzieliśmy przecząco i zadaliśmy sobie drugie pytanie wynikające z pierwszego: czy też komedia ma na celu wyszydzenie pewnych warstw i których? Odpowiedź na drugie pytanie brzmi następująco: komedia Fredry jest satyrą na pieniactwo, zapalczywość, brak wykształcenia, zwady szlacheckie, na pieczeniarstwo, bezczelne przechwałki i kłamstwo. Satyra bywa w komediach charakterystyczną, w których komizm wynika nie z zewnętrznej sytuacji, lecz z przeciwieństwa pewnych typów lub charakterów.

- Właśnie - powiedział Jurek i ciężko westchnął.

- Mówiąc o dramacie zapomnieliśmy nadmienić, że dramat musi mieć sceniczność, aby go można było wystawić na scenie - czytała dalej Sonia. - W dramacie ilość aktów nie przekracza pięciu. Po zatem każdy akt jest podzielony na poszczególne sceny. Abyśmy mogli zobaczyć „Zemstę" w świetle krytyki, pani przeczytała nam krytykę „Zemsty" napisaną przez profesora Sarnowskiego.

- Powinno być Tarnowskiego - powiedział Jurek.

- Tarnowskiego - poprawiła się Sonia, tłumiąc śmiech. - Przedtem zaś określiliśmy pojęcie krytyki. Krytyka jest to ocena cech ujemnych i dodatnich.

- O sztuce - dodał Jurek.

- O sztuce - doczytała Sonia do kropki i roześmieli się oboje.

Mama przyniosła herbatę, dokroiła piernika i lepiej już być nie mogło.

- Wymieńmy nasze cechy ujemne i dodatnie - zaproponował Jurek. - Krytyka sztuki w

niedzielę przy herbacie. Czy ktoś chce zabrać głos jako pierwszy?

- Jesteś, Jureczku, leń - powiedziała mama - miałeś przynieść węgiel z komórki i nie przyniosłeś. Jesteś bałaganiarz, zobacz, co się dzieje w twojej szafie. Jesteś obżartuch, zjadłeś już trzeci kawałek piernika, a pani Sonia dopiero jeden.

- Nie, nie - zaoponowała szybko Sonia - Jurek jest bardzo szarmancki i zawsze rozmową bawić umie. Jurek jest towarzyski i bardzo dowcipny, i miły jak mało kto. Jest bardzo oczytany, nadzwyczajnie inteligentny i skory do pomocy. Jest także bardzo porządny.

- A moje cechy ujemne? - spytał szarmancki i oczytany, ale czy na pewno dowcipny.

Sonia zastanowiła się poważnie, bo spojrzała w sufit i długo za okno. - Nie, nie ma... naprawdę nie widzę... To tylko, że Jurek jest... za mało amerykański. Ale bardzo proszę, co to znaczy, nie pytać.

- A Sonia jest arcymiła i arcy wesoła. Gdy jest w dobrym humorze, z jej ust nieprzerwanym ciągiem płynie potok słów wulkanicznych, plastycznych aż do zenitu. Ma złote serce. Ubiera się z gracją i niesłychanym wyczuciem barw. Umie to docenić każdy oczytany mężczyzna. Tak jak jej uśmiech z najbielszych pereł i oczy gorejących diamencików. Właściwie ma Sonia tylko jedną cechę ujemną.

- Jaką? - spytały jednocześnie mama i Sonia, ale mama głośniej.

- Zadurzyła się w innym - obwieścił Jurek tryumfalnie i rozejrzał się z satysfakcją po pokoju.

Sonia szybko pochyliła się nad kajecikiem Jurka, zanim mama zdążyła zapytać, dlaczego Cud nad Wisłą ma wciąż Pecha nad Utratą, dlaczego tak rzadko święcą tryumfy jego wąskie barki, okrągłe oczy i duże uszy, dlaczego co z nas wydane nie zawsze jest chciane i brane.

- Na tej lekcji opracowaliśmy czytankę „Słownik Lindego". Samuel Bogumił Linde, z pochodzenia Niemiec, chlubnie zasłużył się w literaturze polskiej. Człowiek ten postanowił zebrać wszystkie słowa polskie w jedną księgę, wytłumaczyć je i objaśnić. Słownik miał ten urok - Sonia się roześmiała - ten urok, że autor przytaczał tam autorów z różnych wieków, cytując ich wiersze, w których była mowa o danym słowie. Każdy wyraz zaś tak był opracowany, że naprawdę już nie można było nowego dodać. Można w „Słowniku" dostrzec pewien akcent niemiecki.

- Zupełnie jak u Soni - prychnął Jurek.

- Cicho bądź. Akcent niemiecki, za mało słów z gwary, lecz musimy to wybaczyć Lindemu, który nie będąc rodowitym Polakiem, nie mógł poznać tajników języka polskiego.

- To akurat mogę Soni wybaczyć - Jurek znowu prychnął.

- Cicho bądź. Na dzisiejszej lekcji zajęliśmy się opracowaniem czytanki pod tytułem „Encyklopedyści". Najpierw uświadomiliśmy sobie, co to jest encyklopedia. Encyklopedia jest to szereg oprawnych tomów oznaczonych literami alfabetycznymi. Pod każdą z liter mieszczą się różne objaśnienia wiadomości z różnych dziedzin nauk. Wszystko to jest pomieszane - Sonia nabrała oddechu - i tworzy pewien chaos. Na podstawie czytanki przeprowadziliśmy charakterystykę Diderota, członka literatury. Diderot był barczysty, z jasnym, kręcącym się włosem, o twarzy z wysokim czołem i żywych oczach.

- Bardzo amerykański - zachichotał Jurek.

- Cicho bądź. Praca Diderota wymagała wielkiej wytrwałości połączonej z ufnością i siłą charakteru, a to wszystko posiadał ten mąż pióra i dokonał tego, czego pragnął. Całe niemal życie poświęcił swej syzyfowej pracy.

- Koniec sceny na kanapie. Akt drugi: ważny spacer po okolicy - powiedział Jurek już bardzo teatralnie i mrugnął zza szkieł okiem, ale i tak nikt nie zauważył.

Wypili dla rozgrzewki po jeszcze jednej herbacie i Sonia włożyła gruby sweter mamy, bo nieoczekiwanie wróciło zimno jak nagłe liźnięcie lodowca. I gdyby tak szczęśliwie zostało na minusie i na parze z ust, gdyby znowu rozgościł się na Woli i na całej polskiej ziemi czwartorzęd, gdyby krystalicznie się wszystko oczyściło i zatrzymało, to w przejrzystych pudełeczkach osiadłyby na zawsze i już nigdy więcej się nie poruszyły długie robaczki pociągów i owczarki wpatrzone w człowieka, nie upadłyby szpalery ustawione pod murem i sylwetki mknące do bram, i pióra zastygłyby na nieskończonej literze, a na wolskim skwerze obok słupków wyobrażających kiedyś ligową bramkę wrosłyby w ziemię, jak wiecznie młode pędy, dwie zadumane i okute w wełniane swetry postacie z białymi przy ustach obłoczkami.

A w obłoczkach wielbiciel komiksów wyczytać mógłby:

- Tutaj, Soniu, kopaliśmy piłkę przez całą szkołę powszechną. Pamiętam jak dziś nasz pierwszy mecz ze starszą klasą. Olek strzelił bramkę z mojego podania, naprawdę, i sensacyjnie wygraliśmy. I właśnie od tego meczu siedzieliśmy w jednej ławce, już do końca szkoły. A jak jeździliśmy ze szkołą nad Bug, to zawsze spaliśmy w jednym pokoju, on na górnej pryczy, ja na dolnej. A tam, widzisz, za tymi klonami po prawej, było nasze indiańskie obozowisko, wigwamy stały przy krzakach, a ten gruby dąb to był pal męczarni.

- Męczarni?

- No, jak w powieści... przywiązywało się oldszeterhenda do drzewa i z piętnastu metrów rzucało się w niego szyszkami albo lepiej ogryzkami... Raz trafiłem Olka w oko, bo akurat wtedy ja byłem Apaczem. Pogratulował mi serdecznie, kiedy przyszła moja kolej.

- I co, też w oko?

- W okulary, w ucho, w nos i w nowy sweterek od mamy, prosto spod drutów, podobny od tego, co teraz masz na sobie. No a tutaj, do tej budki na rogu, przychodziliśmy po meczu na pyszną limonadę za jednego grosza. Teraz już zabita dechami. W dni parzyste płacił Olek, a w nieparzyste płaciłem ja. Chyba że obaj mieliśmy pustą kieszeń, jak to u tramwajarskich synów bywa. Za to po pierwszym braliśmy po pączku, a czasem i po dwa... A teraz zaprowadzę Sonię nad staw, bo tam się działy wówczas ważne rzeczy.

Nad stawem rycerze nękali krzyżaków, po wielekroć wracali Litwini i prawa strzegł najbardziej oczytany szeryf. Raz tylko szeryf się topił, lecz nieraz musiał go Olek ratować, gdyż zło potrafiło niestety zwyciężać dobro i bandyci z drugiej klasy dokopać uczciwemu Jerzemu, a właściwie Mc George'owi. Niekiedy pościg bandytów za tym szlachetnym i amerykańskim, droga Soniu, stróżem prawa opuszczał uliczki Ulrych City nad stawem, i pokonując góry skaliste śmietników, przenosił się w głąb Woli, tam gdzie kończył się ten świat i zaczynał świat inny, zwiastowany na czarno ubranymi postaciami i lacrimosą oczu nad straganami cebul. Wówczas ścigany McGeorge mieszał się z tłumem i święcił zwycięstwo swych pięt już nie deptanych, w zamian za poczucie obcości i zagubienia. Poczucie teraz niedostępne, chyba żeby przeleźć przez szczątki tego pierwszego muru, widocznego już tam, w oddali, dzieła firmy Schmidt und Mmstermann, i pokonać potem drugi mur na sposób ptaka lub szabrownika, albo też kryjąc się sprytnie w Oparach dymu, który bardzo obficie tam się kłębi od paru dobrych dni.

Pokazał jeszcze Jurek Soni budynek szkolny, wciąż tę samą dziurę w płocie na tyłach, prawdziwą bramę wolności w godzinach chemii, której Jurek nie znosił, i polskiego, którego nie cierpiał Olek, a nieco dalej pamiętne miejsce, gdzie Olek z Ulrychowa pokonał na pięści, łokcie i sprytnym kopniakiem w podbrzusze samego Maćka z Jelonek, osiłka, agresora i w ogóle kingkonga okolic. Ale później Jurek zamilkł, gdyż przestała pytać Sonia, Sonia posmutniała, Sonia oparła się o drzewo. Więc znowu kryształek na wieczność, bo wielka cisza i niezwykły spokój w powietrzu, bo może taką Jurek najlepiej ją zapamiętał. Najpierw niebo szaro-sine, zadymione niebo nad drżącą z zimna Warszawą, niżej korona już zazieleniona, pączki otwarte, w dole gałęzie coraz szersze i jeszcze niżej prosty pień, lekko chropowaty aż do przesłony z jasnych, dziś spiętych czerwoną wstążką włosów, aż do rysunku z gładkiego czoła, z brwi nieznacznie zmarszczonych po to, by mogły zmrużyć się porządnie oczy, wbite w dal i zamglone; mgła, więc nie ma, nie ma Soni, tym bardziej że pod zgrabnym profilem nosa lekko rozchyliły się usta w prawdziwym półuśmiechu do własnych myśli, tańczących gdzieś w okolicy skroni, a może zresztą niżej, tam gdzie od oddechu unosi się sweter golf. A potem już tylko, choć i to nieskończenie wiele, ręce wbite w kieszenie spódnicy, nogi ściśnię-

te i coraz bardziej odstające od drzewa, by mogła przywrzeć do pnia głowa i mocno oparły się plecy, i już na samym dole, na skraju kryształka, stopy złączone w biednych bucikach, czubkami zwrócone ku sobie, do siebie się tulące, tak jakby cała Sonia już tylko chciała Soni i z Sonią wyłącznie pozostawała.

A kiedy ruszyli wreszcie z powrotem, gdyż mama czekała z obiadem, i kiedy Jurek, dobrze już głodny, rozwodził się nad swojskim urokiem tego pięknego określenia, tego „czekania z...", miłego i ciepłego jak za chwilę zupa, dolewka i zaraz potem drugie, Sonia nagle wzięła go pod ramię, tak dziecinnie i tak niezręcznie, że Jurek pomyślał o pingwinie w swoim pokoju, ale w chwilę później ręka Soni spoważniała, stwardniała i Jurek, atlas dźwigający świat, czuł jej piękny ciężar aż do kuchni z zaparowanym oknem i zapachem marchewki, i czuł też przez sweter mimo grubego ściegu leciutkie ruchy palców, dających mu znaki, których nie rozumiał, gdyż może za słabo znał esperanto gestów i w ogóle wszelki język, którym mówi no chyba jednak rozpacz.

- Jak to jest, jaki sens życia jest? - spytała nagle Sonia, gdy weszli już do ciemnej sieni. - Powiedz, co z nami będzie, dokąd człowiek zmierza, co o wszystkim decyduje?

Oparli się razem o ścianę, znów spletli ramiona i długo milczeli. A to, co Jurek powiedział, powiedział cicho.

- Często myślę, że nami ludźmi kieruje jakaś nieubłagana ręka przeznaczeń, a człowiek w zaraniu swego życia ma już wyznaczoną linię biegu, może i raz na zawsze. Wiesz, czytałem niedawno taką książkę.

- Tak?

- U jednych ta linia jest prosta, jasna. U drugich kręta i stroma. I to, co my nazywamy w potocznej mowie niespodzianką, przypadkiem, w istocie z góry jest przewidziane, nakreślone. Podobnie jak w mitycznej tragedii greckiej, gdzie z taką prawdziwą wielkością zarysowuje się tajemnicze, nieubłagane fatum, które kieruje losem bohaterów, czyniąc ich niejako narzędziem w ręku owego wyższego porządku świata.

Przy kompocie, co naturalne, wszystko się wypogodziło, i nawet słońce błysnęło przez sine chmury. Jak bowiem drżeć z zimna, nurzać się w zadumie, kiedy wszystko w szklance takie różowe i zmienne, to idące na dno, to znowu plączące się u góry, zwiewne jak paproch wspomnienie po frukcie, śmieszne jak pestka wypluta w piąstkę, na łyżeczkę lub od razu na spodeczek. Ostatnia spadła z matriarchalnym stukiem pestka mamy, więc Jurek już wiedział że teraz będzie mama wróżyła, czytała jednostkowe dzieje zapisane w pasjansach i w liniach papilarnych. Z kart dowiedziała się Sonia, że urodziny ma dwudziestego piątego maja, zgadzało się co do joty, również to, że dwudzieste; że jej pomyślne miesiące to także marzec i

lipiec, a wystrzegać się powinna grudnia; że właściwie trzymają się jej pieniądze i że miłość jak wierna rzeka oplecie Soni życie, jeśli pójdzie Sonia za głosem serca i nie nabierze się na fałsz piwnych oczu. Na prawej dłoni Soni było napisane, że jej kolorami są żółć i błękit i że nosić powinna przy sobie szmaragd, który uchroni ją przed chorobami żołądka. Natomiast z lewej ręki dowiedziała się Sonia, że powinna napić się jeszcze kompotu, bo mama uśmiechnęła się starannie i pobiegła do spiżarki po nowy słoik. Wypili zgodnie za szybki koniec wojny, za siekierę motykę i za róże, kiedy płoną lasy, Jurek opowiedział najnowszy dowcip o pewnym malarzu nomen omen pokojowym, a kiedy piękne i tutaj obecne panie znalazły wspólne do kompotu tematy: morze i jego ryby, swetry i dżerseje, oraz Jurek jako syn mamy i jako przyjaciel Soni, omawiany i już nie krytykowany udał się do pokoju i bardziej szrajbnął, niż napisał list do Olka.

Opowiedział w nim o przedobiedniej wizycie na podwórkach i skwerach ich wspólnej „sztubackiej Arkadii, czyli raju dzieciństwa", o uśmiechu Soni to smutnym, to radosnym, ojej żywym zainteresowaniu każdym szczegółem i miejscem pokazanym jej przez wspaniałego przewodnika, o kompetentnych objaśnieniach tego „Beatrycze z zarostem", tłumacząc, dlaczego Beatrycze i dlaczego z zarostem. Wiele też wspominał Jurek o tęsknocie, jaką wywołał niespodziewany wyjazd Olka; „wielką pustkę uczyniłeś swym zniknięciem", zapewniał i następnie ujmował w skrócie ich młodą egzystencję na tle dziejów powszechnych, bowiem „w ciężkich przyszło nam żyć czasach". Kończył zaś mąż pióra tymi słowami: „kochany Olku, za parę tygodni, dwudziestego piątego maja, przypadają urodziny Soni. Spieszę Cię zapewnić, że Twój list z życzeniami sprawi jej nieopisaną przyjemność. Wiesz, jak paniom podoba się dostawać listy. Nie zaniedbaj, proszę, tego wydarzenia i skreśl kilka zdań, choć wiem, jak ciężki jesteś do pióra (a propos, czyli w związku z tym ostatnim, nie mówi się „ciężki za piórem", chyba że po amerykańsku). Ona z pewnością czeka na Twój list, wierz mi".

Tyle i dość długo Jurek, lecz mama z Sonią jeszcze dłużej o rybach wędzonych i faszerowanych ze szczególnym docenieniem karpia, o księgowaniu techniką polską i obcą, gwoli prawdy dokładniejszą, o weselu w kawiarni Ratuszowej przeto i o tym, że mąż na robotach. Pograli jeszcze w tysiąca i w remibrydża, bo niestety nie było czwartego, bo czwarty, i mąż, i Olek, za granicą, a Witek dziś u ciotki nosi węgiel. Zrobiło się zbyt późno na powrót i wkrótce poszli spać, Sonia na miejsce Jurka w pokoju, Jurek na miejsce kuchennego stołu. Spali twardo, aż ziemia zrobiła swoje, okręciła się wokół osi jak zalotna baletnica i świtem podstawiła się usłużnie pod nogi obojga pracowników.

Gdy wyszli, rozbudzeni zbożową i resztką piernika, słońce rozwiewało już wczorajszy chłód i znowu zapowiadało maj.

***

Rozdział 8.

Kwiecień plecień, powiadają, bo przeplata. Była Sonia, to nie było Olka, był Marcel, to żona wciąż nie z nim, ale w samej Warszawie, był też Jurek, jednak Janki ani widu, ani słychu.

Ale Janka już jechała. Pociąg stukał, pociąg dmuchał i czasem świstał, na Ulrychowie i w kuchni, i w pokoju od godziny ciche pochrapywanie, a w pociągu także równe oddechy śpiących pasażerów, i tylko szeroko otwarte oczy Janki mówiły o prawdziwym zmęczeniu i o nie śnionym koszmarze. Z góry jak wniebowzięte patrzyły na nią dwie bliźniacze walizki ze świńskiej skóry, której zakup i wyprawienie tata nadzorował osobiście, tak jak teraz osobiście, choć nie pojedynczo, spoczywał całkiem nisko, w płytkiej dziurze. Co się w tych walizkach kryło, nie bardzo wiadomo - aż do chwili, gdy Janka sama zechciała je otworzyć, najpierw w pociągu na prośbę dwóch panów w ciemnozielonych mundurach i mówiących bardzo gardłowym językiem, a potem, już za rogiem toalety warszawskiego dworca, dwóm panom ubranym na granatowo i swojsko gaworzącym o sielance w alei Szucha. Zniechęceni grubymi podręcznikami buchalterii i Nowym Testamentem Wujka ukrytym w czeluściach bawełnianej bielizny, wyjęli ręce spod sterty biustonoszy i majteczek i odeszli, złorzecząc pod swymi bulwiastymi nosami.

Dzień był jak co dzień. Kiedy pociąg z Janką dojeżdżał do Warszawy, a Jurek z Sonią czekali na odjazd kolejki, wszyscy księgowi i wszystkie księgowe wyszli już z domów. W tworkowskim gabinecie Kaltz temperował ołówek za ołówkiem i wyjmował z szuflady gumki do ścierania błędów, które popełnia co drugi rachujący i każdy piszący. Na jego polecenie Quick, zgrabnie przykrywając rozziewane usta rozcapierzoną dłonią, którą właśnie pokazał heil, rozkładał na biurku Soni księgi ewidencyjne z nowymi nabytkami do wpisania, a na biurku Jurka gromadził rozliczenia finansowe z dokładnością tym razem, herr Jerzy, do trzech miejsc po przecinku i bez typowego dla Słowian zaokrąglenia. Janka zapięła żakiet, chwyciła za walizki i rozglądając się ciekawie na lewo i prawo, skierowała swe kroki w stronę wyjścia. Znowu było ciepło i do otwartej za rogiem walizki wrzuciła żakiet, przesunąwszy Biblię na bok i pończoszki dołożywszy do pończoszek. Pod bardzo pewnym numerem trzy kroki od stacji nikt taki już nie mieszkał, więc mogła pójść teraz przed siebie, albo też skręcić, gdzie jej się żywnie podoba, gdyż wolność prowincjuszka nie zna dzielnic i gubi się w stolicy, i poci się, i lśni w słońcu jak winogrona i zielone oliwki na Campo di Fiori. Toteż na pamięć ojca

ruszyła Janka gdzie popadnie, dla niepoznaki za każdą przecznicą zmieniając kierunek, rozglądając się w lewo i w prawo i modląc się na skrzyżowaniach. Wreszcie, znużona i spragniona, usiadła w kawiarni, by napić się, jak każdy księgowy o tej porze, kubka bądź szklanki dobrej herbaty.

Sonia nie zawsze słodziła, Jurek chętnie, zwłaszcza gdy Kaltz poczęstował prawdziwym w kryształkach. Czasami do smaku Jurek opowiadał dykteryjkę, a wokół milczano i parskano, gdy herbata była już dopita i dowcip do końca zrozumiany. Dzisiaj powiedział śmieszny wierszyk o saku wiszącym na haku, po czym zanurzył się myślami w dodatnim saldzie tego miłego, bo to i Sonia do niego uśmiechnięta, i herbata smaczna, przedpołudnia. Janka, jako konsument również zadowolona, zamówiła nawet drugą szklankę, lecz wrodzona stołeczna gościnność z uśmiechem na rumianej twarzy postawiła na ceracie

70 aż trzy szklanki, równo naciągnięte i parujące pod sufit w niebieskie szlaczki. Do szklanek przysiadło się dwóch panów, którzy niedbale powiesiwszy płaszcze nawiązali rozmowę. Musiała być zajmująca, skoro Janka chętnie zapłaciła za herbatę, cztery kieliszki wódki, dwa śledzie, a nawet śledziki, i dwa, powiedzmy to od razu, ogóreczki, i niezbyt po księgowemu zostawiła panom resztę. Niestety musiała już iść i znowu ruszyła w miasto już całkiem rozsłonecznione, mimo paru, tam za tymi domami i tą wielką karuzelą, słupów skłębionego dymu.

Przeszła Janka obok bab z polskimi kwiatami, zerknęła na zegarki w witrynie, przystanęła na chwilę przy karuzeli i maneżu z milczącymi konikami. Rozglądając się nadal ciekawie w lewo i w prawo, dotarła do szerokiej alei i poszła wzdłuż szyn tramwajowych, licząc przystanki i porównując numery wagonów nadjeżdżających z odjeżdżającymi jak uważny buchalter na dwóch kolumnach, jak Jurek zestawiający właśnie wydatki z wpływami i klnący na czym Kaltz stoi od drugiego miejsca po przecinku. Mogła następnie policzyć ławki w tym parku i kwiaty na tym skwerze, ale cokolwiek by liczyła, tylko ona była jedną niewiadomą, więc bardzo już znużona zawróciła na handlową ulicę, zatrzymała się na chwilę przed witryną i ujrzawszy nagle w szybie swą twarz, na której wiosny jeszcze się nie liczą, zmarszczki nie księgują i oczy wychodzą wciąż zwycięsko z podkrążenia, sięgnęła do wewnętrznej kieszeni po ostatnią kartkę ratunku z zapisanym adresem, niezbyt pewnym, gdzie raczej ryzyko iść. Miły, młody rikszarz troskliwie ułożył walizki przy jej nogach i riksza chyżo przemknęła przez miasto. Wesoło rozdzwonił się na kocich łbach dzwoneczek pojazdu i dźwięcznie się rozweseliła na końcu linijki Jurkowa maszyna, gdyż wszystko się wreszcie cudownie zgodziło, ponownie zaokrągliło i na plusie okazał się szpital.

I już dla Janki nie tak daleka droga do niego, do ziemi obiecanej stołówki, do kompotu

z możliwą repetą i do dębów rzucających cień. Bo okazało się, że pod bardzo niepewnym adresem przy stacji Opacz pani Aniela co prawda chętnie bierze, lecz również przyjmuje. Więc jeszcze dziesięć dni w pokoju z widokiem na ogród za umiarkowane jak na barwy i zapachy pieniądze, jeszcze pierwsze majowe noce przy lekturze ofert pracy w „Kurierze" i metod bilansu ciemnych chwilami jak majowa noc, lecz logicznych jak jedynka zmiażdżona przez dwójkę. I jeszcze tylko łut szczęścia w postaci Soni, która szyła u pani Anieli nową sukienkę w świeże kwiaty, podobne nieco do margerytek w ogrodzie i tak piękne i dziwne, że nieznane dotąd wszystkim wielbicielom czystej natury i ubranych kobiet, co najwyżej wyśnione przez tworkowskich wariatów, i teraz ściskane przez panią Anielę nad biodrami czarnym paskiem ze srebrną klamerką.

Urodziny! urodziny! niewstrzymane parcie wiosny do święta i cyfr do uczczenia, za to, że przybywają i zdają się okrągłe! Kuszący szelest barwnego materiału i flesz dekoltu z perełką na łańcuszku, żeby utrwaliły się i roześmiały twarze wokół, żeby szklanki wzniosły się do toastów, żeby sprawiedliwości, skoro już stąpamy po ziemi, stało się zadość! - Zrobimy dla ciebie wielkie przyjęcie - oznajmił Jurek Soni - gości co najmniej tuzin i większość z miasta, a mama staropolskim zwyczajem przyjedzie z ciastem i kompotem.

Łut szczęścia, który podjechał tu właśnie parę przystanków kolejką, spojrzał więc Jance głęboko w oczy, przypatrzył się stosowi podręczników, Janka kazała skrócić sukienkę o centymetr, podnieść nieco pasek i lekko ściągnąć z tyłu, i w ten sposób, bez żadnych broń Boże dodatkowych falbanek, pani Anielu, została Janka zaproszona, wysłuchana i ucałowana przez Sonię w oba policzki, a nazajutrz zatrudniona normalnym trybem, od szeptu Soni w zawsze nadstawione ucho Kaltza po zamaszysty podpis Honnette'a na Kaltzowym wniosku.

Gdy w dwa dni później stanęła Janka w progu buchalterii, zaskrobalo mocniej na papierze pióro wieczne Marcela, krzesło Jurka nieznacznie zatrzeszczało i na parapecie rozziewa! się kot Wirtuoz. Zmrużył Jurek oczy za grubymi szkłami i od progu ruszyła w głąb pokoju kawowo-mleczna plama, przybierając za każdym metrem coraz bardziej złożone kształty. Domyślił się już Jurek dwunożnej podstawki w pończoszkach, dostrzegł już ręce zgrabnym ruchem wypływające spod jasnych rękawków niczym porcelanowe uszka i proszące, by całość miękko chwycić; jeszcze dwa kroki, i uderzył go widok kawowej kibici wypełnionej do ostatka stuprocentową arabiką ciała, a za kolejnym krokiem mógł dostrzec parujące znad szyi ciemniejsze smugi włosów, i wśród nich twarz afrodyty zrodzoną z oparu i chylącą się zalotnie to ku jednej, to ku drugiej stronie.

Rzeczywiście, Janka rozejrzała się po raz ostatni w lewo i w prawo i stanęła niepewnie przed pustym biurkiem, ale już podniósł się Marcel, już zerwał się Jurek. Sonia dokonała pre-

zentacji, pochwaliła dobór sukienki na debiut, po czym wszyscy, połączonymi siłami księgowych i lekceważąc samotnego w swym kącie Quicka, zasiedli do świeżo naparzonej, ale niesłodzonej herbaty. Nie zdążyły fusy całkiem opaść na dno, a już Jurek sparzył sobie język i zaparował sobie okulary, i zgubił rezon we własnej mgle. A tyle miał do powiedzenia wraz z tradycyjnym wierszykiem o czaju pitym w raju, choćby i to, że właśnie kolejny anioł zbliżył kształtne usta do pożyczonej mu przez Jurka szklanki, że ujął w zgrabne dłonie jego zapasową łyżeczkę z miękkiego aluminium i że wcale nie jest gorzkie to, co nieosłodzone, gdyż on Jurek, Jureczek, żaden tam pan Jerzy, mógłby pić, a nawet sączyć tę herbatę przez wiele długich godzin, aż przeminie niejedna wiosna i oliwa okaże się sprawiedliwa. Przy kolejnej dolewce drzwi się cicho otworzyły i do nieba wkroczył Kaltz z marsową, jak przystało na ponadludzkie, miną i ustami pełnymi długich rzeczowników, ale zbity z tropu spojrzeniem Soni, najstraszniejszą w guberni katiuszą, gorszą od banditen przy szosie, podreptał potulnie po zucker i przysiadłszy się do ucztujących, opowiedział taki wic, jak to w piekle spotyka się Niemiec z Polakiem i diabeł pyta.

***

Rozdział 9.

Kto wraz z diabłem wyszedł z piekieł, odpowie historia, ale nie zajmujmy się długim trwaniem, bo oddech nasz krótki, bo pośpiech krwi w nas duży, bo niewiele już czasu zostało do sobotnich urodzin. Dowództwo i nadzór ogólny przejął Jurek gryzipiórek, scenarzysta ex machina w podzespole teatru świata, wielki budowniczy święta. Do wcielenia pięknie wykaligrafowanego planu, z podpunktami i odnośnikami, zagonił wszystkich bez względu na stan zmysłów i stopień zakochania w Soni. Waleczna drużyna cesarzy z pawilonu F pod demokratycznym przywództwem Nerona sprzątnęła łąkę nad Utratą i z zebranych kamieni ułożyła niebanalny stół pod bufet. Święte z pawilonu K wykonały ze służbowych papierów atrakcyjne girlandy, które komando Marsjan i jeden z Neptuna rozwiesiło na najniższych gałęziach sosen. Vivaldi chodził wte i wewte po głównej alejce, mrucząc pod nosem ze cztery tak na ucho melodie, naczelny Rubens od dwóch dni kręcił się wokół Soni w poplamionej piżamie i z tajemniczą miną, zaś Antyplaton gdzieś się zaszył i w ogóle nikomu nie pokazywał. Stołówka kochana przyrzekła blaszane kubki i talerze, a o prawdziwe noże, długie, harrjerzy, na pewno długie, obiecał się wystarać Kaltz, i jeszcze o tyle przepustek, ile będzie trzeba. Któregoś popołudnia zaraz po fajrancie Jerzy pojechał nagle do Warszawy, dwa razy widziano go, jak szedł w stronę Pruszkowa, a wieczorami zamykał się z Marcelem w pokoju, skąd rozbrzmiewało, skandowało i grało, i ostatniej nocy coś tajemniczo pod oknem gwizdnęło, a co, to się zobaczy. Wiele pracy czekało też Jankę przy nowych przymiarkach sukienki Soni, z dnia na dzień coraz lepiej leżącej mimo poprawek pani Anieli, i podczas długich narad z Jurkiem i Marcelem nad wyglądem ostatecznym. Ponadto dzień już się rozkosznie wyciągał kosztem nocy, wiatry przeganiały te najbardziej szare chmury, wejściówki sprzedając tylko kumulusom, a od Wołgi drżały coraz bardziej niecierpliwie mateczka ziemia i tatulo czas.

W sobotę dwudziestego piątego maja pierwszy obudził się kot Wirtuoz. Miauknął umówione trzy razy i oblizał pyszczek. Na ten znak słońce puściło przez listowie próbny promień i gdy tylko przyjął się na korze, wytoczyło zza dachu swoją ciężką kulę. Wówczas z wielkim hukiem otworzyło się okno w pokoju na piętrze i wychyliły się dwie pary niespokojnych oczu. Coś wesoło zagwizdało, to chyba Marcel, coś zanuciło, to Marcel na pewno, a obok zagadało, jak to Jerzy, gdy słońce kosmiczna nasza aspiryna przynosi ulgę życiu i świętu odpowiednią oprawę. Na zapach wiosny pokropili panowie policzki wodą bursztynową, na złote powietrze nad okapem włożyli panowie marynarki i spodnie ze szczerej bawełny, wy-

prasowane jak tylko umieli, na głęboką zieleń traw wciągnęli skarpetki z barwnym szlaczkiem nad kostką, a na wszystko, co jeszcze piękne i niezaprzepaszczone, wpięli panowie do butonierek kolorowe wstążki. Spojrzał Marcel na Jerzego, spojrzał Jerzy na Marcela, dobry Boże, jak ja go lubię, pomyślał jeden; groźny Jahwe, jakże jago lubię, pomyślał drugi.

Tymczasem dwa pawilony dalej trzasnęło okno, madonny wciągnęły desusy i stanęły oko w oko z otwartą przez przeciąg szafą.

- No to już - zawołała Janka - nie ma na co czekać, bo spóźnimy się do biura.

Było na co czekać, na boskie zmiłowanie i na koniec tego wszystkiego, na lepsze czasy i do domów powroty, albo i faktycznie też nie było - Sonia załkała w wyprasowaną chusteczkę - gdyż po co to mniej więcej wszystko, po co te kwiaty na sukience i pasek ze srebrną klamrą, i ten flakonik z paryską esencją, kiedy jego nie ma i może już nie będzie. Po drugą chusteczkę sięgnęła Janka, na przyszłość bardziej zachłanna, na przepowiednie jednak czuła, i objęły się madonny, i szeptały sobie coś w ucho, i dalej płakały, a łzy im kapały rzęsiście na halki, niemych świadków tego, co pod spodem i co w sercu ukryte.

Co mogło jednak zostać na wierzchu, jak nie trwalsze od smętku kwiaty i zapachy, jak nie wyższe od głupiej ziemi obcasy, i pasek, który trzeba porządnie ściągnąć. Sprzączka trafiła wreszcie w najdalszą dziurkę, Sonia spojrzała ostatni raz w lustro, zręcznym gestem poprawiła fryzurę i zeszła ostrożnie po schodach odebrać w stołówce poranny kubek zbożowej i pajdę z marmoladą.

Huknęło, gruchnęło, a za drzewem, tam gdzie Jurek, zachichotało. Chór wariatów utworzył przed drzwiami pawilonu szczelne i sprofilowane półkole od najwyższego śpiewaka do najniższego, i na znak Marcela, który wysunął się z cienia, podał próbne sol. Przyjęło się znakomicie, gdyż Marcel uśmiechnął się z satysfakcją, wzniósł groźnie obie ręce, zastygł i nagłym ruchem ściągnął niebo w dół. Z gardeł napiętych pod pasiastymi kołnierzykami wydobył się pierwszy liczebnik, okrągły i długi jak każdy wiek i wszystkie stulecia. Powtórzony wielokrotnie, ułożył się w prośbę o długie istnienie, gdzieś tak z dziesięć procent wieczności, o szczelny dach nad głową i bociana w gnieździe, o czterolistne koniczynki, o nieprzerwany wschód słońca nad laguną i o pyszne rzeczy w ustach, kiedy już wyśpiewają szczęście dnia codziennego. I dodatkowo o wspólne z chórem picie, jakby co.

Ręce Marcela podniosły zasłuchane niebo, machnęły raz jeszcze z góry w dół i zapadła cisza. Sonia kraśniała i bladła na przemian, lecz jeszcze bledszy był najstarszy Matuzalem, nestor Tworek, dobrze pamiętający wyprawy Corteza i indiańskie odwety nad ranem. Wysunął się z szeregu z kubkiem dymiącej zbożowej i pajdą chleba w dłoni, i drżącym krokiem podszedł do solenizantki, księgowej i azteckiej bogini w jednej osobie, i ponadto świętej

od stóp do głów z wyróżnieniem talii. Podawszy jej z namaszczeniem to, co przyniesione, przyklęknął i zachrypiał wzniosie, zanim się rozpłakał:

- O, przyjmij tę ofiarę i zostań z nami, Ty Wieczna, i swój dzień czcić pozwól!

Sonia jedną ręką uniosła wysoko kubek, pokazała go wszystkim i kapłańskim gestem przytknęła do warg; drugą pogłaskała starca po siwej głowie i wśród oklasków lekko dygnęła. Wówczas chór wypchnął przed siebie szczyla Lulajże Lulaj, tonącego w zbyt dużej piżamie. Najmłodszy wśród grona, lecz już kompletny czubek, podbiegł do Soni, ucałował ją bez żenady w oba policzki, włożył na głowę wianuszek z bławatków i wykrzyknąwszy donośnie „alleluja, alleluja" oraz, po chwili zadumy, „heil hitler, frau buchalter", pomknął chyżo do szeregu. Wszyscy wesoło się roześmiali, „te wariat" wykrzyknęli, i półkole, przemienione w orszak jednym pstryknięciem Marcelowych palców, ustawiło się do marszu. Sonia, rozpromieniona i szepcząca na lewo i prawo „dziękuję, dziękuję", ruszyła pierwsza, a chór stąpał za nią w takt piosenki o rozmarynie w chwili rozkwitania i o tym, że och jak przyjemnie. Na progu administracji Sonia odwróciła się i raz jeszcze wszystkim podziękowała, przytulając teatralnie kubek i wianek do serca. Wówczas Marcel wyciągnął przed siebie ręce, rozcapierzył palce, i chór, mrucząc coś nierówno pod nosem, niechętnie się rozszedł, obserwowany zza kolejnego drzewa przed nadzornego Jurka i łączniczkę Jankę.

Na widok Soni rozstukały się w buchalterii maszyny i liczydła i spadł na podłogę jeden niemiecki ołówek. Zrobiło się jakoś głupio, na szczęście do biura wpadli zziajani Janka z Jurkiem i machający wciąż rękami Marcel i ucałowali Sonię tak głośno i tyle razy, że odważyła się uśmiechnąć Bronka i porównać sukienkę z perskim kobiercem, że wszystkiego najlepszego powiedziała Jabłkowska, a z kąta jakiś blondyn wysapał „ja, gut".

Nasi mrugnęli do siebie okiem i już jako pracownicy zaczęli podkreślać sumy pośrednie i przenosić do drugiej kolumny cyfry potrzebne w tej ciągłości naszego istnienia od urodzenia po zmierzch, no a dzisiaj od siódmej trzydzieści do wpół do drugiej. Bo o wpół do drugiej trafiły pióra do skuwek, ołówki do słoików po musztardzie, a do pokoju jeszcze ciszej niż zwykle wsunął się Kaltz z papierem w ręku.

- Pan dyrektor herr Honnette życzy pani Soni wszystkiego najlepszego z okazji przypadających na dzień dzisiejszy dwudziestych urodzin - odczytał jeszcze ciszej, niż wszedł, i zaczerwienił się po tym, jak zbladł. - Dużo szczęścia, zadowolenia z pracy i długiej pomyślnej służby dla dobra naszej szpitalnej społeczności. A w dowód uznania za osiągnięte wyniki w pierwszym kwartale zostaje pani przyznana jednorazowa nagroda pieniężna w wysokości czterdziestu pięciu złotych, przewidziana do wypłaty w przyszłym miesiącu. Podpisane pan dyrektor herr Honnette.

Liczbę powtórzył dwa razy, ukłonił się sztywno i wyszedł, zanim Sonia zdążyła podziękować i poczęstować herbatnikami, które już od dobrej godziny krążyły wśród chichotów i parsknięć między biurkami, aż wreszcie sam Quick wziął jednego i głośno, jak tylko wybił fajrant, zamlaskał.

Sonia podeszła do Jurka i Marcela wyglądających niecierpliwie przez okno. Jurek wolał, żeby nic nie mówiła, więc sam mruknął: - Zaraz powinni być. Może mama przywiezie pocztę.

Sonia uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - To co teraz, skoro już mam tę sukienkę? Wpadniecie wszyscy do nas na jednego? Kupiłam dwie butelki wiecie od kogo.

Wiedzieli, bo mieli własne, bo pięknie jest pomnożyć uroczystą liczbę dwadzieścia przez dwa, lub nawet, jeśli księżyc dobrze zaświecił, przez trzy procent, i rozlać to do szklanek, na łące przepijając do każdego źdźbła, co nas nad ziemią unosi. Ale niech lepiej Sonia skoczy po te butelki i przyjdzie nad Utratę punktualnie za godzinę, co się mają marnować.

Spóźniła się parę minut, bo gdy wychodziła z pawilonu, jak kot zza węgła wynurzył się bezszelestnie Kaltz i długo nie mógł otworzyć ust, nawet kiedy Sonia nalała mu jednego do nakrętki. Wreszcie wymamrotał coś o osobistym prezencie z okazji wiadomego święta, poszperał w jednej kieszeni, niczego nie znalazł, w drugiej też nie, uśmiechnął się bezradnie i dopiero z tylnej wyciągnął mały, zgrabny portfelik ze świńskiej skóry. - Może się przyda na dodatkową wypłatę - wyszeptał. - Życzę pani Soni udanego wieczoru. W młodym wieku trzeba się bawić.

Spóźniła się parę minut, lecz jeszcze dłużej stała oniemiała, wpatrując się w bramę z pieńków brzozy i ze świerkowych gałęzi u wylotu ścieżki, w kamienną dekorację w stylu wolnoklasycznym, w girlandy na sosnach, w ozdobiony liśćmi i korą bufet. Tymczasem spełniono już pierwszy toast powitalny i drugi ogólny, a po trzecim, tym właściwym, ustawiła się do łączenia policzków i gniecenia Soni sukienki długa kolejka, cały pociąg dobrych ludzi. Z powagą spojrzała Sonia w oczy mamie reżysera, gdy ta przycisnęła ją do piersi i na kamieniach złożyła tort z napisem „Dla naszej Soni" i z lukrowym sercem; pokraśniała Sonia, gdy uklęknął przed nią Stefek, jak już ją wyściskał i z warszawska ucałował w rękie, a w rękę włożył dyskretnie łuskę z wygrawerowanym tyci sercem i napisem „Dla Soni od chłopaków". Roześmiała się samymi samogłoskami, gdy całusa wgnietli w puder kolejni pasażerowie, Heniek i Witek, i ukłonili się z dłonią na sercu; zachowane kolory szminki przeznaczyła dla policzków Bronki, Anny, żony Marcela, i Joasi, siostry Anny, niespodzianki, żeby kobiet dla chłopaków było więcej, i rozpłakała się na całego, gdy na koniec objęli ją dookoła Janka, Marcel i Jurek i znowu krzyczeli wjej ucho i dla całej kniei wszystkiego najlepszego.

Dwadzieścia równo zapałek spaliło swą kibić i ogrzało dłoń Soni, zanim udało jej się kolejną rozjarzyć stos ze świerkowego chrustu i pachnącego jałowca. Wśród oklasków i gratulacji Jurek z Marcelem rozdali każdemu po bagnecie i kawałku kiełbasy nabytej u wiadomo kogo. Ludzie pochylili się nad ogniem, a nad ludźmi szumiał las. Kiedy pierwsze krople tłuszczu podsyciły żar i usta przegryzły się przez skórkę, chłopaki rozlali po czwartym, a Jurek, spojrzawszy na Sonię i na zegarek, donośnie powiedział:

- Zanim bród toastów nieco nas rozbierze, I zagra muzyka, będzie tańcowanie, Soni dary złożą w świątecznej ofierze Krem wybrany z kremu: najlepsi tworczanie!

Rzeczywiście, na ścieżce coś już szurało i przedostawało się z trudem, właściwym ludziom niosącym swój krzyż, nawet jeśli jest to obraz półtora metra na dwa i pół. Wreszcie Rubens wtaszczył swoje dzieło na środek łąki i oparł je o kamienny stół. Kiedy już odsapnął i poprawił przekrzywioną piżamę, wskazał jedną ręką na Sonię, a drugą, jeszcze dumniej, na malowidło.

Nastąpiło cudowne rozmnożenie. Bo oto po lewej stała Sonia i po prawej stała Sonia. Były już dwie Sonie, dwoje ust do całowania, dwie szyje do ozdabiania najlepiej klejnotem, dwa nosy, więc cztery dziurki, i dwie pary oczu. Solenizantka nowo przybyła spojrzała na solenizantkę już obecną, a ta z niedowierzaniem na resztę i Rubensa. Reszta śmiała się i klaskała, a artysta dumnie wbijał wzrok w ziemię, natchnienie swej sztuki.

Z ziemi wyszła bowiem nowa Sonia jak nowy świat po przemianie gliny. Wciąż była ciałem, lecz lżejszym od myśli; wciąż była kobietą, lecz już puchem wiecznym. Gołe stopy i łydki wyrastały z czarnego jeszcze podłoża, ale ich muskuł wziął z niego, co najlepsze i nabyte na stałe. Dlatego nagość mogła wspinać się wyżej i obejmując kolana, uświetniając blaskiem całkiem pulchne uda i przeskakując przez partie środkowe, uchylała przed Stwórcą i naszymi niedotworzonymi na łące jeden rąbek tajemnicy z jędrnym sutkiem na końcu, jeszcze wyżej zaś odsłaniała wyliczoną już na zawsze długość szyi, usta zwilżone nieśmiałym półuśmiechem i wreszcie całą duszę podzieloną na lewą i prawą źrenicę.

Wróćmy jednak in medias res, tam gdzie futerko. A tak, Rubens otoczył talię Soni czymś puszystym i płowym. To, co było kiedyś łapami, otulało ściśle biodra i zasłaniało figę z makiem czy jak tam w raju było, onegdajszy tułów owijał się wokół brzucha i przez drugą pierś oraz ramię Soni łączył się na plecach z dawnym ogonem, wskazując, że całość jest miękka, bliska i ciut filuterna. I chyba czegoś ta nowa Sonia chciała, tak stojąc na mocnych nogach, na przykład żeby ewentualnie futerko z niej zsunąć i zobaczyć pierwszą kobietę z siódmego bodaj żebra, ciepłą, zawstydzoną i żądną. Tak bowiem niepewny, lecz chętny był cień jej uśmiechu, tak przy wieczności reszty konkretne to futerko, sugerujące, że nie ma

między nimi sprzeczności i że to, co skryte pod nim tu i teraz, dałoby się objąć i wziąć choćby na zawsze.

Nie było wątpliwości, mistrz portretu zasłużył na wszystko: i na swoje imię, i na długi pobyt w Tworkach, na jednego do pełna i na kawałek kiełbasy, na uścisk dłoni i serdeczny pocałunek Soni, i na jeszcze jednego, wypitego z normalnie odchyloną w tył głową, tylko chyba nie na ten rechot Stefka spoza Jurkowych pleców. Na szczęście dla muzyki świata zza krzaków rozległy się donośne dźwięki okaryny i na łąkę wkroczył lekko i zwiewnie niczym wiosna pierwsza pora roku Vivaldi z kwiatem w butonierce piżamy. Ukłoniwszy się jednej i drugiej Soni i nie spojrzawszy nawet na kiełbasę, dmuchał dalej z przejęciem w instrument i rozwijał melodię. Jak na mijający czas grał może zbyt wolno, lecz jak na cykl wiecznego powrotu naprawdę w sam raz, tak żeby nic się nie zmarnowało, z kłosa zrobił się chleb i bociany znowu wiły gniazdo przy nadziei. Kiedy już po wiośnie, rozbuchanej i szemranej, obiecał gorące lato i takie sobie jesień i zimę i kiedy, wykonawszy kilka obrotów z przytupem, przypomniał po ostatnich nutach nuty pierwsze, w krzakach znowu coś się głośno poruszyło.

- Wyłaź, Antyplaton, już można - wykrzyknął Vivaldi poza scenariuszem, patrząc niepewnie na Jurka i straszliwy mars na jego czole, i zanim wybuchnęły oklaski, podszedł nieproszony do bufetu.

Od kiełbasy i dwóch na początek zaczął też Antyplaton, jak każdy pracownik słowa. Sonia pokiwała ze zdumieniem głową i aż chwyciła Jurka za rękaw, tak pięknie nowy gość dzisiaj wyglądał, tak godnie wypełniał piżamę. Uczesana po raz pierwszy od niepamiętnych czasów broda rzeźbiła swe długie, siwe zwoje, rzadszą część włosów od gęstszej rozdzielił na łysawej czaszce szampański przedziałek, kartoflany nos jakby mniej świecił, usta z sinobladych zrobiły się karminowe, pod kolor nowych skarpetek w odbłoconych i wypastowanych na glanc sandałkach. Wreszcie przełknął, wśród życzliwych śmiechów wylizał z brody i wąsów musztardę, odchrząknął chwacko pod czystym kołnierzykiem i stanąwszy w rozkroku między dwiema Soniami, rzucił w nagle zapadłą ciszę:

- Wiosna przyszła, maj zielony, Niech świat będzie pochwalony!

Wiosna przyszła. Przyszła bez huku lodowych powłok, bez gwałtownego kruszenia rzecznych oków zimy. Przyszła jak sen cicha i zbolałą ziemię do swego przytuliła łona. A za nią szedł maj, bijący z dala bogactwem czarów.

Wiosna przyszła, maj zielony, Niech świat będzie pochwalony!

Maj - król roku, książę dwudziestych urodzin

Maj - pogoda dusz, ukojenie bólów, serc żywsze tempo

Maj - młodzieńczość, młodzieńczość...

Antyplaton nagle się zająknął i zaczął wpatrywać nerwowo w ukrytą w dłoni karteczkę.

-...niepokalanie - podpowiedział szeptem Jurek, -...niepokalanie - powtórzył wściekłym głosem Antyplaton, zmiął gwałtownie karteczkę w kulkę i z furią wyrzucił ją w krzaki. - A w cholerę z tym.

Podszedł do Soni, znowu stanął w rozkroku, pogładził brodę i przybrał uroczystą minę.

- Antyplaton do Soni chwała i cześć. W niewielkim stopniu objaw różni się od przypadku, od przypadku. Wśród równych nie masz ci króla, psy na zawsze poszły w las. Nie ten pierwszy, kto szczeknie, nie drugi ten, kto odszczeknie. W tej kniei nie ma głuszy. Oto knieja kniei, ucieka ów, kto goni, jeleń strzela, naboje liczy dzik. Polowanie trwa, a zwierza nie ma i nie będzie. Przeto Tobie, Soniu, Twoim dwudziestu latom z głębi czasów składam najpiękniejszy, najbardziej uniżony hołd. Do Soni solenizantki Antyplaton chwała i cześć.

- Nie bardzo rozumiem - szepnęła Sonia do Jurka, klaszcząc jeszcze mocniej niż inni i ukłonem odpowiadając na głęboki skłon mówcy - ale dobrze powiedziane i chyba dowcipne.

- Wariat! Jednak wariat. Tak go prosiłem. Już do końca zwariował - mruknął Jurek i wystąpił na środek łąki, również klaszcząc i kiwając z uznaniem głową. Odczekał chwilę i kiedy wreszcie wszystkie dłonie sięgnęły po kieliszki, spuentował, co się stało:

- Na łąkę przyszła sztuka, w którą zawsze wierzę, Muzyka, obraz, słowo, z duchem obcowanie, Bo oto przed Sonią w świątecznej ofierze

Dary swe składali najlepsi tworczanie.

- Kretyn! Kompletny idiota! - wyszeptał Antyplaton do Rubensa i Vivaldiego, ale potulnie podreptał za nimi do bramy na ścieżce, jak oni po raz ostatni kłaniając się zebranym w pas. Sonia odprowadziła gości parenaście metrów, a na łące Marcel już instalował swą jednoosobową orkiestrę z harmonii i pedału z tłuczka walącego w dyktę.

Lecz zanim Sonia zatańczy oberka i skoczną polkę, przytrzymają ją przez parę chwil na ścieżce - Marcel nadal stroi instrumenty - słowa jeszcze jednego tworczanina, przez Jurka nie wiedzieć czemu nie wymienionego, choć w pobliżu chyba był i na pewno pił. Pozwól, droga Soniu, bym i ja Ci złożył najlepsze i najserdeczniejsze życzenia urodzinowe. Żebyś jeszcze długo była piękna, a potem wciąż ładna, miła i urocza, no i z niezłą sylwetką. Non omnis moriar, powiadają i piszą na pomnikach, ale nawet i tej cząstki, szczerze mówiąc, szkoda. Życzę Ci przeto, a nawet proszę, byś została tu na zawsze, nie odchodziła dalej niż na długość ścieżki od bramy do łąki i za żadne skarby nie szła za tory. Żebyś była zawsze pod ręką jak litery pod piórem i jak rymy żeńskie. Jeśli chcesz, jak Mefisto dam Ci wieczną mło-

dość i zupełnie nie jak Mefisto sam za nią zapłacę, życiem, śmiesznością, stanowiskiem, gotówką, bylebyś tylko Tworek nie opuszczała, wydeptywała wciąż ich żwirowe alejki i szeroko uśmiechała się do wariatów. A kiedy już się zaczną tańce, zatańcz najpierw z Jurkiem, jeśli się da, zasłużył sobie na to.

Harmonia rozciągnęła płuca, Marcel był gotowy. Do mamy podszedł Heniek i ukłonił się szarmancko. Przy Ani stanął Witek z ręką, jak to Witek, w kieszeni. Do siostry Joasi podbiegł Stefek i chwycił ją mocno za dłoń, najpierw dla próby ostrożnie w myślach, a potem łaps. Jurek okręcił się niby fryga i z jednej strony zobaczył uśmiechniętą Jankę, a z drugiej roześmianą Sonię. Kiedy poczuł na policzkach oddech i perfumy znad dekoltu Soni, podskoczył jak koło na wyboju, potoczył się przed siebie i zatrzymał przy tym samym zapachu, ale innym, bo Janki, dekolcie. Rozległ się akord i na łące wszystkie pary splotły ręce, zabrzmiał drugi akord i na łące stała Sonia samotna topola, padł trzeci akord, tworząc już przygrywkę, i na środku łąki Sonia umierała stojąc. Wówczas Marcel spojrzał na Jurka, Jurek znowu zerknął na zegarek, unosząc wysoko rękę. I wykrzyknął rozdzierająco, bo tak też umiał:

- Nadzieję wiejmy w serca jak napój miłosny, Jeśli warto nam czekać, to czekać do wiosny!

Zza drzew po prawej stronie łąki wysunęła się wysoka sylwetka w płaszczu z postawionym kołnierzem. Skierowała swe długie kroki prosto w stronę Soni, przed Sonią przystanęła i zapytała donośnie wyuczonym, sztucznym tonem:

- Czy mogę szanowną panią ja do tańca prosić?

Obrócić, poprowadzić, ba, na rękach nosić?

Sonia skinęła głową, Sonia skinęła głową. Prawa ręka objęła Sonię wpół, lewa dłoń odszukała dłoń.

Marcel rąbnął w klawisze, a klawisze w sedno wszystkiego, co się liczy, jest powtarzalne od ucha do ucha i w serca dwa.

Krótka to była melodia, lecz pojemna dla kroków, obrotów i spojrzeń. Inni też się obracali, kroki dozowali, do stóp dostawiali stopy, co w skocznym walczyku jest wymagane, inni też się na raz dwa trzy przetaczali, a nawet, jak przed chwilką Witek, potykali, lecz tylko na środku łąki tak się iskrzyło i ziemię poniewierało. Raz dwa trzy okręcił mężczyzna Sonię wokół jej jędrnej osi, raz dwa przesunął ją w bok i trzy ją przytulił, i szybko dwa trzy z Sonią przeleciał, i raz i raz powietrze żwirował, i niewiele już widać, teraz Sonia, a w jej oczach ogniki, teraz Olek i twarz w uśmiechu szersza niż dłuższa i starannie ogolona, a nad karkiem Soni włosy wciąż spięte i znowu kark Olka wysoko podstrzyżony i ponownie oczy Soni, w tym jedno mrugające na Olkowy chyba szept, i gdy Olek otwiera nagle szerzej usta, wymyka-

ją się włosy Soni spod wiążącej wstążki, rozwiewają się nad szyją i znowu nic nie widać, i słychać tylko raz dwa trzy, raz dwa trzy skocznego walczyka na umrzyka skrzyni.

Tak, zmienił Marcel melodię, stąpających po ziemi przeniósł przekornie w tango marynarskie, chybotliwsze, lecz mniej obrotowe, bliższe chmur i bryzy bezkresu, więc napiął się płaszcz Olka jak żagiel od portu do portu, więc rozwiała się sukienka Soni na całą wprzód, lecz oto zręcznym taktem i nowymi akordami kazał Marcel do brzegów przybijać i z nieznanych ostępów wód w piękny i przyjazny, bo nasz, tubylczy, kraj poprowadził, tam gdzie serce właśnie i oberek rach ciach ciach i mazur uha ha, i Sonia z Olkiem jak pani z panem na zagrodzie, pastwisku i teraz na łące w niezrównanym wśród narodów przytupie na tak, na dudniące tak, albo wiem tak, jestem dla ciebie, tak tak tęskniłam, tak tęskniłem i pragnąłem tak, tak chcę, tak tak chcę i kocham tak.

Ale już Marcel, jakby sam swojej dziwił się piosence, miechy stulił, i gdy wszystkie pary przystanęły, a Jurek z Janką podbiegli w ciszy zapalić świeczki na urodzinowym torcie, z miechów nagle nowa, lecz znana melodia ku niebu się wzbiła, i jeszcze, jeszcze zanucił Heniek z mamą, i nie zginęła, dośpiewali basem Stefek z Witkiem. Na znak Jurka wszyscy goście zbliżyli się do płonącego tortu, a wokół gości drgało jeszcze dzienne światło. I wówczas Jurek chybotnął się, wzniósł nalany pośpiesznie przez Stefka kieliszek i wpatrując się z uporem to w pobladłą twarz Olka, to w lśniący deseń tortu, powiedział:

- Ciepły, majowy wieczór. Wiatr śpi jeszcze w ciemnych legowiskach nocy; nie szarpie dziś drzewami, nie skomle cicho a żałośnie. Ale gdy powoli zapada zmierzch, gdy całun nocy pocznie otulać ciemną osłoną naszą polską ziemię, hen gdzieś w oddali spostrzeżesz pasma migocących płomyków - tam obozują żołnierze nasi. Tam gwarzą cicho ci, co ponieśli największą ofiarę - życie dla ojczyzny, co legli może nieznani, o których przyszłość będzie mówiła tylko: pułk, batalion, bateria, wojsko. O żołnierzu polski, którego jedynym strapieniem, wyłączną zgryzotą nie były trudy, nie ubytek w szeregach, nie kule i bomby, co was dziesiątkowały, lecz cel święty. Broniliście się wobec szalonej przewagi, broniliście wolności naszego narodu i choć sami padaliście w morderczym ogniu walki, ocaliliście cześć i honor, który dla nas Polaków był zawsze i jest największą, najświętszą rzeczą. My, co nam Bóg kazał pozostać, stoimy nadal na straży czystości naszych uczuć, a wszystkie bóle składamy w ofierze Bogu Jedynemu. I wierzymy, że jeśli On tak nas ciężkim gromem, palącym piorunem poraził, to widocznie ma do nas zaufanie. Że podniesiemy się poprawieni i mocni. W ten ciepły majowy i tak uroczysty dla nas tu zebranych dzień myśli wszystkich żyjących Polaków biegną ku Wam, żołnierze polscy. Niech w mogiłach waszych rozsianych po polach bitewnych Norwegii, Holandii, Francji, po całej niemal Europie zrodzi się Wielka Polska.

Położywszy akcent na ostatni przymiotnik, Jurek podszedł do Olka i rzucił mu się na szyję. Stali tak objęci i przyciśnięci, a obok płakała Sonia, szlochała mama i zapatrzyli się w czubki butów chłopaki. Po chwili Olek ucałował Jurka w oba policzki, podszedł do Soni i podprowadził ją do stołu z kamieni. Sonia nabrała głęboko powietrza i długo osadzała je w płucach, jakby nabyła je na własność lub wieczyste używanie. Kiedy wypełniło już najniższy pęcherzyk, dotarło do przepony, pochyliła się nad tortem owocowo-orzechowym, trójwarstwowym, okrągłym i pogodnym, nieśmiało mrugającym swymi dwudziestoma płomykami, i desperacko chlusnęła w niego wiatrem. Zgasły wszystkie płomyki i zmatowiał tort.

- Sto lat - zaintonował Stefek i podbiegł do Olka. - Skąd tu się, stary, wziąłeś, niech żyje nam.

- Niech żyją nam - poprawili wszyscy i obiegli radośnie Sonię i Olka, a w Olku mężczyznę, a w mężczyźnie szczęście i kula w gardle. Niech żyją nam, sto lat niech żyją nam, niech tort okaże się słodki i o faktycznie trzech różnych smakach, niech ta butelka ukryta w siatce mamy będzie nalewką od cioci Ireny, niech już wszyscy wygodnie się usadowią, niech Sonia spocznie przy Olku i niech Olek odpowie na wszystkie pytania tłoczące się na usta przez bryłki waniliowego kremu z prawdziwym orzechem, jeśli ktoś miał szczęście.

- Właściwie wszystko opowiedziałem Jurkowi - odezwał się niepewnie Olek. - Trochę było kłopotów i przygód, ale jakoś mi się udało na czas. Jerzy powie lepiej.

- Olek uciekł - oznajmił tryumfalnie Jurek. - Wygrał z Burghofem, skorzystał z nieuwagi, wsiadł na rower Helgi i już go nie było. Potem towarowym pod pakami na północ, żabką przez Dunaj, z kurierem węgierskim przez Tatry do Zakopanego, bez problemów, bo w Budapeszcie bywał wcześniej, szybko przez Polskę i już w domu. Tylko, cholera, kolejka zepsuła się we Włochach i musiał iść pół nocy, przeleźć przez mur i nas obudzić. - Jurek dokroił sobie tortu i spokojnie przełknął. - Wszystko dzięki piłce kopanej. W niedzielę miał być mecz. „Beze mnie przegracie - powiedział Olek Schnitzlowi - wie pan przecież, jak oni dobrze kopią w tym Burghofie, wygrali już z Dorfhofem i rozgromili Zamthof. A pan nadzorca z kim będzie grał, z Reschkem i z Waldtkem? Oni przecież za krowami nie mogą nadążyć. Szkoda tych trzech beczek piwa.” No i ten Schnitzel, najlepszy łącznik w całym Dubhofie, polazł z Olkiem do bauera i powiedział: „Zabieramy go z sobą, panie bauer, nikt tak nie strzela główką, zrobimy z Burghofu krowi placek.” Kiedyś to opiszę. Będzie się nazywało „Ucieczka Olka”. Już nawet coś na dzisiaj przygotowałem.

Jurek wyjął z kieszeni kartkę, dziabnął ostatni kawałek tortu i spokojnie przełknął. - A więc to wyglądało mniej więcej tak:

- Zatęsknił dzielny Olek za brukiem Warszawy I Helga zadurzona swój rower ukryła.

Wokół meczu powstało bardzo wiele wrzawy, Strzelił bramkę, odjechał, Helga smutną była.

Więcej nie zdążyłem, bo spać mi się zachciało - mruknął Jurek przepraszającym tonem i poprosił jeszcze tortu, ale przecież już nie było. - Tak to wyglądało, prawda, Olku?

Olek kiwnął głową i wszystko stało się jasne jak alpejski lodowiec, jak włosy Helgi długo machającej na pożegnanie, i dobra była całość w swej wymowie, no ale jaki prezent urodzinowy przywiózł Olek zza granicy południowej, tego nie zgadł jeszcze nikt. A przecież każdy słyszał o krowach i tłustym mleku do czekolad, do mocartkugli i mocartbombe, o pastwiskach zielonych na zimnym tle lodowców, o piórkach za tasiemką w kapeluszach i o czystej wodzie, gdy puszczą pierwsze śniegi i zacznie się jodłowanie. Zapadło milczenie najlepsze do specjalnych efektów, i stały się ciemności, gdyż Olek kazał wszystkim zamknąć oczy. Wiatr zaszumiał i ustał, i wtedy cicho, a potem cichutko rozległ się srebrny, srebrny srebrzysty dźwięk. Tim tam ti ti tam, tak brzękało, a potem jeszcze tu ti dam. W ciepłych palcach Olka drżał mały alpejski dzwoneczek i bimbał sobie na wszystko, na cztery strony świata, a najbardziej na wschód, na własną eufonię, na zmierzch po długim dniu i na kolejność rzeczy. I błyszczał to zalotnie, to tajemnie, mrugał do wszystkich swą totalną źrenicą, tylko do Soni Kubryń jeszcze nie. Bo Sonia więziła wciąż dźwięk przymkniętą powieką i kolczatką rzęs, trzymała go pod językiem i jeszcze głębiej, w gardle, wypuszczając w zamian na policzki rumieńce szczęścia, i Olek Przybysz wzniósł dzwoneczek nad jej ucho i delikatnie nim trącał, aż Sonia spożyła całą muzykę, aż rozdzwoniło i rozkołysało się jej ciało wewnętrzne.

A potem tańczyli znów wszyscy w parach ustalonych przez prozę życia i przez poezję, którą nie wiadomo do czego przypisać. Właśnie skończył się pierwszy taniec i Heniek prysnął jak oparzony, bo do Soni podszedł za nim cicho Jurek.

- Czy mogę do tańca cię prosić? - spytał.

Spojrzała na niego przeciągle. Zdjął okulary i wsunął je do butonierki obok wstążki.

- Czy do tańca mogę prosić cię? - powtórzył, mrużąc lekko brwi.

Położyła na jego ramieniu pracą dłoń i milczała.

- Czy mogę cię do tańca prosić? - spytał raz jeszcze. - Czy zechcesz ze mną zatańczyć? Czy cię do tańca prosić mogę?

Jurek mógł, Sonia chciała. Jeszcze chwilę pomilczała, jeszcze chwilę uważnie patrzyła, aż wszystkie w niej sensy ciasno się skupiły, dodały do siebie i poprosiły o przytulenie. Wówczas objęła go tak mocno, jak obejmowała zawsze brzozę, tę pierwszą po lewej od strony rzeki, gdy przychodziła na łąkę po zniknięciu Olka i słońce miało się ku zachodowi. Drgnęli lekko, bo melodia była rzewna i Marcel rozmarzony. Jurek zgrabnie się zakołysał i

dość pewnie przesunął Sonię, a Sonia równolegle do deux pas postawiła pytanie:

- Dlaczego, dlaczego to wszystko? Dlaczego akurat dla mnie?

Jurek miał gotową odpowiedź o pięknie, które trzeba uznać, odczuć i docenić tam, gdzie ono naprawdę istnieje. Ważniejszy był jednak aktualny Schubert z cichą frazą i bielą smutku jak brzozowy pień, niech więc dłonie Soni po raz ostatni ciepło i mocno obejmą brzozę, a brzoza niech milczy, niech wylewa ukradkiem łzy żywiczne i pożegnalnie ociera korę, i niech bez końca, prosimy cię grajku Marcelu, wdycha balsam jasnorudych włosów i błogosławieństwo ciemnych oczu na oby długą jeszcze drogę życia. Tu nad głową niebo, chmurki trzy, tam dalej szumi łagodnie woda, i być, jednak być.

- Powiedz, powiedz - poprosiła raz jeszcze Sonia, tuż przed ostatnim aktem.

Lecz brzoza wciąż milczała i bieliła uroczyście ciszę, aż wreszcie na amen wygasły nuty, i stała się na nowo Jurkiem, bogatszym o jedno, najpiękniejsze może, przeżycie, o najdłuższy, kochany ten nasz Marcel, taniec wiosny, i znowu była organizatorem wołającym donośnie:

- Długo oczekiwana zmiana par, panowie ponownie proszą panie, panie proszą o skoczną muzykę.

Harmoszkę chwycił Witek, chłopak z Woli, a gdy trzeba, to z Targówka, i huknął tangiem łobuzerskim jak sznyty od żylety, smok na lewym ramieniu, a na pępku naga pani z ogonem syreny. Więc do wspólnej zabawy Sonię poprosił Olek, Anię Marcel, siostrę Asię Stefek, Bronkę nieśmiało Heniek, a panią Jankę sam smok Jurek.

I tak już zostało. Mijały tańce i mozolił się zachód słońca, i te same wciąż deptały się stopy i witały ręce. Olkowe opuszki nie raz policzyły palce Soni, sprawdziły trwałość przegubów, tam gdzie krew wpada db dłoni i tyka to, co wyżej bije, zobaczyły też, że w łokciu Soni się zgina, i zapamiętały, że piękne to miejsce do całowania, bo piękny tam, miękki aksamit w kościanej otoczce, i skoro tak, zawracały na Soni dłoń jak niespieszny zwiastun ust i wypisywały delikatnym ślizganiem, odbieranym jako przyjemne mrowienie, nadchodzące fakty nocy. Ręce Marcela i Ani miały natomiast już wiele za sobą, choć ostatnio tak mało siebie, i po lewej zwarły się dłońmi z wdzięczności za to, co już było, a po prawej, gdy Witek grał o dziewczynie porzuconej przez szulera albo o Manku, na którego nikt nie czekał, choć miał piękny nóż, dotykały policzków, gdyż tam, na delikatnej skórze pod okiem, wiele się skupia z ludzi sobie wiernych i związanych snem niejednej nocy. Ręce Bronki i Heńka pomińmy milczeniem, bo i tak nic z tego nie wyjdzie, o dłoniach Stefka wiadomo, że na szczęście nieźle się spociły, a tydzień później wniosły trzy różowe goździki do kawiarni przy zbiegu placu Zbawiciela i ulicy Marszałkowskiej; natomiast o tym, co się działo w ostatniej parze, lepiej

powiedzieć od razu.

- Jurku, Jurku - szeptała Janka, gdy przed każdym nowym tańcem albo po świście kolejki z Podkowy w jej dłoń rozpostartą inną dłonią trafiały usta Jurka, a raz cały nos. - Jerzy, no przecież, Jerzy - mówiła tuż po tańcu, gdy usta powracały, zawadiacko otwarte, z tę samą dłoń, albo iw obie. Tak, Jurek kłaniał się, dziękował i prostował, oddawał cześć i mierzył wzrokiem. I dobrze chyba wyglądała Janka, i chyba miękka i pachnąca była jej dłoń przyjmująca hołd od tego, co w twarzy Jurka najmiększe i tylko troszkę bimbrem spierzchłe, skoro Jurek lwi pazurek dygał, gdy trzeba, i prowadził jak trza, i uśmiechał się, i patrzył ciepło bez uśmiechu, skoro pod jego zmierzwioną fryzurą pojawiła się myśl o nowej parze sylab i nienagannym rymie. Janka, Janka - powtarzał sobie w głowie, a czuł w brzuchu i nawet, proszę dzieci, niżej, Janka kochanka, całowanka aż do ranka i - Witek śpiewał właśnie o pluszowym kotku i drewnianym piesku zakochanych na jarmarku - szeptał Jance do ucha ulubiony cytat ze swych marzeń. Zarzuciła rączki na jego szyję - zaczął i podprowadził dłoń za kołnierz Janki - usteczkami do ust jego przywarła, wyciskając na nich pocałunek, w którym rajskie słodycze z żarem tysiąca piekieł się łączyły. Przytuleni do siebie, z lekka ukołysani miarowym ruchem tanga, upojeni szczęściem, bogom podobni śnili złoty sen o miłości, co wszystko zwycięża.

Tymczasem Witek już skończył, bo kotka niestety sprzedano i rozstały się zwierzątka, więc i tango przestało kołysać. Zapadł zmierzch i trzeba było gasić ogień. Wspaniali pobiegli z butelkami i kubkami do rzeki, płomienie się zakrztusiły, urodziny przeszły w nocną fazę. Już nic nie świeci, jest ciemno i nikogo nie widać, tylko tam, gdzie przystanęli Janka z Jurkiem w potanecznej pozie, rysują się mgliście dwie sylwetki, tylko tam dociera od rzeki, tam dociera od rzeki lekki blask.

I któż inny jak nie Jurek mógł przerwać ciemną ciszę i na nowo rozświetlić noc.

- Umilkła już muzyka, zmierz zasłonił nuty, Przyroda nam poskąpi swej soczystej trawy, W pokoju naszej Soni za to dadzą kawy, Więc przenieśmy tam z sobą te... no... nasze buty.

W porządku, rozświetlił jak mógł i zaklął pod nosem, bo trochę mu się słowa zastały w alkoholu poezji, ciut za mocno zamarynowały, ale apel został wysłuchany i miłe nam oraz rzece towarzystwo ruszyło gęsiego ścieżką koniecznych do Tworek powrotów.

Ach, jakże blisko jest od słowa do słowa, od łąki do rozłąki i od zmierzchu do świtu, bo oto jeszcze dwie ledwie godziny, nie więcej niż trzy, i znowu wstanie warszawski dzień. Siedzieli ramię przy ramieniu, na podłodze i na obu łóżkach w pokoju Soni i Janki, smakowali prawdziwej kawy i sączyli resztki nalewki, znalazło się też kilka zielonych jabłek. Olek

wspominał jeszcze Alpy i trzymał Sonię za rękę, o pstrągu zaśpiewały ładnie Ania z Asią, i wspólnie z mamą o łódzkich tkaczkach. Potem nucili wszyscy cicho jak szara brygada, tylko Janka zapomniała drugiej zwrotki. Jurek powiedział wiersz o ulicy Miłej, która nie zawsze jest miła, a Stefek niestety dowcip o pannie Feli. I znowu popijali kawę z dolewką świeżej wody, Witek naśladował głosy ludzi i zwierząt, i najbardziej mu się udał kogut i wąsik, ach, ten wąsik. Wreszcie Marcel przypomniał sobie, że zostawił u siebie w pokoju tabliczkę najprawdziwszej gorzkiej czekolady i jeszcze jedną niespodziankę do picia, ale nie chciało mu się samemu iść. Więc pod szarzejącym już niebem poszli zmienić zajezdnię, tak to określił Stefek, i znowu chichotali na widok pingwina. Sonia i Olek jeszcze na chwilkę u Soni zostali, bo jak Jurek z Marcelem czasem na człowieka spojrzą, to z łóżka się nie chce ruszyć, a i na prawdziwą czekoladę zupełnie przechodzi ochota.

Minęła godzina i wiadomo to tylko, że Olek Przybysz miał bliznę na prawym boku po usunięciu tuż przed maturą wyrostka robaczkowego, a jego tors pokrywał gęsty, bury włos. Sonię Kubryń zdobiły znamię na prawej łopatce, jeden pieprzyk zanurzony w dekolcie i drugi pod sercem, i przeświturająca mocno błękitna żyłka na lewym udzie. I wiadomo to jeszcze, że pierwszy promień słońca padł najpierw na prawe ramię Olka i po chwili prześliznął się na jego pierś i musnął włosy, a potem czoło, nos i lewy policzek Soni, i rozbłysnął mocno w srebrnym, drobnym łańcuszku na jej szyi.

Niespodzianką Marcela był autentyczny jak wszystko, lecz bardzo gęsty sok pomarańczowy, jeszcze w puszce z przedwojennego importu braci Schlaubmann, i pili go ze smakiem, gdyż świetnie pasował do trzech kostek czekolady na obecnych i jeszcze po dwie dla spóźnialskich, więc znowu coś cicho nucili siedząc ramię przy ramieniu, a gdy błysnęło słońce, postanowili powitać niedzielę na świeżym powietrzu. Tuż przed bramą dołączyli do nich zdyszani Olek z Sonią i wszystkich pogodnie pozdrowili, choć odłożona czekolada gdzieś przepadła. Sukienka Soni wyglądała równie dobrze, gdy Sonia miała dwadzieścia jeden lat, jak i wtedy, gdy lat miała dwadzieścia, i poszli ścieżką przed siebie, wymieniwszy z wartownikiem Johannem, tym z przyjemniejszą buzią, poranne guten morgen.

***

Rozdział 10.

Lubię czerwiec, bo dni są najdłuższe w roku, a i plamy na księżycu znikają szybko. Wszystko widać jak na dłoni, a od dłoni do klawiatury droga krótka. Właśnie idzie Olek, kieszenie kurtki ma czymś wypchane i gwiżdże pod nosem piosenkę. Wygląda elegancko, bo odkąd zakonspirował się na amen, nosi amerykański blezer, a Jurek uważa, że slipki też. Od Johanna przypali! sobie skręta, Rubensowi, który rozmawia z błyszczącym kamieniem, mówi dzień dobry, czterema susami pokonuje schody i wpada bez pukania do pokoju Jurka. Dostrzega go tylko Wirtuoz, który najpierw fuka, a potem się łasi i chce mu wskoczyć na kolana. Marcel leży dziś w łóżku i patrzy nieruchomo w sufit, Jurek coś skrobie w kajeciku i na czoło wystąpiły mu wszystkie żyły. Olek czeka, aż dopisze do końca linijki, i mówi, że złapali Parasola i Czajkę, więc spotkają się w niedzielę u Kata, a nie u Żaby. Marcel drwiąco się uśmiecha i Olek wręcza mu dwie sztuki najprawdziwszych amerykańskich i patrzy z uśmiechem, jak Marcel przesuwa je przed nosem, raz tego z filtrem, drugi raz bez filtra i później oba naraz. Olek zostawia jakąś paczkę pod łóżkiem, słyszy, że jest wariat, i wychodzi mówiąc, że jeszcze wpadnie.

- Wpadniesz, oj, wpadniesz - mruczy Jurek i przypala Marcelowi, ale Olek już jest na parterze, już na alejce, już w pawilonie B, już w ramionach Soni. Wyciąga z kieszeni trzy jabłka, zielone w czerwone ciapki, torbę z ciągutkami i szklaną kulę, a w niej, jak potrząsnąć, pada śnieg, a jak postawić na stole, przy pięknej pogodzie wznosi się różowy domek z kominem, przed domem czeka konik z saniami i pies wesoło poszczekuje, bo ludzie będą jechać, a on biec za nimi, aż przystaną sanie w lesie i cudowna cisza otuli wszystkie stworzenia. Olek kładzie jedno jabłko przy głowie Janki, która zdrzemnęła się po pracy i lekko posapuje, i wychodzą z Sonią na spacer, na razie chichocząc. Przy alejce kamień coś tłumaczy Rubensowi i Rubens na ich widok kładzie palce na usta, Johann dostaje ciągutkę z mleka polskiej krowy i jak zawsze wesoło salutuje, przy torach rośnie mak. Sonia prosi, by Olek nie zrywał, Olek zawraca i podaje jej ramię, i skręcają w prawo, gdyż przedwczoraj poszli w lewo.

Wchodzą między pierwsze domki, wśród rzędów truskawek, już dojrzewających, biega dziecko i uwija się azor, a tej czereśni można dotknąć ręką. Sonia nie chce takich czerwonych kolczyków, ale chętnie possie pestkę; - ssie, ssa, ssam - śmieje się Olek - co za język - mówi Sonia, co za oczy - myśli Olek. Dalej droga wychodzi na pole i się zwęża, zboże sięga im do kolan, a strach na wróble jest jak ciotka Olka, zwłaszcza w tym kapeluszu. - Też bym

chciała fruwać - mówi Sonia patrząc na ptaki - długo i wysoko się bujać i w lesie dziuplę mieć. Do lasu już niedaleko, więc do ust też już blisko, Sonia opiera się o sosnę i obie bardzo do siebie pasują. Olek wyciąga ku nim ręce i wtedy Sonia robi ten piękny gest, wypluwa pestkę z buzi: nieco się wstydzi, ale bardziej chce, i najpierw, gdy podtyka pod usta dłoń, lekko mruży oczy i nieznacznie obraca twarz, bo ma tylko dwadzieścia jeden lat; lecz gdy już językiem odnalazła pestkę, przesuwa twarz z powrotem i patrząc prosto w oczy Olka, odbiera pestkę dłonią, odrzuca na bok jak niepotrzebny już klucz i całuje pierwsza.

Na alejce Rubens porozumiał się już z kamieniem i teraz zaczepia ludzi, ale Janka przemyka szybko i puka umownie trzy razy, a przed czwartym robi przerwę. Otwiera Jurek, bo Marcel ciągle dzisiaj leży i pali, teraz drugiego z filtrem. Janka prosi Marcela o poradę, bo ona naprawdę czegoś z tymi wpływami nie rozumie, a w podręczniku nic o tym nie ma, i Marcel tłumaczy jednym zdaniem i machnięciem ręki. Jurek podaje Jance jabłko od Olka, lecz Janka wyjmuje swoje i jedzą w milczeniu, kto głośniej ugryzie, a Marcel ciągle pali i wypuszcza dym pingwinowi w oko, i wreszcie się uśmiecha, gdyż to Janka ugryzła głośniej.

A w lesie znów jest cicho, jakby nigdy nie było tu nikogo, bo co z tego, że mech wgnieciony i gałązka złamana, jeśli pod wieczór, a najdalej jutro, dziura się załata, a gałązka i tak puściła liście. Można by jeszcze zerknąć tam za drzewo, lecz ta wstążka jest z paproci, a ten guzik z małego grzybka. Więc lepiej wracajmy szybko przez pole i na wskroś przez pszenicę, i nawet na skróty przez zadbany sad państwa Lipskich, wracajmy, gdyż skubani Sonia z Olkiem siadają już przy stoliku z popielniczką pełną petów, Marcel już tasuje karty, i już w pierwszym rozdaniu trafiają się cztery kiery jak miłość do kwadratu, jak dwa serca w lustrze, na szczęście ugrane bez problemu przez Sonię, bo na dziadku Olku odkryły się dwa asy i cztery mocne atuty.

Tymczasem Marcel dosta! longer pików przy renonsie treflowym i aż wierci się w krześle, a potem psyka i patrzy błagalnie w sufit, bo tylko tam boskie zmiłowanie, gdy ktoś taki jak człowiek Jurek zamyka licytację na wysokości trzech niczym piękny wiersz w pół słowa. Dziwi się Janka, bo z ust Jurka, subtelnych jak kolor brzozy, jak odpowiedzialność i praca, pada brzydka sylaba, ale Jurek miał na myśli tylko kurczę blade, bardzo chyba blade, i śmieje się Olek, i chichocze Sonia aż do chwili, gdy kładzie proste trzy karo, bo zapomniała ściągnąć atu i zaczęła od trefli. Olek grozi powrotem w Alpy tam gdzie dzwonki przynoszą szczęście w każdej ilości, i uczeń Janka już nic nie rozumie, a zwłaszcza różnicy między dupkiem żołędnym a waletem treflowym i dlaczego figur na figur mawiał król Igor.

Ale prawdziwa walka par dopiero się zaczęła. Karta szła coś za dobrze szczęśliwym w miłości, więc Marcel bronił honoru księgowego i zaopatrzeniowca z szatańską odwagą. Blo-

kował kontrakty, robił sprytne zrzutki, a gdy Olek rozgrywał bez atu na partię, położył go bez jednej sprytnym wistem w najkrótszy kolor. Cieszył się Jurek talentem partnera i wspólnym splendorem, heroiczną obroną twierdzy Pingwin przed inwazją grupy Eden w gościnnym wykonaniu Adama i Ewy, zwłaszcza że sam kładł równo bez jednej rozgrywkę za rozgrywką. Janka patrzyła jednak z uważnym podziwem, jak liczy punkty, dotykając każdej karty palcem, jak na odlew wali dupkami w stół, jak starannie wykłada dziadka, więc dwoił się i troił Jurek na swej ulubionej łące Termopile, mamrotał do siebie nad kartami, Jance tłumaczył, że nie wszystko jego wina, bo as bierze tylko raz, gibał się na krześle - kto ma serce, wygra więcej - wzdychał, gdy Olek znowu licytował kontrakt kierowy, zaglądał ukradkiem w karty Soni, aż wszyscy odwracali ze wstydu oczy, wychodził spod dużego palca, a potem spod małego, tak żałośnie zakrzywionego, liczył atuty, tylko zapomniał o pierwszej lewie, pocił się jak polarnik po powrocie, myślał nad wistem, ale po co, rozgrywał majestatycznie, sapiąc logicznie, aż w Pińczowie dniało, a w Tworkach ziewało, lecz to lepsze życie wokół toczyło się nadal, Soni szła karta, Olek z Marcelem po męsku palili jednego za drugim i tylko Janka nie miała na Jurka szczęście w kim innym się zakochać.

Aż wreszcie przyszło rozdanie ostatnie, Olek z Sonią już po partii i siedemdziesiąt punktów na robra jak siedemdziesiąt lat na jeden wiek istnienia, jeśli zdąży się je ugrać, i Olek wymruczał spokojnego pika, żeby to wszystko skończyć. Jurek oczywiście skontrował, Marcel rzecz jasna się skrzywił, a Sonia, Sonia długo nie mówiła nic. Wreszcie spojrzała przeciągle na Jankę, jakby w jej oczach szukała zachęty, przeniosła wzrok za okno i nagle gruchnęła niczym grom z jasnego nieba: szlem w bez atu. Nie wiem, czybym na jej miejscu powiedział to samo, z wieloma co prawda ważnymi figurami w ręku, lecz tylko jednym asem, nie wiem, czybym się zdecydował bez damy pik w ręku, nie wiem, czybym się na to zdobył, pamiętając o ziemiach jałowych i morzach wyschniętych, ale Olek miał oczy niebieskie i dłonie ciepłe, a zarost jak aksamit na sztorc. Olek miał oczy niebieskie, a za oknem stał zielony dąb, i ktoś te asy musiał trzymać, ktoś, kto jest młody jak bóg i jak góry wzniosły. Pomińmy milczeniem, w przeciwieństwie do Marcela, wesolutką kontrę Jurka, zerknijmy szybko, ale ze zrozumieniem na otwarte usta Janki, bo o szlemie to nawet ona słyszała, i spójrzmy od razu na stół, gdzie Olek z nieobecnym uśmiechem wykłada swe dziadowskie karty. Niepotrzebne blotki wyścieliły już blat i w ręku Olka pozostało pięć ostatnich tajemnic. As i król pikowy były pewne, trzecia karta od końca była damą, a druga asem treflowym i Marcel zmarszczył brew, a Jurek spuścił oczy w dół, tam gdzie jeden but drapał drugi, obwieszczając rychło klęskę i zapewne bliski spacer, gdyż jak zawsze wszystko, co złe i skrewione, pójdzie w nogi, i oby z dala od Marcela. A na górze grzbiet już odwrócony, as kierowy odtajniony, i długo się

kołysze, i długo się turla spojrzenie Olka po uśmiechu Soni, i Marcelowi papierosa usłużnie przypala Jurek.

I już użyźnia tytoniowy popiół główną promenadę, na której wyrosną w przyszłości nowe pokolenia Bonapartych, kilka Marysieniek i całe zastępy Lennonów, w tym paru łysych; lecz teraz idą jeszcze, idą jeszcze księgowi brydżyści, mając się ku sobie jak słoneczko ku zachodowi, idą samym środkiem, najpierw dwie pary mieszane, oj, bardzo mieszane, a za nimi samotnie Marcel, szurający podeszwami i kopiący kamienie, głośnych bohaterów niejednego buntu.

***

Rozdział 11.

Ale ja, drogi Marcelu, nie umiem się buntować i przemilczeć losów twoich zelówek i zniszczonych podeszew, i kiedy tylko dobiegnie końca ten w sumie całkiem dobry czerwcowy dzień, w którym truskawkom w ogrodzie Lipskich przybyło po jednym gramie i karty stworzyły ciekawe układy, kiedy Olek ucałuje na pożegnanie do jutra, na zobaczenie do rana usta Soni, a Jurek cmoknie dłoń madame, kiedy tylko znowu ułożysz się łóżku, wyciągając nogi już bez butów na poręcze i zapalając dzisiaj na pewno ostatniego, zapyta cię ustami Jurka, na powrót wolnymi:

- Co ci dzisiaj jest, Marcel?

A po chwili raz jeszcze:

- Marcelu, co ci jest?

- Wiesz, Jerzy - odpowie Marcel, już odpowiedział - ja się właściwie nie nazywam Marcel, ja się nazywam Jerzy.

Jurek przygryzł wargi i pomyślał o trupach dyndających z tabliczką na piersi.

- I Brochwicz też się nie nazywam. Brochwicz to dla Szwabów, a mnie jest inaczej. A co skrywają moje spodnie, to jeden Pan Bóg wie.

- Będę mówił do ciebie Marcel - powiedział chrapliwie Jerzy, bo trupy mogły być też zastrzelone - żeby nas nie pomylono. Marcel jest bardzo ładnie.

- Jutro chyba muszę stąd się wynieść - westchnął więc Marcel. - Rozumiesz, kolejką różni tu przyjeżdżają, ale nie wiem, jak ci o tym opowiedzieć.

Można by tak: jedzie ciuchcia, jedzie, z Warszawy po obiedzie, a ciuchcią pasażerowie, jedni do Tworek, inni do Podkowy. Dwóch takich wysiada, szemrana ich mowa, ojczyzna polszczyzna, topole wzdłuż płotu i wierzby rosną trzy. Idą dziarskim krokiem, w każdym bucie mają po stopie i paluszki pod skarpetką grzecznie sobie są. Budynki mijają, do dobrego trafiają, bo każdy wariat na alejce wie, gdzie Marcel jeszcze żyje. Przystanęli w sieni, na ścianach farba się zieleni, pająk zjada muchę, kot wyprężył grzbiet. Na górze drzwi trzasnęły, obaj podlecieli, chwileczkę, panie Brochwicz czy jak tam pana zwać, chwileczkę, jedna chwila, pewna sprawka jest. W niedzielę znów przyjedziemy, rączusie wyciągniemy, portfeliki napełniemy, do niedzieli, panie Brochwicz, jest wielkie mnóstwo czas. I dwaj już sobie idą, alejka pachnie lipą, za miastem zawsze milej, gdy kwiatem wita świat. Jedzie ciuchcia, jedzie, do Warsiawy wnet dojedzie, na kolację będą prima śledzie, a potem przyjdzie ferajna i humor

będzie musiał być.

- Kiedy przyjechali? - pyta Jerzy ciężko i czuje się, jakby był do kwadratu, lecz bardzo nieswojo.

- Przedwczoraj.

- Tak, kolejką różni jeżdżą - wzdycha znowu Jurek i żal mu tej młodości, tych bucików nie skórzanych na bezradnych, płaskich stopach.

- Zapukali wprost do raju To najpierw przyszło mi do głowy, taka właśnie myśl. Ze tutaj czas nie płynie i nic się nie może zdarzyć. Ze siedzimy tu sobie za dębem złego i dobrego jak u Pana Boga za piecem.

- Jak tylko tu przyjechałem, też tak sobie pomyślałem, zupełnie tak samo - Jurek znowu ciężko westchnął i zmarszczył się dziwnie, jakby uroczyście, i oczy za szkłami zrobiły mu się okrągłe. - Tak, Marcel, kolejką różni jeżdżą. Więc jutro, po fajrancie, pojedziemy i my. Ale bez rzeczy, przeniesiemy je do komórki, przywiozę ci później.

Po co zresztą Marcelowi rzeczy, po co mu przedmioty przelotnego użytku, skoro za oknem, tym z prawej strony torów, będą nazajutrz śmigały mu przed oczyma krzewy wiecznie nie wyrosłe, będą bieliły się strumyki i rosły kłosy jak niegdyś na ziemi kanaańskiej, skoro ścieżkami będą parły naprzód egipskie żuki i polskie gnojaki, a tam gdzie wysoka trawa, szczygieł ze szczygłem znowu czekać będą na gorące lato. I po co rzeczy, skoro w szafie koło kanapy, na której będzie Marcel spał i budził się spocony, zostało jeszcze parę koszul i skarpetek, a mama Jurka świetnie w razie czego szyje i dzierga na okrągło.

- Herbatę pija się u nas co najmniej cztery razy dziennie - powiedział Jurek, a mama przytaknęła – a jakbyś się znudził zmywaniem szklanek, to w kredensie masz książki. Tylko się nie śmiej z moich dopisków. I nie wychodź za często, bo mama lubi pogadać, a nie ma z kim.

- Gdzie ja mogę wychodzić - roześmiał się Marcel. - Wygnany z raju prosto do domu, naprawdę nic lepszego nie mogło mi się zdarzyć, bo tu jest zupełnie jak u nas w Berdyczowie, kiedy byłem mały. Też spałem w kuchni, mieszkaliśmy na parterze, nawet ten kredens jest podobny do naszego, z takim samym lustrem pośrodku. A mama Jurka bardzo przypomina ciocię, siostrę ojca znaczy. No i te ciasta!

- Wpadnę w niedzielę, to zagramy w brydża, mama z Witkiem grają nie gorzej ode mnie - powiedział na pożegnanie Jurek i wyskoczył oknem, bo usłyszał tramwaj.

Na razie był czwartek, dzień w tygodniu średni i kiepsko na ogół wieńczony, ale są przecież wyjątki od losu przy niewielkiej pomocy ludzi. Spał już Marcel w kuchni na Jurkowej kanapie i w Jurkowej piżamie w bordowe prążki, i kosmyki jego ciemnych włosów wyci-

skały na poduszce swe esyfloresy. I zasnęła już mama, po tym jak się pomodliła, dziś dwa razy dłużej niż zwykle, choć wciąż do tego samego Boga. Lecz w Tworkach nic jakoś nie chrapało, co najwyżej stękało, wzdychało i parę razy porządnie jęknęło. Rano wszystko się wyjaśniło. W łóżku Marcela leżał Jurek i sobie pogwizdywał przed pracą, obok w łóżku Jerzego leżała gracja i jak na pierwszy dla obojga raz chyba niezły jest to opis.

Kolejka jechała prosto na zachodzące słońce jak rozkładowa ćma ku wielkiej jasności, kiedy Jerzy, pożegnawszy się z Marcelem, wracał z Ulrychowa do pustego pokoju. W helenowskim lesie zamarł przedwieczorny wiatr, smugi na błękitno-różowym już niebie zastygły do rana. Johann wyprężył się na baczność przy swej budce, znowu wyrwany ze wspomnień o drewnianym koniku przy kolanach ojca, i życzył dobrego wieczoru, herr buchalter, dobrego i ciepłego. Dlatego, mój ty Jerzy głodny przeżyć, pośpiesz się nieco, tym bardziej że sprzyjają ci historia Europy i niezwykłe ciepło w przyrodzie, i przestrzeń rajskiego ogrodu, pośpiesz się, nie potykając się wszakże o kamienie na naszej tworkowskiej alejce, bo zaraz ta kawowo-kremowa plamka za dębem rozpłynie się w bezbarwnym niespełnieniu i potrzeby wrócą do normy jak lisy do jamy.

Jak dzięcioły do dziupli: stała oparta mocno plecami o pień, ręce trzymała w kieszeniach spódnicy i grubym obcasem stukała w korę, tak że liczyć można było od jednego do stu. Jurek podkradł się na palcach, cicho, bo Diirer z Goethem palący fajki na pobliskiej ławce ledwie odwrócili głowy, i przywarł do pnia z drugiej strony. Dziewięćdziesiąt sześć, dziewięćdziesiąt siedem, a teraz dziewięćdziesiąt osiem, porachował sobie w myślach. - Dziewięćdziesiąt dziewięć - powiedział głośno. - Sto - usłyszał z naprzeciwka - długo już tak stoisz?

Stał ledwo dwie minuty, może ze trzy, no, cztery, lecz co tam pół platfus i niskie podbicie, i skupiony błędnik, żeby się nie chybotnąć i nie gruchotnąć jawnie i niezgrabnie; co tam czas, skoro w tych bucikach - czy wiadomo już, że nieskórzanych?

- I na tych płaskich, niewojskowych piętach stało, drżało i czekało całe ciało, a tam gdzie klatka piersiowa, ciałko Jerzego, skoro za pniem zgromadziło się całe istnienie Jerzego od zarania do nieuformowania, od urodzenia do całkowitego dojrzenia, lecz wciąż niespełnienia, lecz wciąż niespełnienia.

Goethe z Diirerem drugi raz nabili fajki i zaciągnęli się z rozkoszą, wystawiając lica na ciepło wieczoru, a oczy na widok dębu i ludzi. Właśnie go opletli wyciągniętymi przed siebie rękami i dzieliło ich tylko sto lat w słojach, gałęziach i korze. Sto lat jak jedno ledwie mgnienie czasu, kiedy przechylić głowy z tej samej strony, uśmiechnąć się do siebie porozumiewawczo i zgodzić, że co do wieczoru, to jest nadzwyczaj ciepły i wart, by go spędzić ra-

zem na długiej rozmowie, nie przeszkadzając Olkowi, który składa dziś wizytę Soni.

- Chodź, coś ci pokażę - powiedział Jurek i wskazał gracji drogę - może jeszcze Sonia ci nie mówiła. Tajemna altanka. W altance huśtawka, a na huśtawce my.

Ruszyli spacerowym krokiem, a za nimi w aromacie dymu Goethe i Diirer znowu rozprawiali o złudzeniu przemijania i pewności nowych wcieleń, i gwizd ostatniej kolejki z Podkowy zabrzmiał dzisiaj jak nieprzerwane, długie trwanie.

Jak biel nie zaprószona kolorami brzezina długo prowadziła ich swą mleczną drogą aż do bramy altanki z przycupniętymi lwami jałowcami na straży. Huśtawka stała nieruchomo, wyglądała dziwnie zbyteczna niczym tron w republice, i gracja przez chwilę się wahała, zanim usiadła i ostrożnie odbiła się jedną tylko nogą od ziemi. Przesuwała się Jurkowi przed oczyma, teraz nieco szybciej, i mógł na chwilę oprzeć się o brzozę i przemyśleć powinności słów wobec planów ciała. Nieźle wyglądał, gdy tak milcząc śledził wzrokiem rozhuśtaną Jankę i wbijał ręce w kieszenie; coś było w tym tułowiu z twardości drzewa i świeżości świata, kiedy wszystko jeszcze w nim rosło i ewoluowało. No i te mankiety spodni świetnie się układały, tworząc tuż nad ziemią dwie niewzniosłe aureole. Wreszcie jednak przemyślał i powiedział: - Czy nie zastanawiałaś się kiedyś, jak mało na tym świecie jest miejsca na dobroć? Jakże rzadkim zjawiskiem wśród ludzi jest człowiek. Człowiek, który miałby duszę. A dusza to głowa i serce. Zwłaszcza, Janko, serce.

Janka milczała, i w powietrzu, i nad ziemią, a gdy podszedł i mocniej ją rozhuśtał, bała się spojrzeć mu w oczy, zaokrąglone i proszące o przybycie i nastąpienie w skupiającym szkle soczewek.

- Dopiero zespół tych dwojga czynników zgodnie ze sobą hu... ha... no... harmonizujących daje...

- Jurek, wiesz co - odezwała się Janka, hamując nagle stopami - chyba...

-...daje to, co nazywamy kulturą duchową, tworzy jednostkę naprawdę wspaniałą i wielką - pośpiesznie dokończył Jurek i chciał dosiąść się do zawieszonej i mleczno-kawowej, zabrakło jednak miejsca, więc znowu rozbujał huśtawkę. Im bardziej śmigała, tym bardziej deseczka pod Janką ulatywała i prawda wieczoru się opóźniała. Jurek zwolnił tempo, przytrzymał linę i zapytał jak każdy huśtawkowy:

- Może już wystarczy? - Janka skinęła głową i Jurek podjął wątek: - Dewizą takiej jednostki jest zapomnieć o sobie, lecz nie zatracić siebie. Co o tym sądzisz?

Janka milczała jakoś życzliwie, więc huśtawkowy, teraz stójkowy, znowu spróbował wgramolić się na deseczkę, zabrakło jednak miejsca. Pierwsze blaski księżyca wśród brzóz podkreśliły realność sytuacji. On stał, ona siedziała, i znowu w naturze wszystko zależało od

ludzi.

- Słuchaj, gdzie jest Marcel? - spytała nagle Janka.

- Jak to gdzie?

- Taki markotny jest od kilku dni. Zaszłam do was o wpół do piątej, i nikogo.

- No, odprowadzałem go.

- Gdzie go odprowadzałeś? - Janka podniosła głos i wreszcie spojrzała na Jurka. W świetle księżyca miał chyba jeszcze większe uszy, ale i cięższe, bliższe, cieplejsze dłonie na linie.

- Musiał wyjechać... i kropka. Dostał lepszą i ciekawszą pracę. Wiesz, nie wiem, czemu to przypisać, że już od dłuższego czasu tak mi trudno się zdobyć na napisanie choćby kilku słów. Czyżby dlatego, że się rozleniwiłem, a może i z tego względu, że dni schodzą podobne jedne do drugich, szare, owiane pajęczyną...

- Słuchaj, gdzie jest Marcel? Gdzieście pojechali tą kolejką?

- Janka wbiła wzrok w twarz Jurka, lecz zamiast okrągłych źrenic zobaczyła dwa blade, gołe rogale odbite w szkłach. - Widziałam, jak wsiadaliście. Przecież on nie miał żadnych rzeczy. I tak bez pożegnania.

-...owiane pajęczyną smutku, obciążone bólem nieszczęść.

I tylko bluszcz nadziei, że... No przestańże tak na mnie patrzeć, nic przecież nie zrobiłem, i nie martw się o niego, mówię ci.

- Gdzie jest Marcel? - spytała spokojnie Janka i poprawiła sukienkę, tak że przykryła całą deskę.

- O rany, w ładnym miejscu. Powiedział, że jak u Pana Boga za piecem. I daj mi z tym spokój... Zapomnieć o sobie, jak mówiłem, oznacza odnaleźć oś...

- Wiesz, gdzie jest?

- A skąd mam wiedzieć. W Warszawie jest.

- Na Ulrychowie?

- Tak.

Janka znowu poprawiła sukienkę, bo przecież nie musiała tak się walać po tej desce. Księżyc przesunął się wysoko, Jurek nieco niżej.

- Tak, usiądź - powiedziała Janka. - Tu jest dość miejsca.

Usiadł ostrożnie i objął ją ramieniem. Przytuliła się mocno i wsunęła dłoń pod jego dłoń.

- No to jak to jest z tą jednostką? - spytała.

Na polance w altance huśtawka rozbujała się miarowo. Hej hop, hej hop sunęło od

drzew do drzew, hej hop hej hop nie przystawało i zawracało jak fala w morze.

Jak pszczoły do ula: już tyle miodu zebrali w palcach i paznokciach, tyle cukru od razu w krwi, że z przepełnienia otwierał się plaster nocy, gabinet woskowych figur miłości. Zsunęła się lekko Janka, Jurek zeskoczył zwiewnie, że aż brzozom poszło w korzenie, i ruszyli, wciąż objęci, wciąż wtuleni, ku alejce. Przy dębie unosił się jeszcze zapach Goetheańskiej machorki, ławki mrugały ślepiami śrub, konik za murem zarżał bez powodu. Na pierwszym piętrze coś trzasnęło, zgrzytnęło i skrzypnęło, zabrzęczało i stuknęło, to Jurek w półmroku otworzył drzwi do swego pokoju jak wrota do skarbca.

Jak bierwiono do ognia, jak sól do chleba, jak dym jak plusk jak srebrny sen do jeziora, jak wasze ręce do moich, blisko, jeszcze bliżej.

***

Rozdział 12.

Co tam Jurek gwizdał sobie rano, trudno tak od razu powiedzieć, a nawet i po paru nutach jeszcze nie. Janka wciąż spała i nie słyszała nic. Pan Jan zamiatający pod oknem i wyłuskujący z ziemi pety był pewien, że to o pani Andzi, która ma wolne dziś wieczorem, lub raczej o randce nie wcześniej niż o dziewiątej. Wreszcie stało się jasne, że tak naprawdę Jurek gwiżdże o sobie, jak to leży na łóżku z rękami pod głową i podkurczonymi w kolanach nogami, lecz przede wszystkim o tym, że żyć się chce w każdej pozycji, nawet tej za biurkiem nad stosem papierów, że nadzieja otuli swą pajęczyną dzień dzisiejszy i wszystkie pozostałe, skoro Jurek chce, może i potrafi.

Tak, to był piękny dzień. Słońce zalało już główną alejkę i zewsząd, z alejek bocznych, ze skwerów i przybudówek zaczęły spływać na jej ubity żwir rzesze piżam. Konwersowano, pozdrawiano; pajdy z buraczaną marmoladą niespiesznie wędrowały do ust, zawisały w powietrzu, rozlatywały się na wszystkie strony wraz z gestami rąk, zasłuchanych lub tłumaczących, i znowu szły w górę po kolejny ubytek. Dookoła, na lewo i prawo tworzyły się coraz gęstsze grupki do rozmowy o dzisiejszym jadłospisie i nowej linii frontu, i już wkrótce nad całą alejką roznosił się owadzi szmer sylab. Jurek z Janką z całymi jeszcze pajdami w dłoni z trudem przeciskali się przez rozgadane, falujące szpalery śniadania na agorze. Witani pokłonami i pozdrowieniami, czuli się pierwszą parą na scenie, primadonna i super panem granego śniadania. Druga para przeciskała się od strony pawilonu B, rozdając radosne uśmiechy, i była już w połowie drogi. Olek szedł pierwszy, torując ścieżkę Soni, która z dwiema pajdami w rękach posuwała się za nim ostrożnie niczym łania za myśliwym. Przepchnęli się między Rubensem i Zorro, spierającymi się żarliwie o najmodniejszy kształt kapelusza, Jurek z Janką wyminęli Newtona, który właśnie wręczał jabłko Kleopatrze, i stanęli przed sobą twarzą w twarz.

Nocą w noc. Jej dotyk utrzymywał jeszcze poranek, i to słońce, i ciepło dłoni, na swych żelaznych poręczach, na miękkich materacach i spiętych sprężynach, i niósł ich łagodnie przez alejkę dalej ku biurkom, przy których Kaltz temperował już niecierpliwie ołówki. Ale oni nie śpieszyli się tak bardzo; objęli się jak cztery alegorie i teraz ławą przetaczali się po żwirze wśród życzliwych uśmiechów przepędzanych i odganianych piżam. Właśnie w ostatniej chwili na bok uskoczył Antyplaton. Nie zwrócił na nich uwagi i nawet się nie zaczerwienił na przeprosiny Soni; szedł dziwnie podrygując, wpatrzony w swoje sandałki i

dziurawe skarpetki, i nucił coś niewyraźnie i wesoło do nieznanej melodii. „Hej, hop za górami, juhas pił se ponury od braku ciupagi - wdarło im się z uszy - hej hop za górami". Sandałki pociągnęły go dalej na swych grubych podeszwach, unosząc także pieśń, i alegorie wybuchnęły śmiechem przeciągniętym w nowej ciszy jak smuga przejścia po żwirze.

Idą coraz bliżej, są w swym wielkim apogeum. Pierwsza po prawej Miłość macha wolną ręką w takt jakiejś melodii i przez chwilę poprawia pastelową spódniczkę, która wysunęła się spod paska; jej twarz rozjaśnia uśmiech na widok sąsiednich oczu, niebieskich i amerykańskich, jej ręka się przymila na dotyk sąsiedniej ręki. Obok kroczy Beztroska wyróżniająca się wielkim wzrostem i numerem buta; celowo zwalnia kroku, śmieje się do każdej ze swych nielicznych myśli i cieszy się na jutrzejszy dzień i noc, zresztą co tam. Ta dłoń pod jej łokciem z drugiej strony należy do Nadziei. Nadzieja rozgląda się ostrożnie w lewo i w prawo, swe kroki raczej dostawia do innych, niż sama prowadzi, ale twarz ma pogodną, wyspaną i doprawdy ładną nawet bez pudru, który się skończył. Szeregu domyka, splątana z Nadzieją rękami i dodatkowo serdecznymi palcami, Błogość. Mruży nieco okrągłe oczy pod naporem światła, też próbuje coś nucić, a mankiety u jej spodni nadymają się rozkosznie; pilnuje, żeby nikt nie wysuwał się z szeregu, żeby było równo i do rytmu, i od czasu do czasu z kamienną miną zbacza nagle w lewo, z całej siły pociągając za sobą na skraj alejki szereg, który wśród popłochu i chichotów wraca po chwili na środek, i idzie niespiesznie dalej ku drzwiom buchalterii, ku odległej kropce w zdaniu.

Olek usłyszał nadjeżdżającą kolejkę i pośpiesznie się pożegnał, zapowiadając powrót następnego wieczora. Kaltz nawet się uśmiechnął na wspólny ukłon księgowych, a około jedenastej sam zaparzył herbatę i rozniósł do biurek szklanki z łyżeczką rozdzwonioną na dobre popołudnie. I na wspólne smakowanie, bo kiedy wreszcie przestał się kręcić po pokoju i zaglądać nieśmiało w pochylone oczy, pomacał się po kieszeniach, długo nic nie mógł znaleźć i wreszcie zza portfela wyjął tabliczkę, to niesłychane, pełnomlecznej. - Dostałem podwyżkę uposażenia - powiedział do Jurka cicho, tak żeby Sonia usłyszała. - Herr dyrektor ludzki człowiek.

Dobra była czekoladka, i Jurek aż zamlaskał, gdy stopiła mu się w ustach wraz ze smakiem perfum na szyi, dotykiem palców zanurzonych w jego włosach i okrzykiem nocy, okrzykiem nocy na białej poduszce. Janka liczyła coś na liczydle, przesuwała białe i czarne krążki z lewa na prawo, z prawa na lewo, i tylko chwilami spoglądała przeciągle ponad głową Jurka w otwarte okno, Sonia przenosiła coś wytrwale z rubryki do rubryki, i on tu był, wśród nich tu siedział i dopijał tę herbatę, na dobre wpisany między dwie góry w porządek liczenia, w rzekę istnienia.

Po fajrancie poszli kupić truskawek do sadu przy torach. Sonia z Janką znowu wzięły Jurka pod ręce i doszli aż do Komorowa, wyrywając zgodnie, na trzy cztery już, zielone ogonki i odrzucając je teatralnie za siebie na nowy siew. Było tak jakoś dojrzale i pewnie, słodki miąższ, bliskie, ciepłe mięśnie pod rękawkami sukienek i jego silne ręce, przyciskające i prowadzące. A pod wieczór pożegnane dwoma delikatnymi potrząśnięciami, tak żeby nic nie przeczyło temu, co skóra pamięta albo choć serce wie. Jurek zwlekał jeszcze z powrotem do pustego pokoju i skopanej pościeli, miał jeszcze do spłacenia dług kroków wobec kilku alejek, dług siedzenia wobec ławki pod dębem, jeszcze dług słowa wobec własnych potrzeb.

List od Danki zabłyszczał w przegródce pocztowej Jurka złotym kwiatkiem domalowanym na kopercie, a w świetle nocnej lampki rozżarzył się cały jak zmierzch przed nocą, jak oczy przed lekturą. „Puk! Puk! Czy można? Czy przyjmie mnie Pan, wicehrabio, w cichy zmierzch? Usiądę u Twych stóp i opowiem Ci bajkę. Czy dobrze? Były bory wielkie, niedostępne, i były dalekie stepy... I mieszkała tam dziewczynka. Mała dziewczynka z prowincji. Dobrze jej było. Kołysały ją do snu stuletnie drzewa i opowiadały bajki o lazurowych jeziorach, o dalekim, gwarnym świecie. A rano budziły ją modlitwy śpiewaków i szept dalekich szmaragdowych stepów. Aż przyszedł pewnego razu skrzydlaty chłopiec i panienka poznała, co szczęście. A szczęście cud trwało tydzień. Jeden słoneczny, jesienny tydzień. I było im dobrze. Poznali sekrety bezkresnych lasów; prowadziły ich serpentyną dróg ciche kurhany i pochylone krzyże, opowiadające legendy o chwale. A gdy ziemię otulał srebrzysty mrok, płynęły nad ziemią smętne dumki i wołania. Ale wszystko się kończy, więc bajka miała też swój koniec. Wyjechał chłopiec i musiała wyjechać panienka. Wyjechała daleko, do wielkiego miasta. I tu siedząc wśród murów, dumała nad powrotem do swych puszcz. Ale los jest okrutny... Poznała ludzi i ich zło, i nie mogła już wracać do swej ziemi, i wciąż obraca swe smutne oczy w tę stronę, gdzie jest jej ukochanie. Czy wróci jeszcze tam kiedy? A teraz dobranoc, śpij smacznie, wicehrabio, i niech Ci się przyśnię ja. Ale nie ta z bajki, tylko taka zwyczajna dziewczyna, która lubi śmiech i ludzi. A jeśli chcesz, to proszę - weź me serce w dłonie, tylko nie ściskaj i nie baw się nim. Możesz najwyżej położyć je obok siebie, a ono będzie Ci szeptać bajki, aż uśniesz. A potem? Pofrunie daleko... ku swemu szczęściu i przeznaczeniu!”

Nie zahuczał jeszcze puszczyk, nie rozbudziły się jeszcze duchy zwodnicze zaległe po kurhanach, a Jurek sukinpiórek już ślinił ołówek, już pisał nagłówek, już odpowiadał. „Zapadła noc - od tego zaczął. - Wszystkie cienie dookoła stają się liliową tajemniczością. Twarz księżyca jest wówczas wycięta jak ze srebrnej mory, czarne gałęzie drzew jak z japońskich wzorów. Lubię patrzeć, gdy gwiazdy gonią się po niebie. Bo wszystko jest wówczas tak kojące, jasne, że wtedy najmniej myśli się i marzy. I w taką właśnie noc usłyszałem pukanie do

drzwi. Weszłaś, w oczach miałaś dobroć, a na ustach złoty ślad uśmiechu. Byliśmy sami - Ty i ja. Tylko sierp rosnącego księżyca zaglądał ciekawie do naszego okna. Skończyłaś już dawno opowiadać, a słyszę jeszcze śpiew ptaków i słyszę smętne dumki... Dziewczyna wróci na pewno. Przyjdzie dzień błękitny, uśmiechnięty. Słońce piękne ponad pojęcie zniży się, obejmie swymi promieniami całą ziemię. Ciepłem swym osuszy wszystkie łzy, ogrzeje zziębnięte serca. Ze wszystkich ciał buchnie nowe życie i falą popłynie po roziskrzonych ławicach światła. I dziewczynka, która już zapomniała uśmiechu, wróci do swych borów. Wróci nie sama, ze skrzydlatym chłopcem. Złoty blask jego oczu tak na nią podziała, że zacznie w niej dzwonić serce długo i nieprzerwanie. I będą szczęśliwi. Wrócą te cudowne dni, kiedy budziły ich szepty szmaragdowych stepów, a do snu tuliły stuletnie drzewa."

Jurek zdjął okulary, położył dłonie na twarz i przetarł ją ruchem, który robił zawsze przed snem, gdy odłączał się od dnia, schodził ze świata w swoją ciemność. Przetarte policzki, dotknięte powieki, można już spać; można już spać, granica przemknęła, północ wybiła, do kropki dobiegło już zdanie.

***

Rozdział 13.

- Ach, piękny jesteś, Jerzy, w tym słońcu - mówiła Anna do Marcela na melodię Laury i Filona. Był koniec sierpnia i siedzieli na ławeczce przy wolskim kościółku, wystawiając twarze na słońce. Anna przyszła po Marcela na Ulrychów rano, jeszcze przed pierwszą herbatą, i pachniała bzami. Do herbaty zjedli po ciasteczku i bardzo się mamie podobali, gdy tak milcząc patrzyli na siebie. Anna miała na sobie beżową koszulkę z delikatnym haftem nad talią i kremowy żakiet do plisowanej spódniczki. Miała staranny, dość mocny makijaż i może nieco zbyt chłodne jak na tę porę roku dłonie na torsie Marcela. Tuliła się do Marcela i tuliła, i znowu mówiła, a żwir przesuwany stopą przed ławką chrzęścił do jej słów jak perkusyjny podkład samym pędzelkiem:

- Ach, piękny jesteś, Jerzy, w tym słońcu, gdy wokół rosną ciche bzy; uśmiech masz znowu taki prześliczny, jaki mieć możesz tylko ty. Nie opuszczajże mnie więc, kochanie, i już na zawsze ze mną bądź; bo czas wartością jest skończoną, a chwile bardzo szybko mkną. Pójdziemy wkrótce, jutro, tam razem, ponoć w tym mieście hotel jest; gdzie za pieniądze oraz diamenty znów własne życie można mieć. Bardzo daleko stąd nas zabiorą, do Szwajcarii, gdzie schną łzy; i tam będziemy jeszcze szczęśliwi, jak być umiemy tylko my; i tam będziemy jeszcze szczęśliwi, jak być umiemy tylko my.

Ten szmer na ławce to był Marcel głaszczący Annę po włosach i całujący jej oczy, a te zdania, mówione na melodię mały biały domek, to był Marcel wątpiący:

- Twoje ciche słowa bardzo pięknie brzmią. Twoje usta pragną, a twe oczy lśnią. Rzecz jednakże w tym, moja żono, jest, że zamiast Szwajcarii czeka raczej piec.

Anna szybko pochwyciła melodię, składając głowę na ramieniu Marcela:

- Tak już żyć nie można, dobrze o tym wiesz. Możesz, Jerzy, tu zostać, jeśli tylko chcesz.

Marcel pochylił się nad ustami Anny i w jej włosach zanurzył obie dłonie:

- Ach, jakże piękna jesteś w tym słońcu, i całować chce mi się; pójdę ja z tobą, gdzie tylko zechcesz, boja tak bardzo kocham cię, pójdę ja z tobą, gdzie tylko zechcesz, boja tak bardzo kocham cię.

A potem długo spacerowali po uliczkach Urlychowa, zjedli kanapki przyniesione przez Annę i jedną zieloną, twardą gruszkę, w którą wgryzali się na zmianę to cichszym, to głośniejszym plask. Nad stawem w parku wpatrywali się w rzęsę wodną, a tam gdzie wody

było więcej, Marcel puszczał kaczki płaskimi kamykami, które Anna wyszukiwała przy brzegu, i ich pluski odgrywały delikatnie jedną powtarzaną nutę. Na krótko przed godziną policyjną Anna wsiadła do tramwaju, a Marcel w cichnącym zmierzchu wrócił do mamy i znowu dostał herbaty z ciastem.

***

Rozdział 14.

Przez cały sierpień z wdzięcznością myślał Jurek babski wzgórek o byłym Marcelu, a nawet Marcelku, kochanym Marcelku łóżko za łóżko ząb za ząb, o jego tak niebieskich jak na czarne włosy oczach i dyskrecji graniczącej z wieczną ciszą, poty mu Kaltz nie złożył na biurko drugie tyle pracy i kupę rachunków do niczego niepodobnych. Skoro jednak rzekło się słowo, skoro wzięło się pusty pokój i urządziło z niego dwugwiazdkową sypialnię, a Marcela podrzuciło się mamie, rachował Jurek ile wlezie, i liczył, ile z kasy wyjdzie, znowu klnąc na czym świat stoi, i regularnie co niedzielę konsultując ze swym lepszym ja o gorszym wygląd-dzie kolejność cyfr godną głównego buchaltera. Bezradnego nieraz wobec sald, lecz bezradnego zwłaszcza wobec prostych pytań: jak największy tworkowski głupek, jak Newton z Rubensem razem i osobno, wzruszał ramionami i kretyńsko się uśmiechał, wyszczerzając wszystkie zęby, gdy pytano go o miejsce pobytu Marcela, wo er bitte teraz jest, albo o to, gdzie się ten skurwysyn podział, bo sprawkie, kurwa, miało się do niego.

Lecz minęły dni i Marcel był już tu i tam, tu jeszcze pił herbatę i mamy kompot, o ileż lepszy od tworkowego, tu jeszcze ścierał kurz z Jurkowych książek, a tę o sklepie z cynamonem przeczytał jednym tchem do piątej rano i świergotu wszystkich ptaków nad Ulrychowem, tu jeszcze naprawił lampę naftową i zmyl podłogę z dębowego drzewa i drzazgę mama mu wyjęła rozpaloną igłą, lecz w myślach już stukał tam do wskazanych mu drzwi, tam już lichą walizeczkę z piżamą Jurka i parą własnych gatek składał w kącie, tam już ściskał dłoń Anny i tulił Anny głowę w zamkniętym wagonie, w powietrzu niezupełnie świeżym, jak to u Pana Boga w piecu. Bo czy nie o tym mówiły jego słowa, napisane drobnym makiem, jakby chciały zająć jak najmniej miejsca na listowym papierze Jurka sprzed wojny?

- Gdzie Marcel? - spytał Jurek mamę we wrześniową już niedzielę, gdy przyjechał jak zawsze o dziesiątej z teczką wypchaną papierami. Mama milczała. Gdzie on się, kurwa, podział, wyszeptał do siebie, przecież ten bilans trzeba dzisiaj poprawić, inaczej Kaltz zrobi ze mnie krowi placek albo pustynię i puszczę.

- Gdzie ten Marcel? - spytał raz jeszcze. - Wiedział, cholera, że przyjdę z tymi papierzyskami, i zaraz będzie Witek, więc co z tym naszym brydżem? Nie wie mama, gdzie polazł, przecież dzisiaj niedziela, a w dodatku pada!

- W czwartek była Ania - mama zachrypiała coś grubo mimo świątecznego dnia - i on poszedł wczoraj. Kiedy mnie nie było, bo pojechałam do Ireny. Zniknął. Ze wszystkimi rze-

czami. Zapomniał piżamy. Ale wziął chyba twoją, tę w ciapki. I list ci zostawił. Chcesz zupy?

- Chcę, pewnie.

- Przez cały zeszły tydzień mieszkała tu siostra Ani, bo nie miała gdzie.

- Tutaj?

- No tak. Do rana o czymś rozmawiali, tak noc w noc. A w czwartek przyszła sama Ania i on poszedł wczoraj. Jak mnie nie było, bo Irena znowu niedomaga i trzeba było pomóc jej szyć i węgiel nosić.

Zupa była z marchewką, trochę mało słona, ale smaczna; solniczka czekała po lewej i się przydała, list leżał po prawej i już po sekundzie miał tłustą plamę przy nagłówku.

„Drogi Jerzy!

Dziękuję Tobie i Twojej najzacniejszej Matce za wszystko. Zrobiliście dla mnie i dla mojej rodziny tak wiele. Jesteście arcyporządnymi ludźmi, a Twoja Mama najmilszą osobą na świecie. Wiadomym mi jest dobrze, że to, co czynię, jest błędem i że to pułapka, lecz nic już nie da się zmienić. Pozdrów wszystkich ode mnie, szczególniej Sonię i Jankę. Będę o Was, o Tobie myślał. Życzę Ci dużo szczęścia. Oby Ci się życie ułożyło. Zebraliśmy wszystkie kosztowności i dzisiaj idziemy z Anią i jej siostrą do Hotelu Polskiego. Już świta. Bądź zdrów i pisz wiersze.

Twój Jerzy”

- Nie rozumiem - stwierdził Jerzy i podziabał marchewkę w zupie. - Czy szanowna mama wie, dlaczego Hotel Polski? Co się, psiakrew, stało? Gdzie on się, do licha, podział?

No właśnie, Marcelu Jerzy powiedzmy Brochwicz, gdzie poszedłeś? Gdzieżeś, kurwa, przepadł? Wo bist du gegangen, gekommen i kaputt? I jak to jest o zmierzchu, gdy wszystko już wiadomo? Czy dobrą miałeś podróż, czy nie za bardzo trzęsło i rzucało, czy przydała się piżamka? Od której strony rośnie w istocie mech, co kryje się na dnie oceanów, czy są tam białe wieloryby i z czego w gruncie rzeczy powstał węgiel? Skąd się biorą kolory, czy Don jest aż tak cichy, czy kłuć pragnie pokrzywa? Ile jest dokładnie planet w układzie, praw moralnych nad nami, no i jak to jest naprawdę z tym trójkątem bermudzkim?

Widzę, jak wychodzisz powoli z domu na Ulrychowie z walizeczką w prawej ręce. Chyba się ogoliłeś, bo policzki lekko ci się świecą i skądś ten zapach wody kolońskiej musiał się wziąć. Masz koguta z tyłu po lewej, pewnie umyłeś rano swe gęste włosy, ale na szczęście wiatr ci go przygładza. Mijasz już okopy Sowińskiego, tam za drzewem stoi młoda para, a tę dróżkę przy kościółku gracuje sam ksiądz. Machasz walizeczką rytmicznie, do przodu i tyłu, jest ciepło, słonecznie, raczej się nie śpieszysz i znowu kopiesz kamyczki. Dolny guzik marynarki musiał cię cisnąć, rozpiąłeś go, to i dobrze, co ma cię cisnąć. Teraz, za wolskim kościo-

łem, wyjdziesz na tę ładną alejkę, i skoro nie chcesz podjechać choć kilka przystanków tramwajem, masz prostą drogę przed sobą, i fajnie, że wśród zieleni. Ja już dalej nie pójdę, Wola to dobre dla mnie miejsce, więc widzę cię tylko od tyłu. Plecy trzymasz prosto, idziesz wciąż powoli, walizeczka jeszcze dynda, ale słabiej. Zapomniałem, czy włożyłeś krawat, to teraz już nie zobaczę. Ładną masz sylwetkę, można by ci pozazdrościć, i tego kremowego płaszcza przewieszonego przez lewą rękę też. Jesteś już tylko jasną plamką w dalekiej perspektywie, już tylko kropeczką w alejce, która prowadzi i wciąga cię w głąb, za chwilę znikniesz, a ja przypalę sobie papierosa i głęboko się zaciągnę.

Marcelu Jerzy Brochwicz weź sobie wszystko, co moje. Resztkę papierosa już zgasłego w cynowej popielniczce, tę butelkę whisky z czerwoną nalepką tam na stole w kącie, ze cztery choć koszule z szafy pod oknem, polecam zwłaszcza jedwabną zieloną, bo czerwona niewyprasowana, weź szwedzki długopis, naprawdę dobrze pisze, może tę aspirynę i parę spinaczy, i bilet miesięczny na kolejkę, a z kuchni radio tranzystorowe, ze dwa co najmniej widelce, nóż, pieprz i sól. I weź sobie, tu obok, z tej ławeczki, komputer z polską czcionką, jak polski, psiakrew, dlaczego akurat Polski był wasz hotel, żebym tylko widział twoje ręce, jak go bierzesz i pakujesz, i twoje oczy, i twoje zęby, gdy się do mnie uśmiechasz.

Do Marcela Jerzego Brochwicza, do Marcela Jerzego Brochwicza palce moje i usta - chwała i cześć.

***

Rozdział 15.

- Dlaczego, psiakrew, Polski - mruczał do siebie Jurek zły burek, czekając na tramwaj - cholerny kawał drogi stąd, i w dodatku dzień świąteczny. Z drugiego tramwaju wyskoczył jeszcze w biegu i na szczęście szybko szło mu się dzisiaj przez miasto, bo nie po to są parki w niedziele, święty fajrant i znów słońce po deszczu, żeby pchała się ludność w zbyt dobrym nastroju na kocie bruki i aryjskie chodniki. Dlaczego, psiakrew, Polski - powtarzał Jurek, gdy stanął wreszcie przed kremową fasadą i półokrągłym szyldem ze srebrną poświatą, przecież tu same szwaby i gardłowa gadanina, i przy wejściu bardzo duże te karabiny, bardzo milczące te usta i bardzo znaczące te gesty.

- Gdzie? - mruknął taki jeden, chyba ważniejszy, bo w długim płaszczu oraz w czarnych, prawdziwie skórzanych butach, i zagrodził Jurkowi drogę.

- Ja w sprawie.

- Pan? Na pewno? Agdże walizki? Do Szwajcaria bez walizki? Papierenbitte!

Jurek wyjął kenkartę i już trochę żałował.

- Pan jak się nazywa? Pan gdże mieszka?

- Tutaj napisane.

- Pan tak się nazywa? Naprawdę? Pan z Woli? Pan wiza nie dostanie. To nie jest wiza dla Woli. Nie każdy może do Szwajcaria albo do vittel. Pan lepiej wraca do domu.

- Tam mój dłużnik - Jurek przełknął ślinę. - Winien mi jest duże pieniądze. Chciałbym się z nim zobaczyć.

- Pieniądze? Ha, ha, wiadomo, wiadomo, z nimi zawsze pieniądze. Przykro, przykro, pieniądze dziś w Szwajcaria, a potem może w Ameryka albo w Palestyna, pociąg zaraz jedzie. Od dzisiaj wejście już ist zu, wcześniej można przyjść było.

Za drzwiami migały jakieś ciemne sylwetki i do złoconych żyrandoli wyły czasem psy. Mimo dalszych próśb Jurkowi wejść się nie udało, więc stanął Jurek po drugiej stronie ulicy, jest taka uliczka w Warszawie, i patrzył powyżej szyldu w okna, tam gdzie może walizeczka i piżama w ciapki, stał i patrzył godzinę, lecz tam na górze nic się nie ukazało w zasłoniętych oknach i nie przywarło nosem do szyby, stał i patrzył, aż zdążyło w oczach wyschnąć, aż od tego stania rozbolały Jurka stopy z platfusem już nam znanym i wciąż spłaszczanym. Lecz czymże jest życie, jeśli nie zamianą jednej pozycji na drugą, skoro Jurek jeszcze przed chwilą na chodniku, jeszcze stojący przed chwilą w tramwaju i nieco dłużej w ko-

lejce, dzisiejszej nocy legnie i rozłoży się piętami do góry, jak bowiem się zachować, co począć z mężczyzną w sobie, gdy przy samych drzwiach, wsparta o poręcz schodów, czeka, czeka kobieta w wiśniowym berecie na głowie, lat dziewiętnaście i pół, długie nogi, szyja w srebrze łańcuszka i czerwone paznokcie kurczowo wbite w torebkę?

Przede wszystkim trzeba zadbać o pozory. Zaszurać, zagrzechotać, brzęknąć, zakląć pod nosem i szybko drzwi otworzyć, wyjrzeć ukradkiem przez okno, lampki nie zapalać i powiedzieć: - Doprawdy, co za niespodzianka! Może napijesz się trochę kompotu? Dobrze ci zrobi przed spacerem.

Danusia przysiadła na skraju łóżka, trudno powiedzieć, Jurka czy Marcela, posłusznie chwyciła podaną jej szklankę i na wszelki wypadek zaczęła pić. Jeśli nawet smakowało, to dziwnie to wyglądało. Bo beret mógł spaść, torebka się otworzyć, szminka zmazać i cała młodość się zapaskudzić i unieważnić. Więc jedną ręką ubezpieczała całą siebie zamkniętą w torebce, tam gdzie lusterko, flakonik i watka, i szyję wyciągała tak prosto, że łabędź musiał wzlecieć, a Jurek od razu przełknąć ślinę i poczuć wiatr od dębu, i usta dosuwała do szklanki tak wysoko, jakby to szklanka piła z Danusi, z niej coś skromnie pobierała i bezgłośnie, przejrzyście przełykała.

Milczeli przez tyle słów, ile do siebie napisali, ile dla siebie odczytali. W zmroku zmagały się z własnymi twarzami dwa oddechy, wirowały dwie półkule bez wspólnej mapy. Wreszcie Danusia powiedziała:

- Takie piękne listy od ciebie dostaję, Jurku. Z takimi ślicznymi wierszami. Umiem je nawet na pamięć.

- Naprawdę?

- Tak.

- Naprawdę?

- Tak. Tak.

Australia zbliżyła się znowu do Afryki, Ziemia Ognista do Przylądka Nadziei.

- Chodź, coś ci pokażę - powiedział Jurek i ujął dłoń Danki - moje ulubione miejsce w Tworkach.

Danusia skinęła głową i ściskając kurczowo torebkę poczekała, aż Jurek zamknie drzwi. Przemknęli szybko alejką między pawilonami, i gdy Jurek rozglądał się na boki, obcasy Danki wydziobały na żwirze wielokropek pośpiechu, znaki krótkiego przejścia i cicho sza zniknięcia. Huśtawka już czekała i lekko dygotała, jakby wiedziała, kto na niej usiądzie i się rozbuja, zanim przemówi. Rzeczywiście, Jurek wystrzelił w powietrze z brawurą bywalca i gdy osiągnął już najwyższy pułap, rzucił w dół do wpatrzonej weń brzozy z przyciśniętą do

pnia torebką.

- Wiesz, nie wiem, czemu to przypisać, że już od dłuższego czasu tak mi trudno się zdobyć na napisanie choćby kilku porządnych, sensownych słów. Czyżby dlatego, że się rozleniwiłem, a może i z tego względu, że dni schodzą podobne jedne do drugich, szare, owiane pajęczyną, pajęczyną...

- Smutku - błysnęło spod brzozy. - Nie mów tak. Oto otwieram kopertę i wyjmuję karty twego listu. Słyszysz, jak szeleszczą. Odpędzam od siebie czarną zmorę melancholii, która jak cień snuje się za mną. W tej chwili na karty twego listu pada smuga słonecznego blasku. Złota plama rośnie, to znów maleje w powiewnym pląsie tanecznym. Z oczów moich spływa szarość i wszystek smętek... Tak do mnie niedawno pisałeś, pamiętasz? Ja zawsze będę do ciebie pisała, i moje słowa nie pozwolą ci zasnąć i zastygnąć w czarnym bursztynie melancholii, w posępnym kokonie dnia.

Jurek wciąż śmigał od jednego krańca świata do drugiego, od wschodu do zachodu Tworek, pogrążony w ciemnym pudełku nocy. Nieźle wszelako się przedstawiał, gdy tak przelatywał nad ziemią jak męski bombowiec, jak listów odrzutowiec. Jasna koszula kreśliła w mroku czysto mleczną drogę bawełny, nogi zwisały beztrosko i dumnie jak w każdej lewitacji, dla której zgrabne, szerokie mankiety były ozdobą niekonieczną, lecz pełną zmysłowego uroku.

Huśtawka wreszcie wyhamowała, Jurek chciał czegoś więcej.

- Może się przysiądziesz?

Torebka się zawahała, cofnęła w czeluść nocy, w głębię Danusi, na wyspę jej ja jeszcze czystego, lecz po chwili ruszyła przed siebie, prowadząc dziewczynę w miejsce tu jej dane, wysuwając jej rękę ku linie huśtawki, żeby było się na czym oprzeć, kiedy całe ciało wskoczy i przycupnie na deseczce.

Jurek odbił się obiema stopami od ziemi, wychylił mocno w przód i do tyłu, i statek rozkołysał się i rozpędził. - Może nawet nie jesteśmy statkiem na spokojnym oceanie - powiedział zadumanym głosem. - Ani samolotem Lindbergha nad Atlantykiem. Jesteśmy Huśtawką Podniebną Jednej Nocy...

-...jednej nocy?

- Tak... Dywanem Latającym Dzisiaj Ponad Wszystkim.

I widzimy w dole, już bardzo daleko, wzburzoną rzekę istnienia.

- Każdy z nas zna tę żądzę spoczynku, każdy, dążąc, myśli o przystani - powiedziała cicho Danusia. - Pragnie nie iść, lecz dojść, a gdy go burzliwa fala z jakiejś wysepki zmiecie, oszalałymi z bólu rękami chwyta się kępy traw, aby nie płynąć wraz z nurtem groźnej, tajem-

niczej rzeki istnienia.

- Czy widzisz pod nami umykające światła miast, błyszczące linijki pociągów, białe igiełki gór? Te dymy z kominów, te rozległe pasemka plaż? Tam trwa nasza ziemia, tam powstają i znikają państwa, tam rodzi się wszystko i wszystko umiera. Jakież to dziwne być człowiekiem. Jakież to trudne, jakież to przeogromne zadanie: człowieczeństwo.

- Pamiętasz, zastanawiałeś się kiedyś w liście, jak mało w tym wielkim świecie jest miejsca na dobroć. Tak mało się jej spotyka, że stała się po prostu luksusem. Ja także stanowczo przyłączam się do twego twierdzenia, że wśród ludzi rzadkim zjawiskiem jest człowiek. Człowiek, który miałby duszę. A dusza - to głowa i serce. Zwłaszcza serce.

Huśtawka poszybowała tak wysoko, że torebka nagle wysunęła się Dance spod ręki, na szczęście Jurek w ostatniej chwili złapał ją za pasek i przewiesił przez swoje ramię.

- Zobacz, Danusiu, minęliśmy już pierwsze chmury i gwiazdy świecą coraz mocniej. Zostaliśmy sami wśród galaktyk kosmicznej nocy. Każdy dotyk naszych dłoni jest nową konstelacją, każde nasze słowo jest nową planetą. Oto planeta Dobro, tam dalej planeta Wiara, a teraz planeta Miłość i planeta Nadzieja.

- Ach, świećcież, planety, słowa niby gwiazdy jasne, co nad rankiem zbledną i pogrążą się w niewidzialny dla oka bezkres. Czy okrążywszy przeznaczone wam dalekie a nieznane tory, wrócicie jeszcze, by rozświetlić się znów blaskiem nad ziemią?

- Nad naszą polską ziemią.

- Nad naszą polską ziemią. Którędy wiodą wasze tajemne drogi, by myśl je znowu dosięgła i krzepić się mogła waszą słodyczą? Dokąd prowadzi twoja droga, planeto Dobro, planeto Wiara...

-...planeto Miłość...

-...planeto Nadzieja?

Jurek przycisnął torebkę do piersi i Danka wsunęła dłoń pod jego ramię. Huśtali się dalej w milczeniu, w ciemności na nowo bezgwiezdnej, pod coraz gęstszymi chmurami. Zaczął padać ciepły deszcz i razem unieśli twarze do góry, ku kroplom spadającym gdzieś znad drzew. Mieli już bardzo mokre policzki, przemyte już powieki, zwilżone usta, gdy zeskoczyli z huśtawki, która po chwili zastygła w miejscu jak zbyteczna wreszcie arka. Wybiegli z altanki trzymając się za ręce i torebka rytmicznie uderzała Jurka w bok. Tak szybko Jurek jeszcze nigdy nie wyjął klucza z kieszeni, nigdy tak szybko nie otworzył drzwi, nigdy tak mocno nie całował z tak mokrą koszulą i z damską torebką na ramieniu. To, na czym się położyli, to były poduszki, to, czym się przykryli, to była kołdra, ten pot był wprost z Jurka pleców, ten krzyk z gardła Danusi.

Coś jeszcze do siebie szeptali, coraz słabiej, zasnęli. Tyle teraz czasu do rana, żeby spokojnie pokręcić się po pokoju, pobyć sobie znowu u Pana Boga za piecem, obok tego łóżka, skąd lekkie chrapanie Jurka kocurka, przy tej szafie i biurku. Tu, wprost na podłodze, biała koszula miała serce z wiśniowego beretu, buty Jurka wymościły się na sukience, jeden na szarym, drugi na beżowym karo, różowy biustonosz wydymał się w kącie samotnie. Zrzucona pośpiesznie torebka otworzyła się pod krzesłem jak skarbiec w wolnym świecie rzeczy. Trzeba stąpać ostrożnie, aby nie naruszyć ich postaci i porządku. Oto leży lusterko taflą pod siebie, a na odwrocie pejzaż z rzeką mknącą wśród świerków, właśnie odbiła się od małej kaskady; oto flakonik z wyblakłą etykietką w kształcie greckiej wazy, oto szczotka z twardego włosia sztorcem do góry, oto pierzasta watka, oto klucze z bursztynowym wisiorkiem i szminka w błyszczącej oprawie; i oto rozrzucone w wachlarzu koperty z ładnie wykaligrafowanym adresem na wierzchu i pieczątką na znaczku, gdzie napisane „Generalgouvernementspost", koperty starannie rozkrojone cienkim ostrzem, koperty z liczbą dopisaną ołówkiem w roku, za każdym razem większą, koperty szarobrązowe, bo takie miał Jurek w domu jeszcze sprzed wojny.

Pochyliła się nade mną, pocałowała i wybiegła z pokoju. Pochyliła się, pocałowała i wybiegła - powtarzał sobie Jurek, gdy już oprzytomniał i przestał ziewać - co za czasowniki, w sam raz dla ordynata albo wicehrabiego. Ale tak chyba było, wstała o świcie, pożegnała go niemo i z wysoka, gdy jeszcze spał i nie daj Boże chrapał, po czym włożyła beret, pozbierała rzeczy, zabrała torebkę i już jej nie było.

Zdjął koszulę starannie rozwieszoną na oparciu krzesła, odszukał buty, które stały równo przy nodze łóżka, unikając wzroku pingwina wyjrzał przez okno na dąb, od korony już skąpany w słońcu. Przez alejkę przeszły dwa białe kitle, a za nimi pobiegł kot, z gałęzi zerwał się ptak, czymś przestraszony, na biurku leżała kartka.

„Kochany Jurku!

Serce musi frunąć dalej, ku swemu szczęściu i przeznaczeniu. Teraz już wiem, że ta jedna noc musi nam starczyć na całe życie. Przechowaj ją w sobie, noś ją ze sobą. A gdy nie będziesz mógł zasnąć, usłyszysz zawsze mój szept szepczący ci bajkę, nucący ci dumki, nim wreszcie uśniesz, mocno i szczęśliwie. W liliowej tajemniczości naszego wieczora, wśród naszych cieni ze srebrnej mory, przyszła do nas ciepła dobroć, przemówiła do nas i złączyła nasze dłonie i połączyła w jedną duszą nasze głowy i serca. Dziękuję Ci bardzo za wszystkie Twoje listy. Zegnaj, mój wicehrabio.

Twoja Danka"

Żegnaj, mruknął Jurek, żegnaj, już tylko szepnął i zrobiło mu się smutno. Przez chwilę

chodził bezradnie po pokoju, położył się i zaraz wstał. Znowu wyjrzał przez okno i poczuł w żyłach drżenie, rozpacz zmieszaną z radością. Patrzył zachłannie przed siebie aż do zawrotu głowy, jakby wzrokiem szykował dla siebie drogę, i poczuł, że niebieskie niebo wciąga go w siebie po poręczach jego spojrzenia i że ten błękit jest nieprzypadkowy i nierealny, i przez chwilę zdało mu się, że zobaczył kres swego życia, błękitno-żółte pasmo nad tamtym horyzontem, które można musnąć, dotknąć, przekroczyć. Potem coś w nim zastygło, zmatowiało, pochyliło mu głowę. Alejka była na powrót pusta, od lewej strony coraz bardziej słoneczna, po prawej szara już tylko przy pierwszych pawilonach. Gdy spojrzeć z dołu, gdy podnieść wzrok na pierwsze piętro, stawała się strużką odbitą w Jurka szkłach, przecinką w mroku jego źrenic. Niczym światełko z badawczej latareczki przesuwała swą złotą plamkę od kącika do kącika, szukała w oczach Jurka miejsca dla swego blasku.

Pierwsze liście opadły już kilka dni temu i zaczęły barwić ciemny żwir. Jurek wychylił się w stronę pawilonów. Po czarno-żółtej ziemi szły dwie jasne i coraz wyraźniejsze sylwetki, pożółkłą alejką we Tworkach podążały już do pracy, w poniedziałek podążały już do pracy z torebkami w rękach Janka i Sonia.

***

Rozdział 16.

- Tylko wy mi zostałyście - westchnął Jurek i położył lewą dłoń na dłoni Soni, a prawą na dłoni Janki. - Sonia i Janka. Dwa najpiękniejsze imiona na całym świecie. I oba tuż przy mnie. Takie piękne imiona, jakie piękne osoby. Żeby jeszcze był Marcel obok do wspólnego ich wymawiania. Sonia i Janka.

Usiedli zaraz po fajrancie na najcieplejszej ławce i patrzyli na przechodzące piżamy. Chociaż był poniedziałek, w rozgrzanym powietrzu działo się coś podniosłego, oczyszczanie dnia do pustki niemal świątecznej, przejmującej. - Nawet szlafroków nie włożą. Ciepło jak na plaży. Zaczął się piękny, prawdziwy polski wrzesień, Soniu, Janko.

Sonia aż się roześmiała: - Antyplaton jak zawsze w sandałkach. I w żółtych skarpetkach. Jemu naprawdę nigdy zimno w nogi nie jest.

- Świat powstał chyba w taki dzień jak dzisiaj - Jurek znowu westchnął. - Ciepło i oczekiwanie. Ciekawe, co się dalej zdarzy. Marcel by nam pewnie powiedział.

Sonia wskazała ręką przed siebie: - Patrzcie, Diirer dzisiaj w kapeluszu. I Rubens ma przecież też coś nowego na głowie. Ładna czapka, prawda? Proszę, udaje, że nas nie widzi.

Zawtórowali jej śmiechem, Rubens wzruszył ramionami i Janka odwróciła się do Jurka: - Nie bardzo to wszystko rozumiem. Gdzie oni poszli, dlaczego? Dlaczego do hotelu, co to w ogóle za hotel? Nie mogłeś przyjść opowiedzieć wczoraj wieczorem?

- Hotel Polski. Tak się nazywa. Obok Starego Miasta. Hotel Polski na ulicy Długiej, pod numerem dwadzieścia dziewięć. Zupełnie przyzwoity. Cały dzień tam stałem, ale nie chcieli mnie wpuścić. Tajemnicza sprawa. Zaraz wam opowiem, tylko niech Goethe z Bismarckiem tak nie stoją, my przecież nie palimy i nikt z nas nie ma przy sobie papierosów.

Przy ławce zrobiło się pusto, dzień wciąż się nie posuwał niczym tysiąc niewzruszonych lat, intruz w krótkim trwaniu, i Jurek zaczął:

- Nie chodźcie moje miłe na ulicę Długą, Tam hotel chętnie wita, lecz mnie nie wpuszczono, Tam mordy węszą szwabskie za dziwną posługą, Tam na dobre nasz Marcel zniknął ze swą żoną.

W czwartek się zaczęło, z Anią rozmawiali, Decyzja wnet zapadła: adieu, bye, Warszawo!

Do hotelu w sobotę z walizką pognali

Oby nam się to tylko nie skończyło łzawo!

No więc tak to było. Tak to wyglądało.

Na alejce raz jeszcze pojawił się Antyplaton, przeszedł koło ławki, lecz nawet na nich nie spojrzał, zajęty dziurą w skarpetce, przez którą widział morze egejskie, pierwsze jaskinie i wyprawę argonautów. Za nim raźnie przebiegli, trzymając się za ręce i radośnie chichocząc, Newton z Kleopatrą, ofuknięci przez Bismarcka, który wyłuskiwał pety ze żwiru.

- Bardzo ładnie, ale czy udało ci się czegoś dowiedzieć? Jak to się wszystko w tym hotelu odbywa, o co chodzi? - Janka wciąż kręciła głową.

- Niczego się nie dowiedziałem. Mają ich wymieniać za jeńców niemieckich. Jak się kto zgłosi, to dostaje wizę i niby do Szwajcarii albo do Vittel specjalnym pociągiem, a potem może do Ameryki albo Palestyny.

Za ławką coś się poruszyło i Sonia szybko szepnęła do Janki: - Uwaga, skrada się Schiller, znowu z rękawiczkami.

Rzeczywiście, dwie sparciałe, brudne rękawiczki spadły z wysoka na ich sukienki i rozległ się tupot uciekających kroków.

- Dlaczego mówisz, że niby? - spytała znowu Janka.

- Marcel zostawił mi list. Napisał, że to może pułapka. Ze tak mu się zdaje. Że chyba robią błąd. Zawsze był podejrzliwy. Atrapka pułapka Marcela zagadka.

- Jurek, ale ty jesteś - w głosie Janki słychać było złość - nie możesz powiedzieć dokładnie, co ci napisał w tym liście?

- Przecież cały czas mówię. Nic więcej, słowo daję. Że on nie bardzo wierzy w tę całą Szwajcarię. Ale idzie. Bo zdaje się, że Anna chciała. Idzie z Anną i jej siostrą, z Asią znaczy. I to wszystko. A co wy o tym myślicie?

Słońce wreszcie przesunęło się w prawo, może zaczęło się nowe milenium. Sonia pomachała ręką do Schillera, któryż dala przesyłał jej ręką całusy, i spojrzała na zegarek. - Już go nie zobaczymy.

Na alejce znowu pojawili się spacerowicze. Do samotnego Schillera podszedł Diirer, coś mu długo wyjaśniał, klepał go po plecach i Schiller zgodził się wreszcie zagrać na czwartego. Razem zbliżyli się do sąsiedniej ławki, do której Goethe z Bismarckiem przystawili już inną ławkę. Usiedli w koło, Goethe z Durerem w parze, i Diirer tak szybko i zręcznie rozdał karty, że Jurek z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Nie wiem - odezwała się Janka. - On zawsze miał rację. Zawsze tak dobrze liczył i znał wszystkie przepisy. Nigdy się nie pomylił.

- Lepiej byłoby, żeby został tu z nami. U nas jest dobrze. Tak ciepło i tak swojsko, tak... tak... tak jasno - Sonia odszukała słowo i spojrzała ku bramie. - Ktoś do nas idzie.

Szedł, lecz bardziej biegł i omijał, Kleopatrze się ukłonił, Newtona klepnął w ramię. W oddali był pierzastym kumulusem, śniegiem Kilimandżaro nad rozgrzaną równiną, w połowie drogi był kwitnącą jabłonią nad głowami zwykłych czubków, pszennym wielkoludem, jasnym tytanem do każdej mitologii, i teraz, przy naszej ławce, blondynem Olkiem, najpierw uśmiechniętym, potem obejmującym i całującym te nasze rumieńce, te nasze dłonie, te blond rude włosy, te usta już teraz mniej czerwone. Sonia przytuliła się do Olka, potem, jakby zawstydzona, usiadła i poprawiła sukienkę. Olek wcisnął się między nią a Jurka i z zadowoleniem rozpostarł ramiona na oparciu. Znowu rozmawiali o Marcelu, ale Olek niczego nowego nie wiedział, tym bardziej że ostatnio spędził parę dni w Kampinosie wiadomo z kim. Zaczęło zmierzchać, historia doszła do kresu dnia, więc przenieśli się do pokoju Jurka i bez większej już nadziei uczyli Jankę licytacji oraz liczenia punktów systemem polskim. Potem, po pierwszym robrze na próbę, i od razu wiadomo, że ostatnim, Sonia z Olkiem poszli do pawilonu B, a Janka zaparzyła Jurkowi jeszcze jedną herbatę. Wkrótce ostatnia kolejka zagwizdała od Podkowy, a na dworcu w Zurychu teraz i tuż przed północą zegar tykał miarowo, było cicho i pusto.

***

Rozdział 17.

Wszystkie drogi prowadziły już do końca roku, w górze skrzydłami, dołem korytarzami z sennymi już kretami, a przede wszystkim, rzecz jasna, ulicami. Najpierw Marszałkowską, potem Polną, Nowogrodzką, Kruczą do Wilczej, i z Wilczej z powrotem na Marszałkowską. Tydzień później, też w sobotę po południu, Piękną do Kruczej, Kruczą do placu Zbawiciela, i dalej jak zawsze Marszałkowską. Olek zawzięcie milczał, Jurka diabli brali. - Nigdy im nie kupimy tych prezentów. Szkatułka ci się nie podoba, pasek ci się nie podoba, kolczyki ci się nie podobają. No to kupmy im po krawacie.

- Musi być pięknie, buchalter. To pierwsza Wigilia, pojmujesz? Najważniejszy prezent.

Więc dalej chodzili warszawskimi ulicami od sklepu do sklepiku, brali przedmioty do dłoni, patrzyli na siebie i je odkładali, aż wreszcie pod koniec dnia trafili na Hożej do „Kozła i Spółki". Wewnątrz było ciemno, paliły się tylko boczne lampki i przez dłuższą chwilę stali nieruchomo, z trudem odróżniając kontury lady i kilku gablot. Choć dzwonek nad drzwiami brzęknął, nikt jeszcze do nich nie wyszedł i Jurek zapytał: - Kim ona właściwie dla ciebie jest?

Olek milczał, tak że Jurek wiedział już, co to grób, a co głupie pytanie. W gablocie zobaczył takie ładne, małe i błyszczące, i przyjrzał się przez szkło z zainteresowaniem. - Zobacz no, Olek, to chyba broszka, fajna. Musi być droga - powiedział.

- Kocham ją, buchalter - usłyszał.

- Chyba ze srebra. Ciekawe, ile kosztuje - westchnął.

- Kocham ją. Naprawdę. Jest całym moim życiem.

Zza kotary wysunęła się chuda postać w białej koszuli z ogromną muchą w grochy i spytała: - Czym mogę szanownym panom służyć? Ma szanowny pan całkowitą rację, to piękna rzecz. Czyste srebro, forma oryginalna.

Broszka zalśniła w dłoni Jurka jak oczko jeziora na ciemnej pustyni, jak inny czas w dniu codziennym. Istotnie, była chyba z odmiennej materii niż nasze ciała, dziwnie wklęsła i o wiele lepiej zaokrąglona. W dotyku gładka jak sen alchemika, przedstawiała broszka kształt ex nihilo, drżący, lecz pewny. Tak jak listek po potopie miała w sobie skromność początku i pamięć ściśniętą u samej nasady, a powyżej rozwijała się świeżo i śmiało. Świetnie by pasowała do mleczno-kawowej sukienki Janki, gdyby wpiąć już tuż nad sercem, złożyć najlepsze

życzenia na nowy rok, a kiedy zacznie się karnawał, dać się prowadzić jej błyskiem do tańca.

- Raz się żyje. Biorę - powiedział Jurek i z przejęcia założył ręce na karku. - Jeśli mi, Olku, dopożyczysz. Oddam zaraz w nowym roku. Chyba się Jance spodoba.

Olek kiwnął głową.

- Bardzo trafny wybór, pozwolę sobie zauważyć - odezwał się właściciel. - Bardzo trafny i obiecujący. A dla drugiego szanownego pana też miałbym coś gustownego i godnego wszechstronnej uwagi.

Poszedł w głąb sklepu i Jurek spojrzał na Olka. Dotąd się nie poruszył, stał prosto, z żołnierza na warcie miał upór i postawę, z pozostałych ludzi piękno, siłę i wolę.

- Pamiętasz, jak strzeliłeś ostatnią bramkę Cracovii? Szczupakiem, po centrze Ciszewskiego, tuż przed przerwą? Piękniejszej nie widziałem. I pewnie już nie zobaczę - Jurek się uśmiechnął i z przejęcia pokiwał głową.

Na ladzie przed Olkiem leżał już zegarek. „Kozioł i Spółka" poprawił muchę, dorównał grochy do grdyki i z satysfakcją patrzył, jak Olek bierze go do ręki, podnosi do ucha, nasłuchuje, a potem trzyma go w dłoni i długo mu się przygląda. Nieważne, że był okrągły i złoty, takie zegarki trafiają się w każdym sklepie i co na drugiej ręce. Ważniejsze, że tykał jakoś inaczej, z mniejszym przymusem, nie nabierając oddechu przed każdą nową sekundą. Tarcza była dla wskazówki sekundnika prawdziwym polem zabawy i choć strzałka wskazywała na cyfry po kolei, to wszystkie zdawały się przygodne i wymienne, przynależne dojednej prawdy ex aeąuo. Tym bardziej że przestrzeń, którą oplatały, była równie niestała, wręcz zmienna. Atak, wystarczyło, że Olek przechyli głowę, odsuwając na bok Jurka, który niemal się na nim uwiesił, i że spojrzy z lewego boku, aby jej biała tafla nagle zaczynała się mienić i coś pokazywać. Już wie Olek co, wie Jurek, więc wiemy i my wszyscy: szmaragdowe morze z białymi, groźnymi bałwanami i statek na horyzoncie. Ale kiedy tylko przesuwał Olek głowę w prawo, odpychając Jurka, ukazywał się inny pejzaż i inne błyszczały kolory. Wysoki las jodłowy, rozdzielony prostą, piaszczystą drogą, i gdy spojrzeć od dołu, wciąż odtrącając Jurka, ośnieżone szczyty, a gdy spojrzeć od góry, to rzeka z mostami, i miasto stare z katedrą. Wybiła trzecia. Nie, to nie rozdzwonił się wielki zegar nad wejściem ani kurant przy ladzie. Dzwoniło coś z zegareczka, a raczej grało melodię pozytywki; cieniutkie, srebrne dźwięki wystukiwały nuty dawne, lecz zarazem bliskie.

- W południe gra menueta - powiedział właściciel z nasrożoną muchą, uroczyście wpatrzoną w Olka.

Olek przykrył zegarek drugą dłonią i trzymał go w cieple złączonych palców jak właśnie złapanego świerszcza, jak monetę do odkrycia.

- U nas piętnasta, a w Paryżu czternasta - wyszeptał właściciel po chwili milczenia.

Olek znowu pochylił się nad zegarkiem. Rzeczywiście, w malutkim wycięciu u dołu tarczy ujrzał wyszeptaną cyfrę i zapisaną mikroskopijnymi literkami nazwę. A kiedy wykonał półobrót wyciągniętym na jedno pstryknięcie sztyfcikiem, w ramce ukazały się liczba 5 i napis Moskwa, a potem, po kolejnym półobrocie, liczba 9 i napis Tokyo.

- Biorę - powiedział ochrypłym głosem.

- Sonia ma już zegarek - zauważył Jurek.

Grochy zafalowały i mucha zabrzęczała donośnie: - Szanowny panie młody! Pozwoli pan zauważyć, że gdziekolwiek jesteśmy, tam cokolwiek mamy. Nabywając ten oto szwajcarski zegarek marki Omega, takie jest bowiem jego szlachetne, przedwojenne pochodzenie, szanowny pan kupujący wkłada szanownej pani na jej zacną rękę najpiękniejszą złotą kopertę w całej Warszawie i najoryginalniejszy cyferblat.

- Biorę zdecydowanie - powtórzył Olek i właściciel pokiwał z powagą głową, poprawiając muchę, przekrzywioną zbyt długą wypowiedzią. Olek wyjął z kieszeni plik pieniędzy ściśnięty gumką, odliczył sumę i wyszli z torebkami w ręku. Przecięli Kruczą i dalej pociągnęli Hożą do Marszałkowskiej.

Tymczasem drogi prowadziły wciąż do końca roku, na własnych nogach, zakosami, a nawet koleinami i w nich ciężarówkami. Około dziesiątego grudnia na tworkowski dziedziniec wjechała zaraz po obiedzie kamionetka marki Mercedes i Johann wyprężył grzbiet na baczność jak kot nibelung. Zewsząd zbiegli się wariaci i w milczeniu otoczyli pojazd. Goethe zachęcał nawet głośno, by zajrzeli do środka, ale na widok krzyczącego Kaltza, a zwłaszcza Honnette'a, który wytaszczył swój basior z budynku administracji, wszyscy czmychnęli za bezlistne od dawna drzewa, by zza pni dębów i klonów patrzeć na rzeczy już przywiezione i jeszcze nie podzielone. Lecz co tam puszki równo stojące w kartonach, co tam dziwne w kształcie butelki pakowane po osiem, co tam nawet pudła zamknięte i w środku tajemniczo grzechoczące i brzęczące, skoro wśród prostych przedmiotów pojawiły się trzy szlachetne walizki ze świńskiej skóry, a obok walizek sukces ewolucji - niemiecka kobieta. W pelisie wyglądała modnie i nie tak znowu staro, dość zgrabne łydki wrastały w brązowe pantofle na francuskim obcasie, tylko ten kapelusz. Honnette ucałował żonę w rękę, a potem, czując na sobie spojrzenie drzew, w policzek; Kaltz ukłonił się nisko przełożonej, coś cicho powiedział, zataczając ręką szerokie koło, i chwycił za walizki, radośnie i lekko na ugiętych kolanach. Już szli w stronę biura wśród zdumionych dębów i klonów, gdy nagle żona coś sobie przypomniała, zawróciła do kamionetki i z tylnego siedzenia wyciągnęła ostrożnie patefon. Tak tak, drogi Newtonie, tak, mój ty Goethe za klonem, pani wyciągnęła, a teraz niosła sama, przyciskając

go delikatnie do pelisy i nie dając ponieść mężowi, prawdziwy patefon z korbką, żeby się kręciło, żeby się przeżywało i chciało więcej, gdy nadejdą uroczyste święta, a zwłaszcza ruhe i heilige nacht.

Nie ma wątpliwości, wszystkie drogi zmierzały już do końca roku, z buciorami, grubymi rękawicami, pelisami, a nawet z futrzanymi czapkami. W pierwszy wtorek na początku grudnia Sonia pojawiła się na alejce centralnej w czymś ślicznym na głowie i Rubens, gdy tylko ją zobaczył, zdjął ze łba swój bezkształtny worek i nie odstąpił jej aż do buchalterii, patrząc z boku, jak do profilu Soni dokleja się ogonek. Ogonek, ba, cała kitka, był, była z szarego futerka i szary, mięciutki spoczywał toczek na głowie Soni. Kitka majtała się radośnie, toczek zakręcał perfekcyjnie, gdy Sonia szła, i dyndała wdzięcznie sobie i innym, gdy Sonia przystanęła zamienić kilka słów i grzeczności z Cezarem, Neronem i Aleksandrem. Mieli szczęście, zaraz po śniadaniu zobaczyli przed sobą, na własne cesarskie oczy, treść i formę w pełnej symbiozie, razem znaczące i stanowiące. Mieli szczęście, jak już zasiedli po południu do pokera kartami od dziewiątek i nie widzieli Soni oczu i kitki zroszonej od policzka, i toczka lekko na bakier, gdy Sonia wraz z wybiciem kuranta wybiegła na alejkę i poszła przed siebie gdzie oczy, te oczy poniosą.

Dlaczego zasmucone, dlaczego mokre? Skąd łzy, skąd skulone ramiona, dokąd te szybko stawiane kroki? Śmignęła między drzewami, schodząc nagle ze ścieżki przy murze, potknęła się, otarła paltem o brzozę, kitka poruszyła gałązkę. Poprawiła toczek, przesunęła kitkę lekko do tyłu i wbiegła między dwa klony jak w otwarte drzwi. Nie nasz to pokój; dalej było coraz puściej i bielej, pierwszy śnieg tworzył tutaj bardziej zwarte plamki, Sonia znikała w głębi polany robiła się coraz mniejsza, jak ciemny ptak odskakujący gdzieś w śniegu, podfruwający za wypatrzonym na horyzoncie ziarnem, za tajemnicą własnego spojrzenia. Co widziała, dokąd szła, gdzie znikała? Chciałoby się odpowiedzieć na te pytania, ale czy się podoła? Czy będzie się mogło i umiało?

Na brzegi stołów w Tworkach padły ostatnie promienie grudniowego słońca. Trzeba zawrócić między klonami na drogę; Sonia wciąż tam idzie za linią horyzontu, zaś przed nami już brzoza, gałązka, która jeszcze się rusza, znowu drewniane ławki i alejka między nimi, i kolacja już na stole.

***

Rozdział 18.

Jak się zbiegać, to się zbiegać; jednego dnia i o tej samej porze. Dwudziestego czwartego grudnia rano prezenty już leżały schowane w szafie pod swetrem Jurka, gdzie na przemian lśniły i cykały. Na długim stole zbudowanym z połączonych biurek czekały w największej sali administracji różne germańskie przedmioty, a po drugiej stronie do patefonu ustawionego na obrusie Honnettowa we własnej osobie przykręcała właśnie tubę. W sali było jeszcze zimno, bo piec się wciąż nie rozpalił, do godziny ósmej rano jeszcze daleko i Janka w paltocie wraz z Sonią z toczkiem na głowie i w pięciopalczastych rękawiczkach pomagała Bronce i Jabłkowskiej ustawiać talerze i kieliszki, donieść ostatnie bombki i rozdzielać widelce od noży.

Fajrant ogłoszono na dwunastą. Z zegara obok drzwi dwanaście razy zakukało, dwanaście razy wychyliło łepek i znad biurek z ułożonymi już równo ołówkami i liczydłami uniosły się głowy pracowników pełne jeszcze cyfr, uniosły się ociężałe ich ciała, wywołane do wspólnej obecności w obliczu kolejnych narodzin i nowych kartek kalendarza. Herr dyrektor ludzki człowiek rozszerzył szpitalny budżet i zaprosił na skromny poczęstunek całą administrację i resztę personelu, aby pod dostojnym zwierzchnictwem święto objęło, zagrało, a nawet nakarmiło wszystkich zatrudnionych.

Dziwna to scena, gdy objąć całość wzrokiem i ściągnąć na siebie wszystkie spojrzenia. Okrągły zegar na ścianie z prawej strony pokazuje dwunastą zero siedem. Między ścianą a rzędem złączonych biurek stoją cztery kolumny podpierające wysoki strop. Przed nimi, w stronę środka, zaczyna się nieco niżej właściwy sufit, świeżo odmalowany i punktowany płaskimi, okrągłymi kloszami. Jeszcze nie świecą, bezrobotne gwiazdy na skończonym niebie, cierpliwe fortynbrasy nad migającą, rozpaloną raz tak raz nie, choinką. Teraz tak: prawdziwa jodła z helenowskiego lasu błyska właśnie żaróweczkami w kształcie świeczek, iskrzy się włosiem aryjskim anielskim, jak wszystkie czasowniki o świetle, srebrze i złocie. Lśnić, błyszczeć, żarzyć się i iskrzyć, więc Jurek podniósł już w lewej ręce magnezję i pochylił się nad aparatem, lśnić i błyszczeć, a potem rozdać wreszcie premie i nagrody, lecz najpierw jeszcze się uśmiechnąć.

Przed choinką dwa krzesełka, na krzesłach siedzą wywyższeni, dobrotliwi. Honnette złożył ręce na brzuszku i nogi z bucikiem na bucik tak śmiesznie skulił i przesunął w lewo, że kiedy dziadek mógłby chwycić go w ramiona i jak niemowlę przenieść do ciepłego kojca w

Alzacji; uśmiecha się w swym mundurze bez dystynkcji niewyraźnie, bo nie wpada, lecz może jednak trzeba wobec tej prawdy obiektywu, tych światełek za karkiem i tej żony w białej bluzce obok. Lecz co tam, szczerze mówiąc, dobrze, Jurku, patrząc, pikowana bluzeczka z rękawkami do łokcia, co tam ten uśmiech bardziej otwarty, co tam nawet te dłonie złożone na kolanach, gdzie czarna spódniczka wpada w pończoszki, wobec, co właśnie dziwne i opóźniające zdjęcie, lewej stopy, która podczas gdy prawa normalnie przyciska obcas do podłogi, lekko cofa się pod krzesło i tam unosi całkiem filuternie na palcach, obcas wybijając w górę, a wszystko to coś znaczy, gdy tak się ustawia w kadrze, to choćby że nóżka, a może i cała osoba, chciałaby pofikać, dać się porwać i przynajmniej raz cyknąć jak jedna sekunda.

Ale prawdziwy uśmiech zaczyna się za długim stołek z biurek, tam gdzie stoją niżsi i zatrudnieni. Kadr nie pominie niestety zaciśniętych ust i szeroko otwartych oczu Kaltza, Quicka i Jabłkowskiej, wyprężonych i wpatrzonych na rozkaz w obiektyw, ale im niego bliżej, tym bardziej karny szereg zmiękcza się i taje: dyskretny uśmiech Bronki, Janka dość wyraźnie jak na siebie uśmiechnięta, no i teraz zęby najbielsze, twarz najbardziej promienna nad białą pikowaną bluzką z rękawkami tylko do łokci, tak że świetnie widać bulwiasty zegarek na przegubie ręki, rozpromieniona twarz Soni, usta Soni i śmiech, który wobec oka obiektywu i Jurka pod czarną szmatą niczym baba w żałobie nie może się powstrzymać. Do kogo śmiech, do czego, tak dobrze nie wiadomo, lecz nie ma czasu myśleć, trzeba nastawić ostrość również na te stosy na biurkach, na te żelastwa użytkowe, bo stoją tam równo garnki emaliowane, i rondle z przykrywkami, i kilka dzbanków i kubeczków, i leży nawet jedna, wielka złota patelnia, a obok niej pudełka z papierosami, małe książkowe kalendarze, nie tak wiele tabliczek czekolady, grzebienie i nożyczki w etui i, już całkiem blisko, prawdziwe kanapki z jajkiem, kilka z kiełbasą, zaś obok kieliszków, postawionych stopkami do góry, butelki z czystym sznapsem wiadomo skąd.

Jurek zrobił wreszcie zdjęcie i zajął miejsce w szeregu. Do sali zaczęły napływać białe kitle i drelichy, z których Kaltz formował drugi szereg. Kiedy już drzwi się zamknęły, podszedł do patefonu i na skinienie Honnettowej zakręcił korbką. Obcas pod krzesłem uniósł się jeszcze wyżej i rozległ się chór nadreńskich aniołów przed mobilizacją. Płyta nieco trzeszczała, lecz słowa brzmiały wyraźnie, gdy powtarzały „syn", „malutki", „święty" i „szczęśliwy". Wreszcie, po paru kolędach, powróciła cisza i przedmioty na stole zdawały się przez chwilę bardziej obecne niż ludzie. Honnette chyba to zrozumiał, bo tak szybko wstał z krzesła, poprawił mundur jakby przepraszającym, nieco wstydliwym gestem i powiedział: - W tym świątecznym dniu niech cały personel, wszyscy lekarze, pielęgniarki, pracownicy administracji, przyjmie najlepsze życzenia świąteczne i gruss Gott. Jako dyrektor szpitala dla psychicznie i

nerwowo chorych w Tworkach jestem szczególnie rad, że nasza placówka medyczna cieszy się dobrą opinią u naszych niemieckich władz i wykonuje z wielką pilnością postawione przed nią zadania. W dowód uznania dla zatrudnionych w placówce pracowników rozdane zostaną kalendarzyki na rok tysiąc dziewięćset czterdziesty czwarty oraz świąteczne prezenty których przydział przedstawi mój zastępca herr Kaltz. Następnie wszyscy zebrani proszeni są na skromny poczęstunek przygotowany z dodatkowego funduszu. Jeszcze raz griiss Gott.

Rozległy się nieśmiałe oklaski i przedmioty stały się jakby bliższe, niemal już rozpoznane i nazwane. Janka dostała nożyczki i metalowy grzebyk, ładnie do siebie dopasowane barwą, i kubek malowany w kwiatki, Jurkowi wręczył Kaltz po odfajkowaniu nazwiska na liście taki sam kubek oraz biały dzbanek z identycznym wzorkiem, i czekali teraz, co dostanie Sonia. Kaltz jakoś długo zwlekał, krążył, przywoływał kolejne kitle i wręczał im po kubku, dwa rondelki z przykrywkami trafiły w ręce Quicka i Jabłkowskiej, i kiedy obdarowani zaczęli się już przesuwać w stronę kanapek, zafalował dziwnie ciałem, chwyci! ze stołu złotą patelnię i nagłym ruchem podał ją Soni. Zastygła w zdziwieniu jak egipski faraon ze słońcem w rękach, trzymała je nieporadnie za jeden promień i skupiała w nim spojrzenia wszystkich poddanych, już z pierwszymi kanapkami w ustach. Mieli co podziwiać, wartość prezentu, jego nadzwyczajne wykonanie, przydatność w czasach wojny, pierwszeństwo wśród cudów tego świata i zwłaszcza tej sali. Od razu stało się jasne, że znalazła się już królowa świętowanych narodzin, miejscowy patron adoracji, wodzirej stajenki. No i mówca podniosłej chwili: trzeba coś powiedzieć, mówiły miny i spojrzenia, niech Sonia podziękuje przy pierwszym kieliszku. Sonia kręciła głową, wskazywała patelnią na Jurka, ale gdy Kaltz głośno chrząknął i rozlał wódeczkę, pracowniczy szereg wręcz wypchnął ją do przodu.

Sonia schowała patelnię za plecy, wzniosła kieliszek i nabrała oddechu: - W imieniu administracji i personelu lekarskiego szpitala psychiatrycznego w Tworkach podziękować bardzo serdecznie chciałabym. Dziękujemy panu dyrektorowi i pani dyrektorowej za przygotowanie świątecznego poczęstunku i za tak cennych podarunków wręczenie. Chcielibyśmy panu dyrektorowi i pani dyrektorowej nasze najlepsze życzenia świąteczne złożyć. Szczęść Boże, griiss Gott.

Honnette skinął łaskawie głową, wyraźnie zadowolony, Kaltz znacząco złożył dłonie i za plecami Soni rozległy się nieśmiałe, a po chwili już całkiem donośne oklaski. Honnettowa własnoręcznie nastawiła nową płytę i przy dźwiękach kantaty spełniono kolejny toast za pomyślność i zdrowie wszystkich obecnych. Martwej natury przybywało: obok kubeczków i rondli zaczęło się pojawiać coraz więcej pustych talerzyków z okruszkami, coraz więcej złożonych sztućców i zmiętych serwetek, ale kantaty, a potem sonaty i wreszcie pierwsze marsze

utrzymywały obraz nad stołem, tam gdzie w poświacie choinkowych lampek rozszerzone oczy patrzyły w dal aż po pierwsze obrazy zbawienia. Jurek zrobił na polecenie Honnette'a nowe zdjęcie i kiedy już można było, zegar na ścianie wskazywał właśnie drugą dwanaście, wyciągnął Sonię i Jankę z sali. Kubeczki brzęknęły przy wyjściu, patelnia odbiła złotym blaskiem światełka choinki, nasi byli już wolni, już w alejce, już w pokoju Jurka.

Olek przyjechał dopiero przed piątą, gdyż wcześniej odwoził obie mamy, swoją i Jurka, do cioci Ireny, i dźwigał teraz torbę pełną ciasta, słoików z kapustą i kompotem śliwkowym, a jeszcze do tego gałązki świerku. Jurek już od dawna wypatrywał pierwszej gwiazdy, otworzył nawet okno i tak się wychylał, że Janka podeszła i chwyciła go za pasek, ale wreszcie dał spokój, bo chmur było coraz więcej i szkła mu się parowały. Kiedy reszta nakrywała do stołu, wyciągnął z książki opłatek i krążył niecierpliwie wokół, poprawiając to, co nierówno ułożone, i udzielając rad; więcej kapusty do tego półmiska, mówił z powagą jak pan na zagrodzie, proszę mi wyjąć te pestki z kompotu, aż go wreszcie Sonia trzepnęła serwetką w nos i zachichotała z jego głupiej miny.

Śmiała się jeszcze, gdy dzielił opłatek i marszczył z takim frasunkiem czoło i srożył brwi, żeby było równo i ładnie połamane; śmiała się wciąż, gdy wstał, zdjął okulary i mrugał zabawnie powiekami przed uroczystym zabraniem głosu, czekając, aż wstaną wszyscy; śmiała się nawet, gdy zgromił ją wzrokiem, tak aktorsko wytrzeszczając oczy, ale już słuchała, gdy mówił: - Kochani zgromadzeni, najdrożsi przyjaciele! W nie tak odległej przeszłości, bez mała dwa tysiące lat temu zabłysła nad światem gwiazda betlejemska. Od dni tych, w których Jezus począł przemierzać doliny i wzgórza ziemi świętej, rozpoczęła pochód przez stulecia Miłość. Nie zapanowała jeszcze nad światem, nie wypleniła z serc ludzkich egoizmu i sobkostwa. Zbyt często dzieje świata stają się areną gwałtu i walki. I tegoroczne święta Bożego Narodzenia nie upłyną wśród radości. Dzwony kościelne wzywające na pasterkę zleją się z odgłosami toczącej się wojny. - Jurek przerwał i spuścił głowę, jakby się zastanawiał, co powiedzieć dalej. - O Polsko, Polsko! - wyszeptał nagle. - Gdyby była w człowieku moc, żeby mógł przycisnąć do piersi Ciebie, o Polsko, wielka i święta męczennico. - Znowu przerwał i przesunął wzrokiem po twarzy Janki, Olka i na koniec Soni. - Dzień wigilijny. Dzień podobny do innych, a przecież wszystko w tym wigilijnym dniu przemawia językiem ludzi niecodziennych. Dzień mający osobliwą i tajemniczą moc zestrajania serc w harmonię i pokój. Dzień, w którym jesteśmy lepsi, czystsi, bliżsi odwiecznych, arcypięknych prawd. Życzmy sobie co tylko najlepszego.

Wziął do ręki kawałek opłatka i jego śladem poszli wszyscy. Usiedli do stołu i przez chwilę jedli w głuchym milczeniu rybę odsmażoną na złotej patelni, lecz na szczęście Olek

sobie coś przypomniał: - Pamiętasz, Jerzy, jak w pierwszej klasie wystawialiśmy dla całej szkoły tę... no... szopkę? W pierwszej części byliśmy z Heńkiem trzema królami i tobie zsunęła się broda, bo się za bardzo pochyliłeś nad żłobkiem, pamiętasz?

- Nieszczególnie - mruknął Jerzy.

- A w drugiej części, jak byłeś Herodem, to też ci się broda zsunęła, bo za mocno potrząsałeś berłem. Myślałem, że skonam, pamiętasz?

- Jak przez mgłę - mruknął Jerzy i Sonia parsknęła śmiechem. Roześmieli się wszyscy i aż do rozdania prezentów więcej żartowali, niż spożywali, a potem byli już tylko ciekawi, kie-

140 dy szukali czegoś w torebkach i pod swetrami, i tak niezręcznie chowali wyjęte za plecami. Co tu dużo pisać, lepiej się cieszyć, Jurek dostał od Janki prążkowane skarpetki, typu krótkiego, nieco za kostkę, ładne takie, i postanowił od razu je przymierzyć. Zdjął buty i Sonia zachichotała, gdyż jedną skarpetkę miał już pewnie od rana nałożoną wierzchem do środka i przez chwilę bezradnie wpatrywał się w wystające nitki od prążków. Wreszcie, jakby nigdy nic, obnażył stopy nieco je podkurczył, bo z paznokciami to nie zawsze wiadomo, i wciągnął nowe prążki w kolorze morza o zmierzchu. Pasowały nadspodziewanie dobrze i Jurek paradował po pokoju, i wcale nie chciał wkładać butów, lecz już nowy prezent wił się barwnie w palcach Soni, przymilał do jej dłoni, tu użyczał się szeroko, może aż nadto, a tam, z drugiego końca, szczędził siebie i powracał w wąskie koryto. Olek schylił głowę, tak dziwnie, miękko jak ptak, który chce zasnąć, i Sonia kilkoma zgrabnymi ruchami rozsupłała węzeł krawata, wąskiego, ciemnogranatowego, i jednym pociągnięciem wyciągnęła go spod białego kołnierzyka. Na wolne miejsce narzuciła nowy krawat i patrzyła, jak Olek go wiąże. Węzeł miał być angielski typu Windsor, lecz Olek źle wymierzył, węższa część wystawała, i Sonia śmiała się z radosnej miny Jurka. Za drugim razem się udało i tak jak Jurek się spodziewał, dobrze wyglądał blondyn w nowym deseniu, gdzie dyskretne bordo mieszało się z granatem i drobinami kremu i gwiazdkami dojrzałej pomarańczy a obfitość materiału dobrze kontrastowała ze wzrostem człowieka.

- Takiego jeszcze nie miałem - stwierdził Olek i poprawił uroczyście kołnierzyk. - Jest arcyładny... nadzwyczajny.

- Najnowsza moda amerykańska - powiedział Jurek. - Szerokość od jednej nerki do drugiej. Most Brooklyński od brzegu do brzegu.

Sonia się roześmiała i jakby czekała. Jurek sprawdził kątem oka, czy wszyscy go zrozumieli, i zadowolony wyciągnął z kieszeni zamkniętą dłoń. Widać już było rogi torebeczki i koniuszek różowej wstążki i zanim otworzył się sezam, Janka się zaczerwieniła. Słusznie, dla

niej było to srebrne i powyginane niczym muszla, a nawet kłujące, gdy tak niezręcznie rozrywa się torebkę. Dla niej była ta wystraszona mina, czy aby się spodoba, i dla niej za szkłami oczy okrągłe z lęku i oczekiwania.

- Jest arcy ładna - powiedziała Janka. - Bardzo oryginalna. Jest doprawdy... nadzwyczajna.

Sonia pogoniła Jurka, który zbyt długo się przymierzał do uroczystego wpięcia, szurając skarpetkami, i pokazała, gdzie ma dokładnie umieścić broszkę. Zalśniła nowym błyskiem jak zaślubione morze, jak znamię na gładkiej materii. Janka oddychała, broszka unosiła się i opadała, a w ręku Olka już cykało, w otwartej dłoni Olka cykał już zegarek. A po chwili grał, gdyż wybiła godzina ósma, grał menueta Mozarta i na niewidzialnej nitce nizał w nagłej ciszy szklane paciorki dźwięku. Układały się po cztery takty, były jak słodkie pukanie do drzwi i nić stawała się coraz lepiej widzialna, dotykalna, piękna i bezwzględna. Ostatnie kropelki jeszcze dźwięczały, gdy Olek przekazał bez słowa zegarek Jurkowi, podszedł do Soni i mocnym, zdecydowanym gestem zdjął z jej ręki cebulę na nieco już sparciałym skórzanym pasku i z lekko pękniętym cyferblatem. Jurek stanął za Olkiem tak oficjalnie i gorliwie jak pielęgniarka ze skalpelem, i Sonia zachichotała, ale gdy Olek odbierał z rąk Jurka zegarek i ostrożnie go założył na jej wyciągnięty przegub, spoważniała i przymrużyła oczy. Już ułożył się na jej ręce i wszyscy wpatrywali się z jego zgrabne wskazówki, mówiące, że minęła właśnie ósma zero trzy, a nawet cztery i pięć.

Sonia spojrzała na Olka, pocałowała go w policzek i powiedziała bardzo głośno, jakby chciała przekazać wszystkim wieść:

- Jest... arcypiękny. Nigdy równie pięknego nie widziałam... Jest zupełnie nadzwyczajny. Brak mi słów doprawdy.

Olek pokazał Soni i Jance wszystkie pejzaże, ustawiając przegub Soni pod różnymi kątami, zapytał się, która jest godzina w Paryżu, i sam wskazał, przekręcając sztyfcik, na odpowiedź, a potem długo objaśniał mechanizm obsługi. Sonia uważnie śledziła ruchy Olka, pilność, z jaką tłumaczył każdy techniczny szczegół, i więcej się chyba dowiedziała o Olku niż o zegarku, bo gdy przyszło jej pokazać, która jest godzina w Nowym Jorku, zawiesiła bezradnie palce nad tarczą. Olek cierpliwie powtórzył wyjaśnienia i wreszcie wszystkie prezenty, oswojone i założone, wtopiły się w ciała świąteczne. Przeszli do deseru i znad ciasta i kompotu co jakiś czas rzucali jeszcze okiem na rzeczy świeżo otrzymane, już w to życie wliczone, i Olkowi wydawało się, że faktycznie w tym krawacie wygląda przystojnie, Janka czuła, że broszka jest dość droga i warta ceny, bo prawdziwie zdobi jej sukienkę, tylko Jurka skarpetki nieco gryzły w płaskie stopy.

- Która jest godzina? - spytał Sonię o dziewiątej i dziewiątej dziesięć. - Którą to mamy godzinę? - spytał ją po dziesiątej i jeszcze pary razy przed jedenastą. - Ciekawe, która to godzina?

- z zaczepnym uśmiechem powtórzył pytanie przed północą.

- Za szesnaście dwunasta - odpowiedziała Sonia, wpatrując się uważnie, jak po każdym pytaniu, we wskazówki - a teraz za kwadrans.

- Pasterka! - wykrzyknął Jurek i zerwał się pośpiesznie z krzesła, przewracając na spodnie Olka butelkę z resztą wódki. Sonia zachichotała i śmiała się jeszcze, gdy szli alejką w stronę tworkowskiej kapliczki i Olek tak dziwnie stawiał kroki. - Czy jest już północ? - spytał ją Jurek, jak tylko wmieszali się w tłum piżam z narzuconymi paltami. Spojrzała na tarczę i ledwo skinęła głową, znad ołtarza rozległy się słowa: - Lud, który chodzi w ciemności, ujrzy światło wielkie, nad mieszkańcami krainy mroków zabłyśnie jasność. - Amen - wyszeptali zebrani i msza przetoczyła się wartko po minutach aż do obrotu dużej wskazówki, aż do ostatniego zmiłuj się nad nami.

I świeć, jak gwiazdy świecą, jak gwiazdy świeciły, gdy wyszli z kaplicy wraz z milczącym tłumem. Chmury się rozwiały i widać było kilka konstelacji, więc jeszcze się chciało potęsknić za czymś na świeżym powietrzu. Spacerowali alejkami od muru do muru, przed kotłownią Jurek rozmawiał przez chwilę z Wirtuozem, któremu dzisiaj akurat dobrze szło, więc Sonia śmiała się do rozpuku, a potem, gdzieś tak koło drugiej, gdy już nieco zziębli, Olek zaproponował, żeby wpaść do administracji, zobaczyć, czy coś nie zostało.

Sonia otworzyła drzwi swoim służbowym kluczem i weszli niepewnie jak do kurortu po sezonie. Choinka była zapalona i na ich spotkanie tłumnie wyległy cienie opuszczonych rzeczy, porzuconych miejsc. Obie zewnętrzne kolumny wypuszczały ciemne pasy graniczne, po których przekroczeniu znaleźli się w kwadracie biesiady. Talerzom przybyły mroczne obwódki pod błyszczącym bielmem, widelce rozcapierzały palce. Olek znalazł niedopitą butelkę, rozlał i pili w milczeniu, uroczyście, wpatrując się w migające lampki i taniec odblasków na ścianie. Jeden z nich oświetlił nagle kąt, gdzie na biurku stał patefon z tubą, która wysłała teraz ku nim własny cynowy błysk. Sonia podbiegła i chwyciła pierwszą płytę z brzegu. Sonata nie zdążyła wybrzmieć, a już dłoń Soni mocowała kolejną płytę i kręciła korbką, by szybko mogły się rozlec pieśni o podróży zimowej. Nie trwały jednak długo; spod sterty wyciągnęła Sonia płytę ostatnią, w kolorowej okładce. Kolorowe nazwy, kolorowe dźwięki, modry walc, srebrzysty boston, różowy fokstrot. - Nie bardzo wypada - mruknął Jurek znad kieliszka, bębniąc palcami po blacie. - Nie, dzisiaj nie można - pokręcił głową, ale dał się zaciągnąć Soni na środek sali. - Tańczyć można dopiero za dwa dni - powiedział stanowczym to-

nem, ale dał się chwycić za ramię i poprowadzić dwa kroki w przód i dwa do tyłu, a potem nawet trzy. Sonia kilkakrotnie spojrzała z góry na siedzącego wciąż Olka i nie było rady, musiał usłuchać choć jednego z tych paru przykazań, chwycić Jankę za rękę i naśladować dreptania Jurka i kroki Soni, teraz już po cztery w przód i w tył. Przytupywali coraz mocniej, gdy nagle na ich parkiet runął z boku snop światła. W otwartych drzwiach ktoś stanął, w otwartych na oścież drzwiach stała Honnettowa i patrzyła na nich uważnie niebieskimi z urzędu źrenicami. Znieruchomieli i tylko Sonia cicho zachichotała. Przyjezdna dotąd się nie przebrała, jakby wciąż samą sobą szła przez tę noc, i miała nadal na sobie białą bluzkę i czarną spódniczkę, i buty na obcasach, które zdawały się lekko podrygiwać. Spojrzała na roześmianą Sonię i przez chwilę ich spojrzenia się krzyżowały. Jurek podbiegł do patefonu, ale Honnettowa pokręciła głową, że nie, nie trzeba wyłączać. Jeszcze przez kilka sekund wpatrywała się w Sonię opartą niezgrabnie, z taką jakąś przekorą, o Olka i jej wzrok był jak dwie niebieskie lunety to odpychające, to przybliżające, z precyzją wymierzone w konstelację twarzy na tle torsu Olka; po czym tak dziwnie, z zadumą wyciągnęła rękę przed siebie, by oddać coś lub to samo zabrać, uśmiechnęła się lekko, odwróciła i niespiesznie odeszła jasnym korytarzem.

Zegar w sali i zegarek Soni pokazy wały już godzinę czwartą. W Paryżu była trzecia, w Tokyo dziesiąta, ale u nas zaczął prószyć śnieg. Srebrzył włosy Janki i zbierał się na toczku Soni, gdy wracali alejką do pokoju dziewczyn. Powiedzieli sobie dobranoc, Jurek po raz ostatni spytał się ze śmiechem, która jest godzina, i o czwartej piętnaście Wigilia dobiegła końca. Olek ogolił się w pokoju Jurka, Jurek jeszcze nie musiał, przebrali się szybko i ranną kolejką pojechali do Warszawy spożyć z obiema matkami świąteczne śniadanie.

***

Rozdział 19.

Jak do Tworek, to we wtorek. Jurek przyjechał z samego rana w nowej koszuli, gwiazdkowym prezencie od zacnej mamy, przygotowany już do wizyty u dziewczyn, dla których wiózł własny patefon i płyty z taką muzyką, Janko i Soniu, że i Olek dzisiaj niepotrzebny, kiedy ma się własne nogi, słabo może kopiące, lecz dobrze drobiące walca. Szkoda, wielka szkoda, że nie przywiozłem patefonu wcześniej, myślał Jurek nucąc tango milonga i otwierając, wiadomo jak, drzwi do swego pokoju. Kartka leżała na podłodze, wsunięta zapewne dołem.

Janka rzuciła mu się w ramiona, kiedy tylko stanął zdyszany w progu. Była odwilż i buty miał mokre od biegu na skróty.

- Zobacz, zobacz, co znalazłem w pokoju na podłodze. - powiedział. - Wszyscy piszą do mnie listy.

Odczytał na głos kartkę. Janka drżała i Jurek spostrzegł, że bieleją mu kostki u nasady palców, i nagle pojął, że idzie o całość, o jakąś dal, w której wszystko się roztapia i mdleje, i razi dziwnym światłem. Na obrazku nad łóżkiem Soni morze gasiło swe fale na piasku i żółto-niebieskie pasmo rozmazało źrenicę Jurka, rozmiękczyło widziane kontury do samych barw. Usiadł ciężko na łóżku.

- Co się stało? - zapytał cicho.

- Boję się. Boję się - powiedziała Janka i z jej oczu spłynęły pierwsze łzy.

- Co się stało? Czy wiesz, co się stało?

- Wyszła bardzo wcześnie rano.

- O której?

- Nie wiem. Miała taką dziwną twarz.

- Smutną?

- Nie wiem. Pocałowała mnie, gdy jeszcze leżałam, i zawróciła od drzwi, i pogłaskała mnie po policzku, jak nigdy.

- Dokąd ona poszła? - Jurek wstał, wyjrzał przez okno i znowu zobaczył wyraźną linię lasu, drzewa stojące twardo na swoim i ich półcienie odbite w kałużach. - Gdzie się ona, cholera, podziała? Dlaczego się ze mną żegna, i to w taki sposób?

Janka podbiegła i przywarła do jego pleców. - Boję się - szepnęła. - Strasznie się boję. Ona jest z Berdyczowa.

- Co? Co ty mówisz? Żartujesz, prawda?

- Tam się urodziła. Potem wyprowadziła się z rodzicami.

- Jak to? Co ty mówisz? - Jurek chciał się odwrócić, ale Janka mocno go obejmowała i przez chwilę oddychał z trudem. Tyle w powietrzu było dziwnych drobin tlenu, byle mieszaniny plusów i minusów.

- Co ty wygadujesz? Dokąd ona poszła? - powtórzył. - Dokąd? Dokąd?

Dokąd poszłaś, Soniu? Włożyłaś toczek, palto, ciepłe pończochy pod sukienkę do kolan, i wyszłaś z pokoju, w ogóle nie pogwizdując; po schodach tym razem nie zbiegłaś, po jednym stopniu był drugi, więc tylko ciężko szłaś trzymając się poręczy, a potem sień i nagle poranne, jeszcze chłodne powietrze mimo słońca gdzieś na wschodzie. Dokąd poszłaś, gdy już skończyłaś pisać na okiennym parapecie, gdy wsunęłaś kartkę pod drzwi Jurka i stałaś przed nimi przez dłuższą chwilę, jakbyś czekała, że drzwi się nagle otworzą i ktoś weźmie cię uśpioną w ramiona i przeniesie na złoty piasek, gdzie nie widać jeszcze żadnych śladów. Dokąd poszłaś, nie zważając na swoją miłość i miłość do ciebie, nie bacząc, że miałaś imię do powtarzania i do szeptania, oczy jego i usta do całowania, jego tors jak arkę pewności i żylaste liny rąk, że tyle w nim było, pragnęło Cię i niezmiennie, zawsze, ciągle Cię chciało. Dokąd poszłaś, czytam gdzie goreją krzewy na pustyni i wydmy są jak fale, czy tam gdzie wśród mchów zimują paprocie, nie tak wiele jest przecież dróżek na ziemi, nie tak wiele alejek w Tworkach, i nic dziwnego, że trafiłaś do budynku administracji i usiadłaś przed gabinetem Honnette'a, czekając, aż pojawi się z cygarem i książką, bo tutaj spędzał każdy dzień. Przyszedł jak zawsze wcześnie i na twój widok niepewnie się uśmiechnął, i drzewo ławeczki pod tobą stało się jeszcze bardziej dotkliwe. Zbyt mocno osłodziłaś prawdziwą kawę, którą ci podał w gabinecie, nie prosząc, byś usiadła, i stałaś przed nim, piłaś malutkimi łykami, jakbyś nie wiedziała, czy ci wolno, i milczałaś tak jak on, gdy już powiedziałaś to swoje zdanie. Stukał przez chwilę łyżeczką o blat, wstał ociężale, wyszedł, wrócił z Kaltzem, a reszta kawy w twej filiżance wsiąkała w nie roztopiony prawdziwy cukier i zastygała w czarnych kraterach. Długo szprechali między sobą w kącie, azalia w doniczce była zielona i to cię zabolało. Kaltz miał mocno zaciśnięte dłonie i zamknięte oczy, gdy Honnette podszedł do ciebie, gdy spojrzał ci w czoło i gdy mówił, a grdyka przelatywała mu rozlegle z góry na dół jak po skali sumienia od złego do dobrego: „Pani zwariowała! Pani kompletnie zwariowała! Zaraz wezwę doktora Okonowskiego, trzeba się uspokoić i iść do izolatki. Trzeba poleżeć i odpocząć. Pani, powtarzam, jest chora, bardzo chora psychicznie. Geistesnervenkrank." Dokąd więc, Soniu, szłaś, jaką alejką, którą właściwie ścieżką, gdy powtarzałaś, że nic to nie zmieni, że jesteś, skąd jesteś, i kręciłaś głową, że nie, na pewno nie, na pewno nie żartujesz; dokąd szłaś, gdy Kaltz

chciał cię wziąć za rękę i Honnette po raz pierwszy spojrzał ci w oczy i wysapał ze straszliwym trudem: „Ja panią proszę, dostanie pani urlop, zwolnienie lekarskie ze względu na stan zdrowia, pani jest chora, nikt pani nie uwierzy, nie takie bzdury pacjenci tutaj wygadują"; dokąd więc szłaś, którą płynęłaś rzeką, za szóstą czy już za siódmą górą, gdy z kolei kazał ci teraz wracać do pracy i o wszystkim zapomnieć, bo oni z zastępcą Kaltzem już nie pamiętają, a ty mówiłaś głośno nie, nie, proszę robić, co do herr dyrektora należy. W gabinecie zrobiło się jasno i lampka na biurku paliła się jak niepotrzebne ognisko, jak realność z innego świata, do której głębi lgnęłaś, i w lampkę się wpatrywałaś, gdy Honnette z Kaltzem wyszli, żebyś mogła się rozmyślić, pójść sobie albo normalnie iść do pawilonu, zanim wrócą ze spaceru za dwie lub trzy godziny. Na korytarzu było cicho i wystarczyło nacisnąć klamkę, aby znaleźć się na klepkach z tutejszych dębów, aby przejść koło muru z naszej ziemskiej cegły, aby musnąć dłonią szorstką korę po tej, po tej stronie topól. Ale ty nie tędy szłaś po swej stronie drzwi, po zamszonej Północy swego istnienia, i nie potrafiłaś już nazwać rzeczy w gabinecie, nie widziałaś, czym są te smukłe, zaostrzone patyczki leżące przy białym kwadracie, co to jest takie przejrzyste, wypełnione wodą, i gdy Honnette wrócił, powiedziałaś: proszę ich wezwać, tak chcę, tak. „Sam panią odwiozę", powiedział i oczy miał jak dwa oderwane guziki, i wziął cię pod rękę sztywnym, lecz delikatnym gestem. Kaltz dreptał za tobą aż do samochodu, szepcząc coś bezgłośnie, i w ostatniej chwili, gdy samochód już ruszał, wskoczył i usiadł obok ciebie, i znowu zamknął oczy, i nagle chwycił cię za rękę. Johann stojący przed budką i karmiący gołębie wyprężył się salutując, na peronie nikogo nie było i zobaczyłaś przez okno szyny umykające w bok ku Warszawie i Podkowie, ku Podkowie i Warszawie. Droga była prosta, brukowana, i po chwili po prawej pojawiła się brudna, zardzewiała tabliczka z napisem Pruszków, bo tam właśnie szłaś, tam właśnie, Soniu, szłaś.

Stali bezradnie przy bramie, kiedy Johann już im opowiedział o samochodzie i gołębie przestały się tłoczyć, i wpatrywali się w drogę, która za torami biegła prosto aż do pierwszych zabudowań. - Módlmy się. Pomódlmy się przez chwilę - powiedział Jurek do Janki. Miała tak nieprzytomny, nieobecny wzrok, że poczuł się obco. Znowu drżała widocznie i mocno ją przytulił. - Może gruby zaraz wróci i spróbuję się czegoś dowiedzieć. Może nic się jeszcze nie stało. Może przywiezie ją z powrotem.

Przeszli do kapliczki za administracją i uklęknęli przed ołtarzem. Było ciemno i Jurek zwrócił oczy ku jedynej lampce oświetlającej monstrancję. Między ławkami mignął cień zbudzonego Wirtuoza, od ołtarza dochodził zapach wosku. - Ojcze nasz, któryś jest w niebie... - zaczął półgłosem.

- Ojcze Nasz, któryś jest w niebie... - powtórzyła bardzo głośno Janka, coraz bardziej

się trzęsąc.

-...święć się Imię Twoje...

-...święć się Imię Twoje - powiedziała Janka tak donośnie, że Jurek aż się wzdrygnął i przeląkł. - Módlmy się ciszej - poprosił.

-...bądź Królestwo Twoje - Janka mówiła coraz szybciej i głośniej - bogurodzico dziewico pani boziu która w ostrej świecisz bramie kyrie elejzon baranku boży co gród zamkowy ochraniasz z jego wiernym ludem odpuść nam nasze winy jako gładzisz grzechy świata bo tęsknię po tobie...

- Janko, co ci jest, co ty wygadujesz? - Jurek chwycił ją za rękę.

Janka rozpłakała się, skuliła na posadzce i szeptała pod siebie: -...święć się imię twoje, święć się imię twoje, święć się imię twoje...

Jurek pochylił się nad nią i zmusił, by wstała. - Uspokój się proszę, możejeszcze wróci, może wróci. Chyba masz gorączkę.

Rzeczywiście, jej czoło było rozpalone pod jego dłonią i zaprowadził ją do pokoju. Położyła się, zaciągnęła kołdrę aż pod sam nos, czerwony i taki biedny, więc Jurek zaparzył jej herbaty i przez chwilę patrzył, jak siorbie gorącą i niczym nie osłodzoną i wreszcie cichutko zasypia. Wrócił pod bramę i usiadł na ławce przed administracją. Słońce świeciło coraz mocniej i ostatnie kupki śniegu znikały w okamgnieniu, kąpały swe grzechy jak zawstydzona sobą biel.

Ktoś krzyczał w oddali; krzyki zbliżały się do pleców Jurka i były coraz przeraźliwsze. Wreszcie rozdarły mu ucho. - Gdzie ona jest, dokąd ona poszła? Panie, panie mój, panie księgowy, niech mi pan powie! - Antyplaton, wyraźnie niedomyty, usiadł na ławce i nieprzytomnym wzrokiem szukał oczu Jurka. Był w rozchełstanej piżamie bez palta; skarpetki miał włożone na lewą stronę, jeden sandałek nie dopięty i kapało mu z nosa.

- Niechże się pan uciszy, kto słyszał, żeby tak krzyczeć - powiedział Jurek kładąc palec na usta, jakby tłumaczył dziecku.

- Gdzie ona jest? - Antyplaton darł się jeszcze głośniej i żyły wystąpiły mu na czoło. - Co ona wyszła tak rano? Gdzie on zabrał moją Sonię? Gdzie zabrał moją ptaszynkę, moją kruszynkę? Dokąd oni pojechali? Niech mi pan powie, panie urzędowy, niech mi pan powie, ja pana buchaltera błagam.

- Uspokójże się pan! - warknął Jurek. - Zaraz przylecą pielęgniarze i zabiorą pana na zamknięty. I nigdy pan stąd nie wyjdzie.

Antyplaton skulił się, chwycił Jurka za dłoń i zaczął ją całować bez opamiętania. - Panie mój, boję się, tak strasznie się boję, niech pan coś zrobi, panie ojcze, ja nie chcę bez Soni,

niech pan coś zrobi, panie ojcze, ja nie chcę bez Soni, niech pan coś zrobi, tak strasznie się boję, o panie ojcze...

Jurek wyrwał gniewnie rękę, ale Antyplaton przysunął się jeszcze bliżej i próbował wejść mu na kolana. - Ja chcę do tatusia - szeptał łkając - panie ołówkowy, ja chcę do tatusia. - Zarzucił obie ręce na szyję Jurka. - Chcę do tatusia! - wrzasnął znowu z całych sił.

- Proszę się natychmiast uspokoić - syknął Jurek i odsunął go gwałtownie - proszę natychmiast iść do pawilonu, bo będą kłopoty. Wartownik już na nas patrzy i zaraz cię w kaftan wsadzą. No idź już, idź się położyć, ja cię powiadomię, może zaraz coś się wyjaśni. Może Sonia zaraz przyjedzie. Idź już sobie i nie wychodź.

Antyplaton wstał potulnie i zawrócił alejką, zataczając się od płaczu. W oddali jakieś piżamy chwyciły go pod rękę i szybko poprowadziły do pawilonu, rozglądając się na boki.

Samochód z Honnette'em i Kaltzem wciąż nie nadjeżdżał i Jurek wyciągnął z kieszeni kartkę od Soni. Musiała być wyrwana w pośpiechu z notatnika, gdyż nosiła na odwrocie ślady atramentu z kartki poprzedniej, była delikatnie zaokrąglona w kątach i powleczona na brzegu czerwoną, jak wszystko, co by chciało trwać, nitką lakieru. Właściwie to po raz pierwszy widział pismo Soni w takim zgromadzeniu. Nie było tak ładne jak jego, literki dusiły się w wąskich słowach i tam gdzie trzeba nie miały prawie brzuszków i żadnych zawijasów, oznak wiary w siebie. Jurek dotknął ich opuszkami, jakby chciał sprawdzić, czy są trwałe, czy nie są tylko czarną plamką w jego oczach, a potem zaczął czytać. Mnie tylko ściska dłoń; znowu, psiakrew, wicehrabia - pomyślał w pierwszej chwili, zanim się zawstydził - znowu nie pocałowany, odstawiony i tylko pocieszony, a Olek niczym Bóg, młody bóg bez imienia, tak jakby nie chciała go wymówić albo się bała, „Ten, który był całym życiem...", czyste, niewcielone istnienie, zbyt może kochane, by było tak zwyczajnie nazwane... Odczytywał zdania wciąż na nowo, wpatrywał się w nie jak w lustro, powtarzał niczym aforyzm, ostateczną sentencję i ich czarny blask sączył mu się do brzucha, przenikał ponownie w skórę dziwną osmozą przeczucia. Tak jakby w Jurku coś się nagle dowiedziało, ale co, jakie żyły, które chrząstki, jakby dowiedziało się, że Jurek może będzie musiał już zawsze, aż do ostatniej wieczerzy, aż do pierwszej zorzy, której nie zobaczy, będzie zawsze musiał obracać te zdania w snach niczym młyński kamień, żuć jak cierpką witaminę i własną łzę po przebudzeniu. Przeto i my przyjmijmy ich łaskę i pouczenie, nauczmy się ich na pamięć, wryjmyje w nasze przepastne zwoje, nauczmy się ich teraz, nawet jeśli trawa dzisiaj pięknie zielona i w powietrzu pięciolinię ciągnie babie lato. Nauczmy się ich teraz wszyscy, smutni i weseli, krajanie i obywatele, nauczmy się ich, by nie umierać w złych humorach pod czasami prześcieradeł, by nie żyć bez sensu, bez mrowienia w rękach i drapania w gardle, nauczmy się ich, bo zapewniam, choć wiem

tyle co wy, jak wy co dzień wstaję i co noc zasypiam, zapewniam, że ta kartka to najlepsza rzecz, jaką dla nas zrobiono, jaką pomyślano o naszym tutaj życiu i wyznaczono nam drogę, że to najlepsza z dodatkowych modlitw, jakie dla nas napisano, nauczmy się ich wraz z Jurkiem papiórkiem od a do zet, od a do zet:

„Drogi Jurku!

Bądź dobry dla Janki i nie myśl źle o mnie. Polubiłam Cię bardzo. Jesteś arcyporządny chłopak. Los jest dziwny! Widocznie tak musiało być! Pozdrów wszystkich, których przez Ciebie poznałam i polubiłam, a przede wszystkim Twoją Matkę. Pocałuj i Ty jeszcze raz ode mnie Tego, który był dla mnie całym życiem. Tobie ściskam dłoń.

S.

PS Bądź szczęśliwy!

S.”

Dlaczego S., zwana wcześniej Sonią, w chwili tak ostatecznej, gdy gardło wypełniała jej stalowa kula, gdy w przegubach dłoni zagnieździło się mrowisko i usta drżały niczym poruszona woda, myślała o podpisie, myślała coś o podpisie? Dlaczego go podwoiła, jakby dwukrotnie chuchała w lusterko, zostawiała dwie mgiełki w przejrzystości, dwie kreski w nicości? I dlaczego zwęziła go do samego początku, do pierwszej literki, dlaczego zrolowała swój pełny dywanik na podłodze naszych istnień, z łodyżki zostawiła ziarenko? Odpowiem, przyrzekam, na te pytania jak umiem, w końcu nie tak wiele mam alibi, gdy przyjeżdżam tu kolejką co wtorek, siadam na ławeczce i czuję na sobie baczne spojrzenia białych kitli. Nie wiążcie mi jeszcze rąk, nie wiążcie mi zdań, proszę ich w duchu moim psim spojrzeniem, mam jeszcze tyle liter do wystukania, tyle słów do nadania; tyle liter, tyle słów, lecz może jeszcze zdążę.

Może jeszcze zdążę, mówił cicho Jurek, gdy wskakiwał do kolejki, gdy biegł Jerozolimskimi, a potem Marszałkowską, Kruczą i Wilczą, może jeszcze zdążę, powtarzał z nadzieją, skoro Kaltz szepnął mu w chwilę po tym, jak wrócili w południe z Honnette’em, że pieniędzmi da się coś na gestapo w Pruszkowie załatwić, bo teraz, herr Jerzy, ludzie Niemcy mają coraz większe potrzeby w obliczu, co tu dużo mówić, wydarzeń, no a dzisiaj są nażarci po świętach i nic im się w tym Pruszkowie nie chce. Może jeszcze zdążymy, zanim ją gdzieś wywiozą, zamkną w Warszawie albo co, żeby tylko Olek był i miał przy sobie forsę, mówił do siebie Jerzy, przebiegając ostatkiem sił przez Piękną i wchodząc w bramę przy Myśliwieckiej, gdzie Olek powinien o tej porze być i mieć.

Na dworzec pojechali dwiema rikszami, aby było szybciej, i Jurek widział przed sobą mokre od potu policzki rikszarza: za każdym naciśnięciem pedału przechylał się to w lewą, to

w prawą stronę i dociskał to lewą, to prawą dłoń do kierownicy, całe jego ciało tak strasznie pracowało i się starało, tak wydymało się i falowało pod marynarką, tak naprężało pod spodniami, że każda chwila zdawała się aż pełna od tej ruchomej masy, od tej usilnej obecności, od tego świadectwa bycia na wąskim skórzanym siodełku. Z kolejki wyskoczyli w pełnym biegu, Jurek się tylko lekko potknął, ale utrzymał w ręku okulary, i Olek powiedział pierwsze od wyjścia z domu słowo, „biegiem". Biegli przez chwilę wzdłuż torów, skrócili sobie drogę przez kilka ogrodów, a potem pędzili prosto główną ulicą. Zapadł już zmierzch, gwiazdy już pulsowały wedle ich własnej względności, kroki Jurka i Olka wiele metrów przed nim dudniły coraz ciemniejszym pogłosem.

Tak, czas się już rozdzielił jak rzeka u ujścia. Tu, na ulicy Grodziskiej, domy tuliły się do siebie, mrugały jasnymi oknami, tam, na Koprach, w poświacie gwiazd topole rosły prosto w niebo i kamienie w bruzdach tworzyły własne konstelacje; tu, pod numerem szesnastym przy budynku gestapo, za dwoma motocyklami i ciężarówką, paliło papierosy dwóch niższych rangą, tam, kawałek za miastem, polana wiodła okiem za palcem księżyca. Tu Jurek z Olkiem częstowali prawdziwymi amerykańskimi, próbując zasięgnąć języka, tu wchodzili do środka, jeszcze z kimś w ciemnej pakamerze rozmawiali, na kogoś czekali, coś komuś dawali i jeszcze dokładali, tam krzaki jałowca nie dorastały do stóp w bucikach; tu Olkowi i Jurkowi kazali przyjść jutro po południu, najlepiej około drugiej, bo wtedy na pewno da się już wszystko załatwić, i tu chyłkiem z resztką nadziei wracali Grodziską do Tworek; tam nie było już nocy i dnia, godzin kolejnych, minut dokładnych, tam wysoko nad krzakami jałowca, na grubej gałęzi, na wysmukłej topoli, tam wysoko nad ziemią, wysoko nad ziemią wisiała, dyndała, była powieszona Sonia.

Niebo gwiaździste nad Sonią, stara sukienka na Soni. Rozwiewała swe niebieskie i żółte plamy w lekkich podmuchach wiatru, i wraz z nią, jakby z przymusu, kiwała się i falowała Sonia. Śmierć nastąpiła i Sonia huśtała się z lewa w prawo, z prawa w lewo, przesuwała się nad ziemią jak metronom ludzkości, jak wahadło istnienia, jak kroki w ostatnim tańcu. Ręce trzymały się przy Soni, pilnowały boków Soni, lecz głowa Soni była lekko przechylona, złożona sennie na pętli, bo śmierć nastąpiła. Toczek leżał na kamieniu dnem do góry, miękko ścielił ziemię, śmierć nastąpiła, i włosy Soni, niczym nie spięte, nie ujęte przepaską, spadały na twarz, szeptały coś w usta, patrzyły w oczy, a stopy w bucikach, bo śmierć nastąpiła, dotykały się czubkami. Przy każdym ruchu sznura cicho zakręcały z jednej płynnej zgodzie, w ślad za kolanami, lekko rozchylonymi, wybrzuszającymi szare pończoszki, troszkę obciągnięte, gdyż śmierć nastąpiła. Nic nie trwało i nie przemijało, Sonia nie żyła, Sonię powiesili za miastem na Koprach, Sonia zwisała z topoli, śmierć nastąpiła.

Janka leżała w ciemnym pokoju, gdy wrócili zziajani. Mieli sucho w ustach i rzucili się na resztki świątecznego kompotu w litrowym słoiku. Janka wstała, by zrobić im herbaty, i Jurek dopiero teraz zapalił światło, z lękiem, jakby dotykał własnego oka. Nie patrzyli na siebie i pili pragnąc, by herbata była niewyczerpana, morze wytchnienia. Jurek musiał się na chwilę położyć, bo poczuł się słabo, i gdy przesuwał poduszkę Soni, zobaczył na prześcieradle zegarek. Już nie tykał, już nie cykał, nie nakręcony i wolny spoczywał na białej toni jak mechaniczny nenufar. Wskazywał z uporem, któremu trudno się oprzeć, że jest godzina piąta i że w Nowym Jorku zapadła na wieczność godzina dwudziesta trzecia.

O dwudziestej trzeciej rano obudziły ich mocne promienie słońca ściągnięte przez szybę. Spali tak nieporządnie, Olek na płaszczu na łóżku Soni, Jurek w ubraniu obok Janki nienaturalnie zwiniętej w kłębek, żeby było jej jak najmniej, i do trzeciej herbaty nie odzywali się do siebie. Odprowadzili Jankę do biura i gdy śpieszyli alejką, musieli poluzować szaliki na ściśniętych szyjach, tak ciepło się zrobiło, tak mocno grzało z niebieskiego nieba. Jurek poczekał na Kaltza, porozmawiał z nim na boku ijuż mogli iść, choć do drugiej jeszcze daleko. To jednak za wolno powiedziane, zbyt statecznie nazwane, bo już pędzili do Pruszkowa, już w Pruszkowie byli, już kręcili się nieporadnie kolo gestapo, wchodząc, wychodząc i wciąż czekając, bo do drugiej jeszcze daleko. Może lepiej oszczędzić sobie, co ich to kosztowało, niewiele przecież znaczy szczegół w ogromie dnia, dolary i złotówki wobec wszystkich zer. - Już więcej nie mam. Wszystko dałem, co do grosza - wyznał szczerze Olek i szczerością odpowiedziano mu na szczerość. Erledigt - brzmiało to gardłowo z akcentem hochdeutsch - executivmassnahme, zugrundegehen, entschuldigen sie bitte. No i, rzecz jasna, raus, raus, jakby kto z was nie wiedział, bo przysnął akurat w gaju oliwnym.

- Zabiję, zabiję każdego Niemca, którego spotkam. Za mało ich dotąd zabiłem. Rozwalę każdego szwaba na drodze. Do końca życia będę ich zabijał. Boże, jak ja ich nienawidzę! Pozabijam wszystkich Niemców, co do jednego! - krzyczał Olek, gdy tylko wybiegli z gestapo. Potem nagle zaszlochał, usiadł na krawężniku i Jurek chwycił go pod łokieć i niezdarnie objął. Stali przez chwilę wśród przechodniów, którzy zatrzymywali się ciekawie z paczkami i siatkami w rękach, i Jurek czuł, jak gdzieś głęboko pod jego dłońmi Olek odchodzi od siebie i zamienia się w wielkie, martwe drzewo.

Długo błądzili, wreszcie doszli do Kopry. - Przywieźli ją w samo południe - powiedział chłop z ostatniej chałupy. - I od razu na gałąź. Szybko odjechali. Całą noc wisiała. To my nad ranem, co tylko się rozjaśniło, ją tam pogrzebali, pod lasem, żeby był pochówek, bo jak to tak panowie można.

Na kopczyku stał mały krzyż z dwóch zbitych gałązek i glina była jeszcze wilgotna po

całym dniu słońca. Jurek przyklęknął prosto w błocie i płakał do złączonych dłoni, Olek nawet nie podszedł do grobu i zawrócił; choć nawoływany, biegł niczym głuchy napastnik ku wsi. Jurek chciał go gonić, lecz jak, więc spróbował skupić się na modlitwie. Kiedy jednak powtarzał

„Ojcze nasz", słyszał „drogi Jurku" i widział przed oczyma ściśnięte, czarne literki listu Soni. Dudniące kroki przypomniały mu o Olku, szczęk metalu o tym, że ziemia jest pod spodem twarda i głęboka.

Olek, wciąż milcząc, poda! jeden szpadel Jurkowi, a drugi z rozmachem wbił w kopczyk. - Olek, proszę cię, zostaw - powiedział Jurek - zostaw, proszę. Co ty robisz?

- Kop. Kop, Jerzy, będzie szybciej - wyszeptał Olek i znowu się zamachnął.

- Nie mogę. Zwariowałeś. Nie możemy. - Jurek odłożył szpadel.

- Kop, Jerzy. Trzeba.

Jurek odrzucił kilka grudek, i znowu kilka. Do Soni było jeszcze daleko, Olek nabierał całe szufle piasku i gliny. Tam, gdzie spadały łzy Jurka, gdzie przebijało się ostrze szpadla, gdzie wysoko było zakopane i przysypane, tam czezły wszystkie kolory i bawełniane nitki, niczego nie kryła sukienka, tam krew nie miała dorzecza i rym nie znajdował rymu. Jurek szlochał coraz głośniej i położył na twarz dłonie, ciężko, z całej siły, i gliną przycisnął powieki.

Do Soni było jeszcze dalej, gdy Olek odłożył już szpadel, uklęknął i ostrożnie zdejmował piasek z fałdów sukienki, z szyi w pręgach, z butów przytulonych do siebie. Wreszcie ukazała się twarz w swym zniknięciu, w najdalszym oddaleniu, w negatywie opcji życie i trzeba by wszystko odwrócić, narodziny nazwać śmiercią, pustkę okiem, szczelinę uśmiechem, aby tę twarz opisać, ująć w dłonie i nazwać, żeby miała imię. Olek zrobił parę kroków, jakby chciał znowu biec, lecz po chwili pochylił się nad grobem, z szyi Soni zdjął łańcuszek i bez otrzepywania schował go do kieszeni. W pończoszce przy lewej stopie zauważył jakieś zgrubienie. Rozdarł delikatnie materiał i wyciągnął papierową torebkę. Wyjął z niej kenkartę, dwa zdjęcia nieznanych mu ludzi, starszego mężczyzny i kobiety, kalendarzyk i rysunek domu z ogrodem. Włożył je z powrotem do torebki, a torebkę wsunął w pończochę, nieco wyżej, tak, by nigdy nie wypadła. Zasypał szybko grób i podniósł Jurka z ziemi.

Zawrócili w stronę wsi i tylko od czasu do czasu Jurek nagle przystawał, jakby płakać mógł jedynie na stojąco, i Olek ciągnął go za rękę. W milczeniu doszli do stacji w Tworkach.

- Wiedziałeś? - spytał Jurek i Olek pokazał, że nie.

- Pojadę - powiedział po chwili i Jurek skinął głową.

- Nigdy tego nie pojmę. Przecież wiedziała, że ktoś ją kocha. Przecież ją kochałeś.

Dlaczego cię zostawiła? Jak mogła?

Słońce już zbladło za topolami i między zmierzchem a ziemią resztki światła zastygały jak zmrożona woda. Stali w lodowatej kuli ciszy i Jurek czuł, że przez jego źrenice przeciska mu się w ciało wzrok Olka i wypełnia go zimnym, nieznośnym, białym milczeniem śmierci.

Od Milanówka i Podkowy doszedł ich odległy gwizd. - Nigdy nie mówiła do mnie po imieniu. Ale zawsze wiedziała, którymi drzwiami wysiądę - powiedział nagle Olek w stronę nieba.

- Zawsze stawała w dobrym miejscu, chociaż za każdym razem jechałem w innym wagonie. Wychodziłem prosto na nią. Nie muszę już żyć, Jerzy.

Kiedy kolejka wtoczyła się na peron, Jurek poczuł, że chce wsiąść i jechać aż do końca nie wiadomo czego, i gdy zniknęła za zakrętem, długo patrzył w puste tory, którymi odpływała krew z jego żył dwuszynowych, schłodzonych, metalowych. Potem zauważył Jankę w bramie i szybko do niej podszedł. Znów spał w łóżku Soni i kiedy się obudził, przez dłuższą chwilę nie mógł rozpoznać pokoju.

Rozdział 20.

Na wczesną w tym roku Wielkanoc byli zaproszeni do mamy. Janka nie bardzo miała ochotę na wyjazd, a kiedy w piątek Jurek przyniósł tryumfalnie kilka jajek wiadomo skąd, żeby je wspólnie malować przed poświęceniem, spojrzała na niego niezbyt przytomnie i chciała zjeść od razu pierwsze ugotowane. W końcu zgodziła się pojechać i kawowo-mleczna, bo Jurek podkreślił konieczność stosownego stroju, rozglądała się ciekawie po kolejce, na lewo i prawo.

- Szukasz kogoś? - spytał Jurek.

Zarumieniła się. - Pierwszy raz zabierasz mnie do Warszawy - powiedziała. - Tyle nowych twarzy.

- Może znajdziesz tego pana w tramwaju - burknął Jurek, zadowolony z kolejnych rumieńców. - Na ulicy też masz dużą szansę.

Było sobotnie popołudnie, świeciło słońce i Jurek chciał pokazać Jance Ulrychów przed godziną policyjną. Poszli nad staw, ale Indianie i bandyci nie umieli jakoś wynurzyć mu się z pamięci i zamilkł. Machnął tylko ręką i zawrócili na skróty przez park. Mama czekała już w oknie i powitała ich świeżo upieczonym ciastem.

- Bardzo dobra mazurka - powiedziała Janka po drugim kawałku, zbierając dokładnie ostatnie okruszki z talerza.

- Mazurek - mruknął Jerzy z pełnymi ustami. - Mówi się: bardzo dobry mazurek. Albo jeszcze lepiej: przepyszny mazurek. Albo: co za wyśmienity mazurek. Doprawdy wyborny mazurek, mniam mniam.

Janka zarumieniła się i szybko zmyła szklanki po kompocie. Stłukła się tylko jedna, więc Jurek raz ledwie powtórzył głośno, że to na szczęście, lecz chyba nie jego. Pod wieczór przyszedł na brydża Witek ostatni domiar klęski, ostatnia na dzisiaj dziura w moście życia Janki i rober ciągnął się w wieczność wbrew prawu ciążenia, zapadania się pod ziemię ze zwykłego wstydu. Czemu ciągle w trefle, co tak Janka widzi czarno, co to, żałoba, nie ma innych kolorów, zżymał się Jurek i Janka bladła i pąsowiała na przemian, tęcza przed kolejną burzą. Szczęśliwie mama się zlitowała, zebrała karty do wróżenia i Janka mogła odetchnąć, przykryć się kołdrą na kanapie, odwrócić głowę od świata warszawskiej rodziny w piątym roku wojny, w pierwszym tysiącleciu narodu bez paru jeszcze lat, właśnie wywoływanych przez mamę z przyszłości i wtłaczanych pod żarówkę przed ostatnim dobranoc.

- Dzień dobry, dzień dobry - chichotał Jurek w poniedziałek rano i cienką, cieniutką strużką lał na śpiącą Jankę, na Jankę wyraźnie coś śniącą, wodę z litrowej butelki. Obudziła się z krzykiem, więc chlups, wylał na nią całą resztę, a potem z uniesioną ręką spokojnie czekał, aż spłynie z butelki ostatnia kropla. Janka rozpłakała się. - Dlaczego mnie oblałeś? - spytała, łapiąc powietrze między jednym a drugim spazmem - co ja ci zrobiłam?

- Śmigus dyngus, lany poniedziałek - obwieścił tryumfalnie Jurek, ale Janka wciąż płakała.

- Co ja ci zrobiłam? - powtórzyła, zasłaniając dłońmi twarz.

- Przecież zwyczaj taki - powiedział Jurek, nieco stropiony

- zaraz oblejemy Witka, jeszcze chrapie w kuchni. - Spojrzał na nią podejrzliwie i zza pleców wyjął drugą butelkę.

- Zwyczaj, jaki zwyczaj - wyszeptała Janka i przez parę godzin do niego się nie odezwała, choć już po chwili Witek wyżymał nad zlewem piżamę, a najzacniejszej mamie flakonik z wodą wpadł za koszulę i nie zatrzymał się od razu. Jurek też milczał, zupełnie jak wczoraj, gdy przy śniadaniu nie wygłosił, mimo nalegań mamy, żadnej mowy, tylko rozdziabał jajko i mruknął „wszystkiego najlepszego".

Janka nie chciała iść na świąteczny spacer i kiedy Jurek wrócił z baziami w ręku, mama położyła palec na usta i zaciągnęła go do kuchni. - Od dwóch godzin siedzi przy twoim biurku - szepnęła mu - chyba płacze. Spakowała swoje rzeczy. Zajmij się nią. Karty dobrze mówią.

Rzeczywiście, pochylała się nad stronicą najlepszego przedwojennego papieru i trzymała w ustach jego ołówek, nadgryziony już w paru miejscach. Podszedł na palcach, kartka była czysta, Janka nieobecna. - Co robisz? - zapytał. - Coś piszesz?

Janka wzdrygnęła się i obróciła ku niemu twarz. - Jurek, ja jestem z Berdyczowa - powiedziała.

- Słucham? Jak proszę?

- Mówię przecież, jestem z Berdyczowa.

Ktoś się zaśmiał, czyżby Jurek, ktoś zarechotał, to być może Jurek, ktoś śmiał się najpierw grubo, a potem cienko chichotał z dłońmi na czole, to z pewnością Jurek mazurek, przed chwilą przy biurku, teraz na kanapie, jeszcze roześmiany, już rozkrzyczany: - Ludzie, trzymajcie mnie! Ja zaraz zwariuję. Ja chyba, ha, ha, zwariowałem! Wariat, wariat, w głowie niedobrze. Bardzo, bardzo chory na umyśle. Wszyscy, hi hi, bardzo chorzy. Tworki, wszędzie Tworki, w moim pokoju Tworki, w moim domu Tworki, cały kraj Tworki. - Jurek położył się na plecach i majtał radośnie nogami. - Tworki, Tworki, wszędzie Tworki. Mieszko I Tworki,

Jan Sobieski Tworki. Zwycięska bitwa, ha, ha, pod Tworkami, trzeci rozbiór Tworek, powstanie w Tworkach, marcowe i kwietniowe, grudniowe i lutowe. Ludzie, ludzie, trzymajcie mnie, bo ja jestem z Tworek! Kto ty jesteś, tworek mały, jaki znak twój, tworek cały! - Jurek przewinął się przez brzuch i sturlał na podłogę. – Ja jestem z Tworek! - wykrzyknął raz jeszcze.

Janka zatykała sobie uszy dłońmi i ołówek ocierał się ojej skroń gotowy do wystrzału. Gdy Jurek zamilkł, złożyła głowę na białą kartkę jak na skrawek prześcieradła, żeby choć pod spodem już ją spowiło i otuliło. Jurek wstał i pochylił się nad jej plecami. Chciał wyjąć ołówek spomiędzy jej palców, lecz Janka je zacisnęła. - Zostaw. - Oddaj go - powiedział cicho i Janka rozsunęła palce. Włożył ołówek do słoiczka z innymi ołówkami, wyciągnął spod głowy Janki nieco wilgotny papier i starannie go złożył. Odsunął dłonie Janki od uszu, raz jeszcze się pochylił i coś szepnął, ale nie wiadomo co, bo za oknem właśnie przetoczył się tramwaj dwuszynowy i kruk na drzewie wrzasnął do kruka.

Trzeba było wracać przed nowym dniem pracy, przed wtorkiem ośmiogodzinnym w przymusie, bezkresnym w tęsknocie, tam gdzie puste biurko i krzesło przystawione do niego za blisko. Przez okno patrzono na przystanek, i Jurek objął Jankę, żeby mama mogła dalej martwić się i zagryzać, i dziwną mieć nadzieję. Z tramwaju od razu pobiegli do kolejki, zdążyli w ostatniej chwili i usiedli w ostatnim wagonie. Jurek trzymał Jankę za rękę i rozglądał się dyskretnie w lewo i w prawo. Za Włochami w wagonie się przerzedziło i Jurek zapytał Jankę wpatrzoną w mijane ogrody, w karne rzędy krzewów: - Czy wiesz, dlaczego to zrobiła? Wciąż o tym myślę.

- Ty możesz żyć. Tak do mnie szepnęła. Wtedy, rano. Ty możesz żyć - odpowiedziała krzewom.

- Tak powiedziała?

- Ty możesz żyć.

- To właśnie?

- Tylko to. Ty możesz żyć.

- Ona też mogła. W raju, w Tworkach. Jak u Pana Boga za piecem.

- Ty możesz żyć. Tak mi powiedziała. A ona już nie mogła. Rozumiesz?

- Nie. Dokąd tak chodziła, do kogo? Czego szukała? - zapytał Jurek ścieżki tuż przy torach. - Czy wiesz, gdzie chodziła? Powinnaś wiedzieć, widziałaś przecież, jak gdzieś chodzi.

Janka milczała.

- Czy chodziła do kogoś? Musiała chodzić? Ktoś czegoś od niej chciał?

Janka milczała i drzewa za oknem migały jak sylaby nieludzkiej ciszy.

- Kogoś odwiedzała? Dla kogoś pracowała? - zapytał Jurek grupę chmur na niebie. - O czymś wiedziała, czego my nie wiemy? Czegoś się domyślała?

Domki przy torach były teraz rzadsze i takie dziwne, że zamieszkałe.

- Coś jej było? Przed czymś uciekała? Nie mogła po prostu dalej kochać Olka i już? Powinnaś wiedzieć. Ktoś to powinien wiedzieć.

- Dojeżdżamy - powiedziała Janka do roweru przy płocie.

- Jest mi teraz bardzo źle. Zupełnie nie mogę sobie poradzić - powiedział Jurek do Janki. - Coś ze mną niedobrze. Pomóż mi.

Kolejka zatrzymała się z piskiem, Jurek wyskoczył pierwszy i podał Jance dłoń. Od strony Milanówka i Podkowy zaczęło zmierzchać i skromne tworkowskie światełka pulsowały czule i przyjaźnie. Przytuleni, przeszli przez bramę jak przez drzwi do pluszowej sypialni.

Rozdział 21.

Klawisze nie wciśnięte, chwile nieujęte. I dobrze, dni mijały niedosmażone, łykane bez smaku. Jurek mówił coraz mniej i zdarzało się, że całe wieczory spędzali z Janką w ciszy, grając w okręty pijąc herbatę i czekając, aż zasną. Załatwił z Kaltzem, żeby nie jeździć do Pruszkowa, za nic w świecie tam nie jeździć, herr dyrektor, i kiedy miał tylko nieco czasu dla siebie, spacerował. Bolały go stopy, zbyt płaskie i kiepsko obute na marsze milczenia, na wykuwanie ścieżek w ogrodzonej pustce. Alejka za alejką, dęby i topole jak słupki kilometrowe, drugie okrążenie równika, drugi rok w Tworkach, całe życie w nogach. Tam już widać pierwsze pączki na krzakach, koty spotykają się od strony ogona, lecz ile jeszcze kroków i po co komu, mówił Jurek do siebie, po co komu nowe dni. Była niedziela, więc chodził już od samego rana, zaraz po wyjściu z kapliczki, i teraz usiadł wreszcie, znużony, na ławce przy głównej alejce, wystawiając twarz do słońca. Zrobiło się tak ciepło, że się zdrzemnął. Gdy otworzył oczy, zobaczył obok siebie Antyplatona. Też chyba drzemał, oczy miał zamknięte, twarz zapadniętą, wychudzoną. Nie dopiął palta na piżamie i zdaje się, że włożył pod sandałki drugą parę skarpet, bo przez dziury przeświytywały prążki w innym kolorze. Kiedy Jurek się poruszył, otworzył oczy i powiedział cicho: - Piękna pogoda jak na tę porę roku. Wkrótce wiosna w całej krasie.

Jurek milczał, chciał spać, chodzić, siedzieć i spać, żeby znowu minął dzień.

- Co się stało? - spytał Antyplaton.

- Jak to, co?

- Niech pan opowie, panie księgowy.

- O czym mam opowiedzieć? - żachnął się Jurek.

- O Soni - Antyplaton lekko się uśmiechnął.

- Co o niej?

- Wszystko o niej.

- Dlaczego o niej? Przecież pan wie. Jej nie ma. Ona nie żyje. Ona umarła. Ona zakończyła żywot. Ona wyzionęła ducha. Ona odeszła z tego świata pod koniec grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku naszej ery. - Jurek znowu żachnął się, zamilkł, i Antyplaton zapatrzył się ponuro w swoje skarpetki, unosząc lekko lewy pośladek. Po chwili spojrzał na Jurka z nagłym ożywieniem.

- Głodno od tygodnia. Wystarczy, że pan dowożący nie pojedzie z Kaltzem i już guzik

mamy na talerzu. Pan skupujący to dopiero potrafi!

Jurek uśmiechnął się blado i potrząsnął głową w zadumie, dusza wariat, życie wariat, sen wariat, groza groza. Chwycił go taki smutek, że aż się skulił i chwycił za brzuch.

- Niechże pan opowie - usłyszał nad sobą i poczuł rękę na włosach. - Niech pan biurkowy opowie, co się stało.

- Co? Co? - zepchnął rękę z czupryny. - O czym, do cholery, opowiedzieć? Nie ma pan kogo dzisiaj męczyć? Na mnie musiał pan trafić? Nie widzi pan, że odpoczywam? Niech panu Goethe coś opowie, tam stoi, za dębem, i się nudzi. Ja śpię! Ja bardzo smacznie śpię.

- Opowiedz pan o Soni - powiedział Antyplaton i wsadził rękę w kieszeń palta. - O Soni i o śmierci Soni.

Jurek milczał.

- Ja pana zatrudnionego proszę.

Jurek milczał zawzięcie.

- Ja pana przeliczonego błagam.

- Po co opowiedzieć?

- Trzeba opowiedzieć. Trzeba.

Jurek milczał jak kamień.

- Niech pan księgowy powie: Sonia, Sonia, Sonia, Sonia.

Jurek zagryzł wargi.

- Niech pan księgowy powie.

- Nic nie powiem - krzyknął Jurek i znowu się pochylił.

- Niech pan księgowy powie: człowiek. - Antyplaton podał Jurkowi rękawiczkę, która spadła z ławki, a drugą odsunął od skraju.

- Nie powiem... - krzyknął Jurek pod siebie, z rozpaczą w głosie.

- Niech pan księgowy powie: człowieczeństwo.

- Nie powiem... - krzyknął Jurek i załkał.

Antyplaton dotknął miękko jego ramienia i szepnął konfidencyjnie, jakby ktoś ich podsłuchiwał: - Ja panu pomogę, panie rachujący. Trzeba zacząć od początku. Na przykład: Hożą tę dziewczynę imieniem Sonia... i teraz od nowego wersu... Jam poznał... jam poznał dawno temu... - Antyplaton zająknął się i powiedział nieśmiało: - Trzeba by jakiś rym do Sonia.

- Jaki rym? Gdzie rym? Po co rym? Nie ma rymu! I już nigdy nie będzie. Pan przecież wie - wyszeptał Jurek płacząc.

Antyplaton coś sobie przypomniał i zaczął nerwowo się obmacywać. - Ja tu mam dla

pana buchaltera... specjalnie dla pana napisałem... trzy dni żem tworzył... o, proszę. - Wyjął pogniecioną karteczkę z kieszeni piżamy, stanął przed ławką, podciągając spodnie, podsunął karteczkę pod same oczy i zaczął czytać uroczystym tonem:

- Patefon gra

Sunie para za parą, Płyta zawodzi, łka, Skrobana szpilką starą.

Jurek z Janką wirują,

Zapomnieli o ziemi, Podłogę tak rysują, Ze widać ślad za niemi.

Sonia porwana tańcem Mruży oczka z rozkoszy, Buzia pokryta rumieńcem, Olka muskają jej włosy.

Choć lampa świeci się jasno (Sonia ma ciemne kolory),

W pokoju robi się ciasno, Gdyż zakradły się tu amory.

Ale tańczymy dalej, Dla wszystkich miejsca starczy, Lecz tu wnet koniec zabawy, Bo patefon skrzypi i charczy.

Przed ostatnią zwrotką Antyplaton zaczerpnął głęboko powietrza i stanął w uroczystym rozkroku, stopami do środka:

- O nieszczęsna maszyno!

Ty rządzisz naszym losem, Przerwawszy taniec z dziewczyną, Gdy ty zakręcisz swym nosem.

- No i co? - spytał Antyplaton po chwili ciszy, zagryzając usta i siadając z powrotem przy Jurku. - Jak pan nadliczbowy znajduje?

- Co jak znajduję?... Atak, trzeba by jeszcze trochę popracować - wyszeptał z wysiłkiem Jurek, ciągle skulony.

- Że niby co? - mruknął Antyplaton z lekkim rumieńcem na policzkach.

- Można by poprawić to i owo.

- Co znowu poprawić? Co tu poprawiać? - Antyplaton miał zły głos i nerwowo bębnił palcami po ławce unosząc lekko lewy pośladek.

- No, niektóre sformułowania. Poza tym finał jest niezbyt jasny. I sylaby warto by policzyć - Jurek podniósł głowę i spojrzał ukradkiem na sąsiada. - Ale całość jest na bardzo przyzwoitym poziomie - dodał szybko.

- Nieprawdaż? - ucieszył się Antyplaton. - Nieprawdaż? A teraz pana rachmistrza kolej. Po pierwsze rym do Sonia.

Jurek znowu patrzył sobie w brzuch i miał w gardle łzy. - Nie mogę, nie mogę - wyszeptał z samych trzewi.

- Musisz, Jerzy musisz.

- Pierwszy rym do panna Sonia...

- Musisz, synku, musisz.

-...trąbę ma i uszy słonia - z najwyższym trudem, przez łzy, wystękał Jerzy.

Antyplaton aż podskoczył z radości i odetchnął głęboko. - Widzi pan księgowy, widzi?

Jurek oparł się o ławkę i spojrzał przed siebie. W oddali, nad helenowskim lasem, błękit nieba wyzwalał się z przestrzeni i odrywał ku własnej drodze.

- Więc jak to było? - powiedział cicho Antyplaton i przysunął się do Jerzego, lecz nie za blisko.

- Jak to było? - powtórzył Jurek z zadumą i wierzchem dłoni otarł łzy. - Jak to było? Jak to wyglądało?

Przez chwilę szeptał coś bezgłośnie, przesuwał po kolei palce lewej dłoni palcem wskazującym prawej, robiąc jakieś obliczenia. Wreszcie zaczął spokojnym, znużonym tonem:

- W Tworkach więc pracowała buchalterka Sonia, zatrudniona w czterdziestym, z Berdyczowa rodem, ledwie ją poznałem, już pisałem... już pisałem... - Jurek się zająknął i zamyślił.

-...wodę... - podpowiedział Antyplaton.

- Co: wodę?... Bez sensu przecież.

- No to odę... Już pisałem odę.

- Ledwie ją poznałem, już pisałem odę, piękno jej wierszem sławiąc cennym jak kły słonia. Tak to wyglądało... na początku.

Antyplaton znowu podskoczył radośnie, opadł uważając na lewy pośladek i klepnął się w brzuch: - Ale nam dobrze razem idzie. - Spojrzał Jurkowi w oczy. - Razem to byśmy dopiero pisali. Trochę z pana buchaltera, trochę z Antyplatusia. o wszystkim byśmy mogli. O budowaniu miast, o wakacjach letnich, o zdobywaniu szczytów i o nowych obyczajach. - Wyraźnie się rozmarzył i z przejęcia założył jeden sandałek na drugi: - Ale byśmy razem pisali! O podróżach po morzach i oceanach, skończonych i nieskończonych, o wyjściu robotników z fabryki, o złodziejach i policjantach, biednych rencistach, o owiec pasaniu, o duchu narodowym, o szpiegach jeszcze nie wykrytych, o naszym dniu codziennym od ósmej do czwartej, o zamkach gotyckich i powrotach bohaterów, jak już zwyciężą w bitwie. - Zamilkł i przez chwilę głaskał w zadumie rozczochraną brodę. - No tak... ale wpierw trzeba to jedno skończyć... więc co było dalej, panie krzesełkowy? Może tak: Buchalterka Sonia pacjentów... pacjentów - znowu się zająknął - pacjentów lubiła...

- Już było, że buchalterka.

- Nie szkodzi, dobrze, że się powtarza. Powinno się powtarzać.

Jurek znowu spojrzał w dal. Flaga nieziemska była gotowa: złota kula słońca stanęła w samym środku nieba. Zaczerpnął głęboko, aż po przeponę, powietrza i wyrecytował:

- S., nasza buchalterka, bardzo mnie lubiła; jej szyja będzie w pręgach, ajej ciało zwisać.

Ten list od niej dostałem, gdy chwila wybiła.

Lecz gdzie dać mam odpowiedź: na Berdyczów pisać?

- No - wysapał z ulgą Antyplaton. - Dalej już pójdzie. Tylko więcej szczegółów i po kolei. Obieca pan księgowy?

- Nie wiem.

- Niech pan buchalter obieca.

Jurek wyciągnął list z kieszeni. - Widzi pan, zapisała się na śmierć. - Westchnął głęboko. - I teraz ja też się muszę zapisać. Na śmierć. Do końca życia. Widocznie los tak chciał. Tak mi jest pisane. Całe życie pisać na Berdyczów.

Antyplaton kiwnął głową. Jurek obrócił ku niemu twarz i powiedział nieswoim głosem, wskazując palcem na własną pierś i próbując się uśmiechnąć jak do dobrego żartu: - Tam będzie pisała Polska.

Antyplaton kiwnął głową i poprawił sandałek, który zsunął mu się ze stopy.

- Ale, ale - poruszył się gwałtownie po dłuższej chwili milczenia. - Czy pan cyferkowy nie wie przypadkiem, któraż to godzina?

- Minęła dwunasta. Dwunasta zero dziewięć.

- Muszę lecieć - powiedział Antyplaton. - Kwadrans po dwunastej mam zastrzyk u doktora Okonowskiego. Już siódmy w tym tygodniu.

Zerwał się z ławki, obciągnął poły piżamy pod niedopiętym paltem i szybkim krokiem ruszył w stronę pawilonu J, mamrocząc coś pod nosem. Nad helenowskim lasem flaga wszechświata drżała w lekkim, ciepłym powiewie, Jurek poczuł znużenie i nieodpartą słodką senność. Podciągnął nogi na ławkę i po chwili już spał z głową w kołnierzu płaszcza i dłońmi splecionymi na brzuchu, unoszącymi się rytmicznie, jakby coś nie mogło się w nich pomieścić i chciało wzlecieć nad tworkowską alejkę.

Rozdział 22.

Dalibyście człowiekowi odsapnąć, pospać, niech odpoczną mu usta od gadania, palce od stukania, ławeczka taka wygodna, pogoda taka ładna, a tu nie, ciągle jakieś kroki na alejce, głosy za kołnierzem, dudnienie kolejki po nowe przystanki, po ciąg dalszy na drodze do stacji ostatniej, do napisu koniec, do miasta Warszawa. Trudno, zbudzony do opowieści, do dokończenia historii, przeciągnę się trochę, jeśli taka wola, ziewanie skrócę do zdania i nogi z powrotem opuszczę na żwir.

Gdzie bowiem szukać materii do kolejnych wydarzeń, gdzie jej szukać, jak nie pod gruntem naszych stóp, w głębi samej ziemi, w drżącym brzuchu, tam gdzie błyszczą minerały, skupiają się i łączą w grudki, w bryły, twardnieją w pasmach rudy żelaza? Wystarczy je wydobyć, przywieźć do hut, wystarczy zdmuchnąć z nich pył, obtłuc je młotami i wrzucić w martenowski piec. Potem leje się surówka, rozpalona rzeka ognia, lecz nam i dziejom potrzebny już zastygnięty stop, uzyskana stal, metal do ostrzenia, do napełniania prochem i do rozsyłania po koszarach, po zgrupowaniach obronnych i bojowych, po oddziałach szturmowych. Kula ma kaliber, kłuje z jednej strony, mama gotuje pierwszą w tym sierpniu zupę, Olek pseudonim Lufa kropnął dziś na Starówce czterech co najmniej szwabów, jednego fuhrera z bliska w brzuch, resztę ze strychu na Freta. Kula trajektorią leci, rozwala na Freta mur, z nieba gruchnęła szafa, Olek na chwilę przyczaił się w bramie. Dym, dym nad samym miastem, od Ulrychowa nie tak daleko, choć tu śpiewają ptaki. Magazynek jest pełen kul, do kuchni trzeba dorzucić drzewa, mama wzdycha ciężko i z czoła ściera pot. Wiatr nad Warszawą zamarł, w ziemi puchną żelazne strumienie, Olek biegnie przy murze, pocisk trafia w czerwoną cegłę. Mama miesza zupę, na podwórze wjeżdża nagle czołg, te domy takie obce, nie oswojone, gdy nie ostrzelone, magazynek się opróżnił, kula przecina świat. Świst, świst leci kula, ziemia od Warszawy drży, powietrze w oknie wita, do mamy blisko stąd. Olek znowu strzelił, szwab padł na wznak, za Olkiem pędzi teraz cały oddział, oby szybko za ten róg. Mama właśnie się odwróciła, zupa już gorąca, leci kula nad stołem, trafia mamę w serce. Leży mama, leży, sukienka jest czerwona, zupa ogórkowa. Magazynek znowu pełny, oddział chce utrzymać dom i Olek coś krzyczy do wspaniałych i wciąż naciska spust. Po drugiej stronie Niemcy, Olek osłania z flanki, do bramy wbiegli wszyscy, pozostał tylko on. Za domem jakiś huk, znowu walnął moździerz, okruchy bruku w powietrzu, Olek ryzykuje. Olek wokół strzela, Olek ryzykuje, znowu Niemca trafił, wcale się nie kryje. Kolejna kula leci, jej numer

oznaczony jak dwudziesta druga wiosna, ulica Freta szesnaście, sierpnia dzień trzynasty. Nie żyje Olek, nie żyje, pień jego ciała rozłupany, drzewo jego kości roztrzaskane u nasady krzyża. Skronią dotyka ziemi, buty z cholewami dziwnie zgaszone i zniżone w połamanym wzroście, i nogi podkulone, tak smutne bez piłki. Rzeka krwi okrąża zwłoki, na brzegu leży były Olek, napastnik, reprezentant i dowódca, kiedyś blondyn zakochany. Kule świszczą nieprzerwanie, jeszcze się wbijają w Olka nicość, jasny puch jego włosów lekko drży w podmuchach. Olek nie oddycha, duszne powietrze na Freta ulicy i na Ulrychowie, Witek, Stefek i Heniek schowani w bramie patrzą na Olka sfaulowanego raz na zawsze, skoszonego równo z ziemią, i coś krzyczą strasznie przed siebie, bo sami zginą dopiero pojutrze od trzeciej i czwartej serii z cekaemu. Olek nie oddycha, czarny dym nad Warszawą, odległa ciemna chmura nad Warszawą, gdy spojrzeć z peronu w Tworkach, z samych torów między topolami, bo i tak nie jeździ już kolejka.

Wciąż się pali, myślał Jurek między szynami, robiąc długie kroki od jednej belki do drugiej, przełamując cienie topól na torach konturem swego ciała, zachowanego, lecz czy zbawionego. Ziemia wciąż drży, jakby coś się z jej środku działo, nabrzmiewało i wybuchało, i miasto wciąż się pali, i można by tak iść torami na zatracenie, od rajskich Tworek aż do pierwszych plwocin ognia, aż do samej głębi Piekła, tam gdzie Olek, Witek, mama i całe nasze życie w nagłym skupieniu, w kulomiocie chwili. Już tam się zresztą prawie było, jak tylko wybił fajrant, wsiadło się do kolejki, tej pięć po czwartej, choć pewniej i przezorniej byłoby wsiąść do poprzedniej, i ujechało się ze trzy ledwie kilometry, gdzie kolejka stanęła na wieczność sierpnia, a może i kolejnych miesięcy, i o piątej zamiast tam trafiło się z powrotem do bramy soczystej zieleni i alejek spragnionych naszych płaskich stóp. Już tam się prawie było, już miało się prawie karabin w dłoni, gdyby w ogóle go dali, bo rozrzut miało się wielki, bo z dziesięciu metrów trafiało się na ćwiczeniach jeszcze przed wojną w tyle punktów, ile miało się dioptrii w szkłach, a miało się dużo, i na czterdzieści metrów myliło się człowieka ze słupem, na co nie każdy słup zasługiwał, i mogło się stać łatwo żołnierzem na wspak, marnotrawnym synem matki wojenki i panny amunicji, astygmatykiem straty w euforii wyzwalania.

Sześćdziesiąt spacerów torami przed siebie i z powrotem, od fajrantu aż do kolacji z Janką, już czekającą z herbatą i kromkami, czterema dla niego, piechura księgowego, tylko dwiema dla niej, zwykłej buchalterki. Z początkiem października nogi już nie chciały iść, tory nie miały już gdzie prowadzić, dymy nad miastem przestały łudzić tajemnicą cienia. Zaczęła się kolejna jesień jak przedwczesny koniec roku, przedostatni rozdział w ostatecznym rozliczeniu.

Rozdział 23.

Szkopy wyjechały pod koniec grudnia. Wariaci, pośpiesznie narzuciwszy szlafroki, tłumnie zebrali się za drzewami i wytrzeszczali oczy w porannej mgle, gdy Honnette nadzorował przy ciężarówce załadunek mienia. Kiedy wszystkie ciężkie kufry, porachowane przez Jabłkowską, spoczęły równo przy sobie jak główki wnucząt w becikach ze Schwarzwaldu, z budynku administracji wyszła Honnettowa i nie zważając na biel pelisy doniosła do samej platformy patefon. Wskazała Johannowi, gdzie go postawić, musnęła wzrokiem Jurka i na dłuższą niż cała wojna chwilę utkwiła spojrzenie w Jance stojącej obok Jurka przy bramie, wreszcie, nie czekając na usłużne otworzenie drzwiczek, wsiadła na tylne siedzenie czarnego mercedesa.

Kto miał zresztą drzwiczki uprzejmie otwierać, klamkę całować jak jutrzenkę awansu, jak jaskółkę podwyżki, skoro Kaltza zabrakło wśród żywych, szwargoczących i wyjeżdżających. Kaltz, nieobecny usprawiedliwiony skromnie pochowany, od paru tygodni leżał gdzieś w tworkowskim piachu, widział śnieg od czystszej strony, z siebie dawał ziemi wszystko. W takich czasach codziennie jeździć do Pruszkowa, kiedy i tak kupić się nic nie da, czasami nawet włóczyć się tam bez samochodu, łazić polami i zaułkami nie wiadomo gdzie i po co, to aż się prosi, przyznajmy, o nóż z byle jakiej stali. - Banditen przy drodze - mruknął do Jerzego Honnette, gdy sam przywiózł zwłoki z gestapo w listopadowy wieczór - pan teraz przejmuje całą buchalterie, bo Quick na te czasy jest za głupi, wynagrodzenie bez zmian, wykonać. Tak, banditen jednym cięciem poderżnęli gardło Kaltzowi dla złotego sygnetu i paru groszy w tylnej kieszeni spodni, jednym ciosem podsadzili Jurka na stołek. Uber księgowy robił więc co mógł, co dwie godziny przechadzał się między biurkami, w połowie już pustymi, patrzył groźnie na Jabłkowską, przed Quickiem przystanął raz równie blisko co front przed Wisłą, groźnie i nonszalancko, pewnie i zaczepnie wyprężył swój bilans przed jego nieistotną cyfrą, tak jak teraz skromnie i godnie, obok najlepszej żyjącej księgowej w kawowo-mlecznej kreacji poranka, opierał się o bramę, czekając chłodno i cierpliwie na przejęcie od bramy do muru, od pawilonu do pawilonu, całości odzyskanej niczym pamięć.

Ciężarówka wytoczyła się już przez bramę i Honnette podszedł do mercedesa. Jasne plamki za pniami drzew rozmigotały się i wysunęły nagle naprzód jak wyciśnięty z tubek kolor. Honnette omiótł wzrokiem budynek administracji, niebo skupione akurat nad Tworkami i skinął na Jurka. Gdy Jurek podszedł na trzy kroki, już z siedzenia rzucił przed siebie

aufwiderzejen, tak głośno, jakby się żegnał z wszystkimi topolami, z wszystkimi pawilonami i alejkami, i nie czekając na odpowiedź zatrzasnął drzwiczki. Samochód ruszył, plamki stanęły rzędem przed Jurkiem, wyszczerzone na coraz wyraźniejszych twarzach, lecz wciąż ciche, nie wiedząc, czy już można się śmiać.

- Obiad o normalnej porze - powiedział Jurek wśród pierwszych chichotów - proszę się rozejść i wracać do pawilonów.

Rechocząc i żywo do siebie zagadując, szlafroki zawróciły główną alejką i grupkami rozbiegły się ku swym pokojom. Jurek podszedł do Janki, przyciskającej policzki do krat i wpatrzonej w tory za bramą. - I co teraz będzie? - spytała, gdy dostawił swoją twarz.

- Nic. Już nic. Przeżyliśmy wojnę i już nic więcej się nie zdarzy.

Poszli na spacer. Ścieżką wzdłuż ogrodzenia doszli do lasu, przez chwilę stali nad rzeką pokrytą w paru miejscach przy brzegu cienkim lodem, zawrócili przez brzozy, nieopodal altanki; ich biel była jeszcze zimna i za każdym razem, gdy przychodzili tu później po skończonym dniu pracy, sprawdzali na najniższych gałązkach inkrustracje wiosny. Pod koniec marca zrobiło się nadzwyczaj ciepło i biel kory miała już coś w sobie z nadmorskiego światła. Zaczęli się pakować, gdy puściły pierwsze liście; w pierwszy wtorek maja wstali wcześnie rano, wypili po szklance kompotu, mrugnęli do pingwina i wyszli z walizkami na alejkę. Słońce zwinnie przebijało się przez korony drzew, tworząc wspólnie z cieniem kratownice kształtów na żwirowym tle. Rozzwiewany Wirtuoz dopiero przeciągał się pod ławką, promienny krąg Tworek powoli budził się do życia, było jeszcze pusto i cicho, miękka, niewyraźna, lecz dobra chwila przed pierwszym śniadaniem. Na klombie szykowały się do kwitnienia pąsowe róże, w sam raz do kawowej sukienki, i uśmiechnęli się do siebie, niczym dwa dobrane kolory. Wyszli przez bramę, wartownik Wacek żartobliwie im zasalutował, postawili walizki na peronie i Jurek ogórek, Jurek burek i sznurek objął Jankę jak przy długim pożegnaniu.

Od strony Milanówka i Podkowy rozległ się przeciągły gwizd, smutny i wesoły, pierwszy i ostatni. Jeśli wtorek, to ze Tworek, trzeba wsiadać, drzwi zamykać, kupić dwa bilety; trzeba podać Jance walizki i szybko skoczyć na ostatni stopień, przytrzymując okulary. Przywarli twarzami do szyby. Brama wtuliła się w zakręt, topole zostały na straży, na końcu peronu pojawiła się raz jeszcze zardzewiała tablica z nazwą stacji. - Tworki - przeczytał szeptem Jerzy - Tworki.

Tak, wielka już cisza w Tworkach. Wszyscy gdzieś przepadli, wyjechali, zniknęli, do śniadania jeszcze moment. Na pustym peronie lekki wiatr porusza kurzem, alejki nikogo nie niosą, ławki wokół nie zajęte, dopiero teraz, tam za drzewami, kilka piżam będzie odciskało

w powietrzu swój wieczyście prążkowany wzorek, pionowy w materii i czasie od kołnierza aż do butów, od zarania do kresu. Dobra pora, by pokazać przyrzeczone usprawiedliwienie, dać znowu niepełną odpowiedź, cząstkowe alibi.

Kilka zdań, akapit, wykrzykniki piękne niczym łzy stojące w oczach, podpis. S., Sonia, imię Soni, Sonia imieniem Sonia. Sonia, Sonia, S. jak dwie skute podkówki, Sonia podpisana nieobecna. Sonia podpisana, która nie żyje, która zgadza się na śmierć. Sonia, której nie ma już w podpisie, która nie chce już być swym imieniem i wie, że imię jej nie oznacza, Sonia, która chce się podpisać, po to tylko by zaraz nie żyć. Była godzina szósta rano i Sonia przy parapecie, drżąc z zimna, podpisała się, Sonia skróciła swoje imię do skromnego inicjału, żeby siebie, jaką była, stąd oddalić, wstydliwie odjąć, żeby położyć z siebie ledwie znak, minimalny, jak najmniej znaczny. Ale podpis został, został znak, zostało S., tak, logo skromne, zawinięte z dwóch stron, jakby samo do siebie się stawiało i zamykało przed ciągiem dalszym, lecz nieuchronnie było powołane, by znaczyć. Bo przecież te dwie podkowy jednej litery, choćby były najtwardsze, choćby każdy dzień na nowo osłabiał arcyludzkie dłonie, pozwalają się rozpisać; rozciągnąć, rozprostować w jedną linię od S do a. Cokolwiek miało nie być, staje się w obcych swojskich literach, znowu S. nazywana jest Sonią, tej teraz Soni nie Soni kilka dni temu smakowała kapusta popita śliwkowym kompotem i dobrze, całkiem dobrze szła wódeczka. Inicjał powtórzony dał znowu początek, bo Soni już nie było, już jej nie starczyło. Czyż zresztą tego nie przyjęła, nie przeczuła, czynie wzmocniła, nie wydrżała tego powtórzenia jakimś ostatnim tchem, który zawisnął w jej kopiowym ołówku? Napisała S., zakończyła S. i nagle raz jeszcze - parapet miał zimno kamienia, za oknem przesunął się obłok - raz jeszcze, jakby całość istnienia, kwestia bytu i historia świata rozbłysły w jej drżącym ciele, dwie linijki niżej powtórzyła „S”, w postscriptum wprawiła swoje imię w rezonans, w ciche, ciche echo. Tim tam, tim tam, ti ti tam, tam Sonia i tu Sonia, ti tam, tam nie żyje Sonia, tu trwa dźwięk, tu Sonia nie Sonia podpisaną literką imienia woła i woła, nieustannie coś przesyła. Przychodzę więc nawoływany, przesyłkę odbieram, własnym podpisem ten nieproszony, nie adresowany dar na tylu stronach kwituję i wołam was, bo może i z was ktoś przyjdzie, ktoś przybędzie na stałe do mojej ławeczki, wołam, tak, przyjedźcie najlepiej wszyscy w dowolnym czasie, który będzie się stawał, przyjedźcie ze wszech stron jakąkolwiek kolejką od rana do wieczora i czytajcie, czytajcie proszę, i święćcie imię wasze i pokwitujcie, Jacku!, Ilono!, Romanie!, potwierdźcie, Krysiu!, Ewo! Robercie!, sygnujcie ze swej strony Darku!, Agnieszko!, Aniu!, Karolu!, Gustawie!, Mario!, sygnujcie na nowo, potwierdźcie, pokwitujcie, podpiszcie kiedyś odbiór, dorzućcie, wy wszyscy dziś niby imienni, swoje post, postscriptum.

Za oknem przelatywały pola i domki, płoty na pstro malowane, i przystanki mnożyły się w nieskończoność, mignęły już Malichy i Reguły, przeleciały Michałowice i Opacz i zaraz po nich Salomeą, Raków, Reduta i Włochy, tak jakbyśmy po wyjściu z raju Bóg pomieszał, tak jakby po wyjściu z raju Bóg naprawdę pomieszał języki, z jednego imienia zrobił wiele. Janka z Jurkiem stanęli w wyjściu, przysuwając walizki blisko drzwi, kolejka zaczęła zwalniać, w oddali ujrzeli nazwę Warszawa.

Rozdział 24.

Tak dobrze wrósł w pamięć tamten majowy poranek. Wyszli z pokoju, gdy słońce jeszcze tkwiło za helenowskim lasem, a w cienistych koronach drzew plątały się resztki nocy. Długie smugi różu na niebie kraśniały coraz bardziej i wsączały w siebie wysepki mgły. Jurek z Janką szli na przedzie, za ich plecami Ania, Asia i Bronka rozmawiały z chłopakami i słychać było wybuchy śmiechu; na końcu pochodu Marcel opowiadał mamie o dansingu w Adrii. Kiedy przechodzili przez bramę obok zaspanego Johanna, dobiegli do nich Sonia z Okiem, nieco zziajani. Sonia miała wciąż tę samą sukienkę, teraz lekko pogniecioną, błyszczącą inaczej w barwach świtania niż wczorajszego popołudnia; Olek nie puszczał ręki Soni i tak głęboko, choć pogodnie patrzył wszystkim w oczy. Powitali się i pochód skręcił za bramą w lewo. Tą samą co zawsze ścieżką wśród pokrzyw i paproci doszli nad Utratę. Środkiem nurtu niosła już w stronę Pruszkowa nieco światła, a przy ciemnych brzegach widać było jasne punkty kwiatów. Na urodzinowej łące mgła zdążyła się podnieść i od ogniska biło jeszcze ostatnie tchnienie ciepła. Stanęli wokół niego kręgiem i wspominali wieczorną zabawę. Słońce zaczęło wkrótce sięgać ich twarzy i poszli dalej wzdłuż rzeki aż do jej początku, w stronę nieodległych, kilka kilometrów stąd, źródeł. Prąd stawał się coraz bardziej leniwy i brzegi zbliżały się ku sobie jak powieki do źrenicy. Było coraz ciszej i cieplej, i szli powoli, majestatycznie, smakując każdy krok. W pewnej chwili Sonia zeskoczyła niżej, nad samą wodę, i zebrała kilka kaczeńców i niezapominajek. Pogwizdując ułożyła z nich mały bukiet, po czym podbiegła na palcach do Jurka. Przystanął, gdy dotknęła jego pleców dłonią, i zdziwiony odwrócił ku niej głowę.

U ich stóp rzeka się lśniła, rzeka się wiła, drzewa rzucały pierwsze, jeszcze długie cienie; rzeka błysnęła, Sonia się uśmiechnęła i podała Jurkowi kwiaty, bez słowa, bez słowa.